

Jacek Kalinowski

brat Jacek



Łamanie, redakcja i korekta
JABORO S.C.

Projekt okładki
NOWA GRUPA KREATYWNA

Wydanie I 2022
© Copyright by Jacek Kalinowski

Wydawnictwo Mons Admirabilis
ul. Kulczyńskiego 4/10
38-440 Iwonicz-Zdrój
monsadmirabilis@gmail.com
tel. 511 240 438

Druk i oprawa
Druk-24h.com.pl
DRUKARNIA CYFROWA
Białystok, ul. Szosa Baranowicka 77
tel. 85 653-78-04
e-mail: biuro@partnerpoligrafia.pl

ISBN 978-83-959118-7-3

Wstęp

Nigdy nie sądziłem, że kiedykolwiek w życiu będę pisał książkę, a już na pewno przez myśl nawet mi nie przeszło, że główną jej treścią będą moje opowieści nie tylko o charakterze lokalnym, ale związane z wydarzeniami patriotycznymi czy religijnymi, w których szczególną rolę odgrywają wspomnienia z mojego udziału w papieskich pielgrzymkach, przemierzaniu papieskich szlaków, czy w Świątowych Dniach Młodzieży.

Pisanie to pasja, która zrodziła się w trudnych chwilach mojego życia. Najpierw przelewałem na papier to, co mnie bolało, a do czego już nie warto wracać. Z czasem zacząłem tworzyć teksty (z natury pisane do szuflady), traktujące o zjawiskach i wydarzeniach społecznych, kulturalnych i religijnych, w tym papieskich.

Zanim zacząłem interesować się dziennikarstwem fascynowała mnie fotografia. Obrazy z życia, wydarzenia zamknięte w kadrach, wzbogacone słowem, których byłem obserwatorem i uczestnikiem. Tkwią one w mej głowie i sercu, odkładają się w pamięci, w rękopisach, w fotografiach, każą tworzyć nie dla siebie, ale dla młodszych.

Pragnieniem moim jest przekazać i przybliżyć pokoleniu mojej córki Sylwii, przypomnieć starszym, także mojej żonie Małgosi, te wielkie chwile i osobiste przeżycia, gdy papieżem był nasz rodak Jan Paweł II, a następnie Benedykt XVI, który po wyborze na tron Piotrowy 19.04.2005 r. powiedział do zgromadzonego ludu na placu św. Piotra w Watykanie: „Drogie siostry i bracia! Po wielkim papieżu Janie Pawle II kardynałowie wybrali mnie: prostego, skromnego pracownika Winnicy Pańskiej. Pociesza mnie fakt, że Pan potrafi działać także poprzez narzędzia niedoskonałe, a przede wszystkim zawierzam się waszym modlitwom. W radości Zmartwychwstania Pana ufni w jego ustawiczną moc idziemy naprzód, a Pan nas wspomże, a Matka Boża będzie po naszej stronie. Dziękuję”. Później też wielokrotnie oddawał hołd naszemu papieżowi, mówiąc wielokrotnie o Nim: *il mio amato Predecessore – mój umiłowany Poprzednik*.

Niestety ze względu na mój wiek i na obowiązki rodzinne oraz zawodowe nie miałem zbyt często możliwości uczestniczenia w wydarzeniach pod przewodnictwem papieża Franciszka, poza istotną, a może przede wszystkim podsumowującą moje życie religijne decy-

zją o nieco zwariowanym pomysle i realizacji wyjazdu na ŚDM¹ Kraków 2016. Piszę o tym w podrozdziale „Światowe Dni Młodzieży Kraków 2016 – moja opowieść”.

Wprawdzie na tych podniosłych wydarzeniach pełniłem często obowiązki dziennikarza i fotoreportera, nie znaczy to jednak, że miałem do tych uroczystości wyłącznie zawodowe podejście. Mimo upływu lat (niedawno ukończyłem 56. rok życia), czuję jeszcze w sobie młodzieńczego ducha, dzięki któremu nadal potrafię radować się wszelkiego rodzaju podniosłymi przeżyciami religijnymi, często wzruszając się do łez. Niekiedy radość była tak duża, że na mojej twarzy pojawiały się promienie uśmiechu z Miłości Bożej i miłości do bliźniego. Następowало to na ogół, kiedy byłem w bezpośredniej bliskości któregoś z papieży lub w innych sytuacjach, którym towarzyszyło przeżywanie przeze mnie silnych emocji.

Myśli kolejnych papieży mają dla mnie teraz inny wymiar i kiedy każdorazowo pojawiały się w wydarzeniach religijnych, a to wśród fotoreportaży, które robiłem dla Agencji FOTO-KAI oraz relacji na początku mojej drogi dziennikarskiej dla „Tygodnika Lokalna”, czy w dziennikarskim dojrzwaniu i rozkwicie dla ogólnopolskiego katolickiego tygodnika „Idziemy”, z którym współpracowałem aż do przełomu marca/kwietnia 2020 roku, kiedy to przez pandemię SARS-CoV-2, w znacznym stopniu przyczyniającą się do braku pracy we wszystkich dziedzinach życia, zaprzestałem działalności dziennikarskiej, choć ta książka trochę temu przeczy.

Innym powodem zaprzestania przeze mnie „dziennikarki” był fakt zorientowania się podczas zdalnej pracy dla mojej instytucji NIK², że muszę więcej czasu poświęcić żonie i córce.

Współpracując z „Tygodnikiem Lokalna” i „Idziemy” łączyłem pasje dziennikarską i fotograficzną pod wspólnym mianownikiem fotoreportera, z uśmiechem stwierdzając, że kiedyś nie umiałem prowadzić nawet pamiętnika czy kalendarza, co, jak wiem, czyniły nie tylko koleżanki, ale też moi koledzy. Wyjaśniam tu „komórkowcom” – posiadaczom telefonów komórkowych – że pamiętnik to taka książeczka, albumik, w którym przyjaciele, a nawet przyszli narzeczeni wpisywali ich posiadaczom czułe wierszyki, „ku wiecznej pamięci”.

¹ Światowe Dni Młodzieży.

² Najwyższa Izba Kontroli.

Dodam przy tym, że przez dość długi czas, dopóki się to dało pogodzić, pracowałem w obu tych tygodnikach jednocześnie, aż w końcu w pełni dumny i spełniony zostałem wyłącznie przy ogólnopolskim tygodniku katolickim „Idziemy”.

Chociaż wiele razy próbowałem i nawet miałem znaczący udział w powstawaniu kronik mojej drużyny harcerskiej, później wyższej uczelni, a nawet parafii, to jednak nie podjąłem trudu stworzenia całościowej kroniki swojej rodziny. Czasem żałuję tego zaniedbania i po trosze zazdroszczę tym, którzy siadają codziennie nad zeszytem, czy do komputera, aby opisać kolejny, miniony już dzień własnego życia.

Pomysł zebrania wspomnień o swoich przeżyciach religijnych zrodził się w trakcie powrotu z wieczoru autorskiego (dnia 9 lipca 2012 r.) zaprzyjaźnionego redaktora Wojciecha Giełżyńskiego – rektora mojej uczelni WSKiMS³.

Jednak pierwszy raz w celu napisania większej publikacji usiadłem przed rozłożoną na biurku kartką i chwyciłem za pióro w wigilię święta Chrystusa Króla Anno Domini 2012 i przeddzień św. Katarzyny. Zamyśliłem się, Katarzyna, Kasia, to imię przewinęło się w sensie pozytywnym w moim życiu wiele razy.

Dojrzewałem dość długo do zgłębiania istoty postaci właśnie Chrystusa Króla Wszechświata, aż w końcu dzięki moim pobożnym starszym przyjaciołom zacząłem dochodzić do podstaw prawidłowego myślenia o Naszym Królu i Panie.

To, że tak dawno zacząłem pisać tę publikację, a wracam do niej dopiero teraz (czerwiec 2021 r.) spowodowane było różnymi zawirowaniami, jakie pojawiły się w moim życiu, które skutecznie odciągały mnie od procesu twórczego. Natomiast to, że nie zaprzestałem całkowicie pisania, sprawiły dwie rzeczy: duże przywiązanie do stwierdzenia, które mówiło się na zachętę na początku kariery młodym dziennikarzom, że „mają lekkie pióro”, w tym i mnie, ale też chęć posługiwania się przynajmniej dobrym narzędziem pisarskim.

Równie mocno byłem przywiązany do swoich rozmaitych rękopisów, które przez co najmniej kilka lat miały w sobie coś z tradycji (którą zawsze ceniłem), ale potrafiły wirować i skutecznie mieszać się

³ Wyższa Szkoła Komunikowania i Mediów Społecznych im. Jerzego Giedroycia.

w moim pokoju, gdzie powstawały, powodując nieogarnięty chaos w pracowni. Dlatego mimo wielokrotnego podejmowania prób kontynuacji twórczych działań nie zawsze się to udawało. Zatem do dzieła.

Zapyta ktoś, po co odgrzewać stare dzieje swojej rodziny i własnego żywota? Odpowiedź jest jedna, zresztą bardzo prosta. Po to, aby wydobyć z głębi swojej pamięci, z najdalszych jej pokładów historii i motywy, które zaważyły na moim życiu. Dni i doznania, które przełożyły się na późniejsze zainteresowanie wiarą, Kościołem, papieżem. Nie mam tu na myśli tworzenia autobiografii, a jedynie przypomnienie faktów mających tło religijne, w których uczestniczyłem duszą i ciałem. Nie chcę się jednak zarzekać, bo może kiedyś napiszę po prostu dobrą książkę o swoim życiu.

Wiele z zamieszczonych w mojej książce tekstów powstawało na bieżąco jako relacje po zakończonych wydarzeniach. Inne powstały jako teksty wspomnieniowe, z których jedne i drugie były często publikowane w całości lub we fragmentach na łamach „Tygodnika Lokalna” czy tygodnika „Idziemy” lub innych periodykach.

Od 01.08.1989 r. jestem pracownikiem Najwyższej Izby Kontroli. Żadnemu z moich szefów i kolegów z pracy nie przeszkadzało do tychczas moje dodatkowe zajęcie, a niektórzy wręcz mnie dopingowali i kibicowali moim działaniom twórczym, dlatego tym chętniej byli zapraszani na moje „papieskie wystawy”. Kiedyś w udzielonym przeze mnie jedynym (jak dotąd) wywiadzie mówiłem, że jedni lubią grać w piłkę, drudzy chodzić na piwo, a ja lubię pisać i fotografować. Kiedy jednak patrzę na swój wyuczony zawód (dziennikarz) z perspektywy wielu już lat, widzę, że już w okresie szkolnym byłem w pewnym sensie do niego powołany.

Mam też w tej dziedzinie wcale niemały dorobek, publikacje artykułów czy fotoreportaże dla Agencji FOTO-KAI, dwie edycje papieskich wystaw emocjonalnych „W zamyślonych twarzach ciągle szukam Cię”, w tym również jest moja cegiełka przy powstawaniu książki-pamiętnika pana Zenona Wosia *Życie pełne Ameryki* pod red. Marka Kusiby (Toronto-Kanada), wystawa fotograficzna „ŚDM Kraków 2016 – Przyślanek Kraków Tryptyk” (kościół św. Alberta Warszawa-Wesoła).

Z założenia w swej książce opisuję niejednokrotnie wielkie wydarzenia widziane najpierw oczami młodego chłopca, później młodzieńca-harcera w krótkich spodenkach i wreszcie dorosłego mężczyzny-dziennikarza katolickiego, choć podział na rozdziały nie jest

tu aż tak jednoznaczny. Mam przekonanie, że nieco inaczej ujmuję tematykę, niż inni autorzy relacji z wydarzeń religijnych, które dotychczas było mi dane czytywać.

W swoim opracowaniu nie zawsze zachowuję chronologię uroczystości, do niektórych z nich powracam w kilku rozdziałach. Wynika to z faktu ujmowania tematyki często w wielu wątkach, które są wzajemnie powiązane, a nie zawsze dają się opisywać jako oddzielne wydarzenia.

Kiedy uczestniczyłem w spotkaniach religijnych, zwłaszcza organizowanych przez Ruch Światło-Życie, wybrane osoby głosiły świadectwo o swoim życiu w zetknięciu z wiarą.

Chciałbym, aby osoby czytające moje opowiadania odczuły podobne wrażenia, tak jak ja bym mówił swoje świadectwo. Ponadto bardzo interesowałem się społeczną nauką Jana Pawła II. **Mogę powiedzieć o sobie, że jestem przedstawicielem „Pokolenia JP-2”.**

Tak się składa, że od wielu lat mieszkam w warszawskiej dzielnicy Wesoła, a co za tym idzie związany jestem z wszystkimi parafiami rzymsko-katolickimi, jakie tu się znajdują. Szczególnie bliska jest mi parafia pw. św. Brata Alberta, gdzie od wielu lat jestem ministrantem i lektorem. Głównie dlatego, że św. Adam Chmielowski dla tych, którym pomagał, **„był Dobry jak chleb”**, to nie jest tylko hasło czy frazes, taki był.

Powiedziałem parę lat temu jednemu z właścicieli tutejszych piekarni, że pamiętam **„smak chleba i zapach, który się czuło z odległości trzech wsi od piekarni”** (takie doświadczenie mam z wakacji u dziadków w Helenowie, a ściślej prywatnej piekarni w Maruszowie, czy wakacji w domu dziadków w Siennie i tamtejszej piekarni – obie wsie położone są w pobliżu Lipska n/Wisłą).

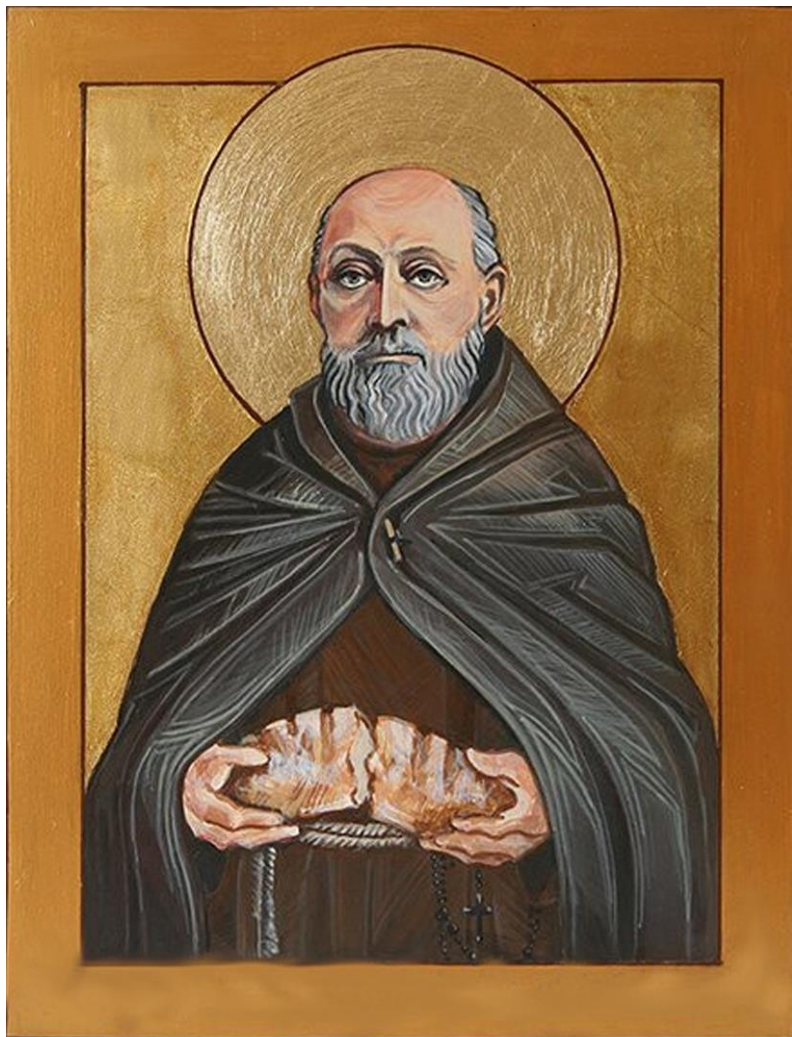
Piekarz odpowiedział mi **„takiego chleba już nie ma”**. Inna rzecz, że tamten chleb z wiejskich piekarni był naprawdę bardzo dobry.

Piszę o tym dlatego, że darzę dużym uznaniem kapłanów, osoby konsekrowane, czy nawet w pewnym okresie życia uległem fascynacji pustelnikami, którzy muszą tak jak Brat Albert okazywać wiele dobroci nie tylko swoim wiernym, ale i osobom, które tego oczekują.

Tytuł książki **„brat Jacek”** nie wziął się znikąd, jest związany z moimi wspaniałymi pielgrzymkowymi przeżyciami i zwracaniem się tam pielgrzymów w tej formie do siebie. Budowało to atmosferę Bożej Miłości, co bardzo mi się podobało. Nie muszę dodawać, że

jeżeli ktoś tak się do mnie zwracał (bracie, braciszku...), szczególnie na pielgrzymce, było to bardzo miłe.

„brat Jacek” – Jacek Kalinowski



„Brat Albert”, ikona według wzoru z Internetu, pisana przez Krystynę Kazanowską – prezent dla Jacka i Małgosi Kalinowskich (2022 r.)

Rozdział I

Marzenia – zainteresowania – profesjonalizm

Marzenia i podziękowania

Moim pierwszym marzeniem dziecięcym było zostać reżyserem filmowym. To się nie spełniło, ale i tak wykonuję twórczy zawód foto-re-por-te-ra, pisany właśnie w ten sposób, który w moim przypadku jest podobną formą realizacji tego twórczego marzenia. Dlatego, że pisane relacje z wydarzeń opatrywałem zrobionymi przez siebie zdjęciami.

Kolejnym moim marzeniem było spędzenie choćby jednej nocy w seminarium duchownym, a to mi się spełniło, z tym że budynek pozostał ten sam, ale już funkcjonujący jako dom rekolekcyjno-formacyjny Dobre Miejsce na warszawskich Bielanach. Trafiłem tam dwukrotnie na dwie noce za sprawą rekolekcji organizowanych przez Duszpasterstwo Młodzieży i Studentów ze Wschodu. W pewnym momencie mojego życia przez okres ok. dwóch lat współpracowałem z tą wspólnotą.

Pierwszym razem były to rekolekcje prowadzone przez ojca Ryszarda Sierańskiego (z Katowic) ze zgromadzenia Misjonarzy Oblatów MN – założyciela Wspólnoty Dobrego Pasterza, który idąc za wzorem Brata Alberta spieszy z pomocą uzależnionym i ubogim, a drugie rekolekcje prowadził ks. Piotr Pawlukiewicz – doktor teologii pastoralnej, rekolekcjonista, kaznodzieja, prałat, kanonik gremialny Kapituły Metropolitalnej Warszawskiej, autor książek o tematyce religijnej.

Następne wielkie marzenie, jakie miałem, to odczytanie wszystkich rozważań podczas nabożeństwa Drogi Krzyżowej. Owszem, wielokrotnie czytałem pojedyncze stacje, ale całej Drogi nigdy, aż do roku 2011. Wtedy to w kwietniu ksiądz proboszcz Józef Skarpetowski zwrócił się do mnie z propozycją, abym przeczytał wszystkie rozważania Drogi Krzyżowej, która jako ostatnia „Droga” Wielkiego Postu – miała odbyć się tradycyjnie po ulicach Osiedla Zielona, co też uczyniłem z należytą starannością.

Kolejne marzenie to zakup lustrzanki cyfrowej. Zrodziło się ono we mnie zaraz po pielgrzymce Benedykta XVI do Polski (2006), ale i z tym mogłem sobie poradzić dzięki wsparciu mojego taty.

Później dość szybko wymieniałem sprzęt dzięki poznanemu w listopadzie 2019 roku młodemu fotografowi-profesjonalisty Adama Klejnowskiego. To on za *free*⁴ nauczył mnie prawdziwego warsztatu fotograficznego i zaszczerpił we mnie konieczność posiadania profesjonalnego sprzętu.

Wcześniej miałem jeszcze marzenia o swojej wielkiej wystawie papieskich fotografii. Dlatego już na przełomie lat 2007/2008 próbowałem dokonać wyboru najciekawszych zdjęć z mojej kolekcji. Owocem tego była moja mała wystawa, na którą składało się 15 fotografii. Uświetniły one uroczystość wręczania nagród i dyplomów w naszej uczelni (szerzej będę o niej pisał w następnym podrozdziale). Ponieważ moja papieska kolekcja rosła wraz z coraz częstszą obecnością na kolejnych uroczystościach religijnych, postanowiłem się pokusić o zrealizowanie wystawy na miarę wielkiego fotografa.

I tak w roku 2009 zrodziło się pierwotne założenie zrobienia wystawy w „Dobrym Miejscu” na Bielanach. Jednak dzięki Pawłowi Pasikowi opamiętałem się w porę, że nie mam co porywać się z motyką na słońce. Ponadto smutne wydarzenie rodzinne, jakim była śmierć mojej mamy, odłożyło na jakiś czas ówczesne przygotowania.

Pod koniec wakacji 2009 roku byłem już członkiem Duszpasterstwa Młodzieży i Studentów ze Wschodu – to też spełnienie marzenia, bo zawsze chciałem należeć do duszpasterstwa akademickiego.

Gdzieś jeszcze drzemał we mnie pomysł wielkiej wystawy, dlatego rozpocząłem negocjacje z moderatorem DSiMzWsch⁵ (którego byłem członkiem przez około 2 lata) ks. Mariuszem Iliaszewiczem, któremu spodobał się ten pomysł. W tworzeniu nowych pomysłów i projektów towarzyszyła mi niemal zawsze Basia Mazurkiewicz. Nawet byliśmy z Pawłem Pasikiem w sprawie tej wystawy (niestety bez Basi) w siedzibie Centrum Myśli Jana Pawła II przy ul. Foksal 11 w Warszawie.

⁴ Z angielskiego – za darmo.

⁵ Duszpasterstwo Młodzieży i Studentów ze Wschodu.

Tak się złożyło, że to niefortunne spotkanie odbyło się 18 maja 2010 r. w dniu urodzin Jana Pawła II, ale mimo braku wsparcia ze strony CMJP2 przekazałem w tym dniu swoje prace – licencjacką i magisterską wraz z załącznikiem do tutejszej biblioteki.

W zasadzie mogłem przewidzieć, że o sponsoringu nie może być mowy, dlatego kiedy kolejni wielcy sponsorzy zaczęli się wykruśzać, mania wielkości przestała mnie prześladować.

Wśród potencjalnych sponsorów najprzystojniej zachowała się Poczta Polska, która wystosowała do mnie pismo, w którym przeproszała mnie, że „ze względu na światowy kryzys” nie może pomóc mi w moim przedsięwzięciu.

Tak osuwając się, również dzięki Pawłowi Pasikowi, z inną koncepcją wystawy, wróciłem na macierzysty grunt, czyli do dzielnicy Wesoła. Wprawdzie prowadziłem wstępne rozmowy z panem Edwardem Kaliszem – Dyrektorem Ośrodka Kultury, na jesieni 2009 r. w czasie jednej z wystaw innego autora, ale zazaczyłem, że zrobię wystawę w Ośrodku po zakończeniu żałoby po mojej mamie.

Postanowiłem najpierw zrobić wystawę w kościele Brata Alberta w drugiej połowie października 2010 r., tak aby łączyła się z rocznicą wyboru Karola Wojtyły na papieża. Wówczas przeprowadziłem wstępne rozmowy z księdzem proboszczem Józefem Skarpetowskim.

Początkowo podchodził do mojego przedsięwzięcia z rezerwą, ale kiedy zobaczył, że przygotowania idą pełną parą, osobiście doglądał ich okiem gospodarza i przyjaciela oraz doradzał swoimi pomysłami, jak ulepszyć jakość wystawy.

Muszę dodać, że żadna moja wystawa nie odbyłaby się, gdyby nie wszechstronna pomoc Pawła i Basi, która przygotowywała wszelkie druki. A przede wszystkim dzięki finansowemu wsparciu miejscowych sponsorów.

Byli nimi właściciele firm z Dzielnicy Wesoła, przez których jestem dobrze postrzegany i którzy darzą mnie przyjaźnią. Tak jak z firmą fotograficzną ze Starej Miłosnej, która kredytowała i wykonywała zdjęcia na moją ekspozycję. Szczególnie jestem wdzięczny Adamowi Kielczykowi szefowi tej firmy i jego siostrze Kasi Kielczyk, a z Osiedla Zielona – Zbigniewowi Putce, właścicielowi piekarni, panu Marianowi Chodkiewiczowi, właścicielowi cukierni, państwu Kamińskim i jeszcze kilku osobom, które pragną pozostać anonimowe.

Dzięki temu, że spotkałem się z życzliwością wielu przedsiębiorców, ponownie zaczęły mi rosnać skrzydła, ale byłem też świadomy ciężającej na mnie odpowiedzialności za dobór i jakość ekspozycji.

Zaproszenia i plakaty projektowała na obie wystawy Basia. Dość wysoki stopień zaawansowania przygotowań pozwoliły mi na zaproszenie moich dyrektorów z pracy i przyjaciół na wernisaż wystawy, który odbył się 22.10.2010 r., czyli w dniu 32. rocznicy pierwszej Mszy Świętej odprawionej przez Jana Pawła II, tzw. hege-monium.

Wtedy też po raz pierwszy wyłożyłem swoją Księgę Pamiątkową. Są w niej wpisy wielu znamienitych osób, w tym pani Alicji Kapuścińskiej (wdowy po Ryszardzie), która wprawdzie nie mogła być na wernisażu, ale odwiedziła moją wystawę w terminie późniejszym.

Z tej wystawy pojawił się też artykuł w „Tygodniku Lokalna”. Potem już tylko trwały gorączkowe przygotowania do Pierwszej Komunii Świętej naszej córki, która miała odbyć się 8 maja 2011 roku w kościele Najświętszej Maryi Panny w warszawskim Międzylesiu.

Jakby wbrew logice, a przede wszystkim w hołdzie Janowi Pawłowi II, na przełomie kwietnia i maja roku 2011 zorganizowałem II edycję wystawy, tym razem w Ośrodku Działań Twórczych Pogodna, który jest filią Ośrodka Kultury Wesoła.

Tu znów niezawodny okazał się Paweł Pasik i niemal wszyscy dotychczasowi sponsorzy. W przygotowaniach pomogła mi bardzo Ewa P., pracownik ODT Pogodna, która oprócz wielu innych umiejętności miała niesamowity zmysł artystyczny. Ponadto wygłosiła mowę powitalną dla publiczności.

Ta wystawa była trochę inna niż poprzednia. Przede wszystkim terminem obejmowała uroczystości beatyfikacyjne Jana Pawła II w Watykanie. Po drugie zamieściłem fotografie, które były uzupełnieniem okresu, jaki upłynął od października 2010 r. do końca kwietnia 2011 r. Poza tym po raz pierwszy pokazałem publicznie fotografie z nawiedzenia pamiątek po Janie Pawle II w lokalnych parafiach. Dodatkowo wystawiłem rekwizyty papieskie, w tym m.in. swoje prace licencjacką i magisterską, karty akredytacyjne z uroczystości papieskich i inne tego typu eksponaty.

Spotkało się to z dużym zainteresowaniem. Miło mi było gościć: ks. proboszcza z parafii św. Brata Alberta – Józefa Skarpetowskiego, burmistrza Dzielnicy Wesoła Edwarda Kłosa wraz z wiceburmistrzem Marianem Mahorem, mojego promotora pracy magisterskiej prof. dr. hab. Rafała Habielskiego, panią Beatę Orlińską (ówczesną wychowawczynią mojej córki), oraz przyjaciół, kolegów i koleżanki z pracy i osiedla.

Wernisaż poprowadziła jak zawsze niezawodna pani Katarzyna Zgórzak, po niej zabrał głos ks. Józef, który powiedział: *Znam Pana Jacka od zawsze i zawsze można na nim polegać.* To stwierdzenie sprawiło mi dużą satysfakcję.

Burmistrz zaznaczył, że moja *wystawa wpisuje się w obchody wydarzeń beatyfikacyjnych w naszej dzielnicy.* Z tej edycji byłem naprawdę dumny m.in. dlatego, że trzy duże wykonane przeze mnie zdjęcia stanowiły element scenografii koncertu Stanisława Soyki w kościele Brata Alberta. Cały czas uczestniczyłem (na ile czas pozwalał) w wydarzeniach papieskich.

Jednym z ostatnich, w jakim brałem udział, był XII Dzień Papieski i Święto Miłosierdzia w Łagiewnikach. Na ten Dzień Papieski, a właściwie koncert przed kościołem św. Anny, trochę się spóźniłem, ale z uwagą wysłuchałem i obfotografowałem.

W październiku 2011 r. po raz pierwszy byłem na pl. Piłsudskiego w bezpośredniej bliskości niesionych przez kapłana relikwii błogosławionego Jana Pawła II. Muszę przyznać, że było to niesamowite przeżycie. Czułem się wtedy, jakby sam papież szedł przede mną. Dodam jednak, że oprócz emocji musiałem skupić się na wykonywaniu fotografii.

Takie zestawienie okoliczności tych dwóch zdarzeń spowodowało, że czułem ogromny zaszczyt z tego powodu. Również fakt rozpoznawalności mojej osoby przez organizatorów dodawał mi poczucia wartości i mobilizował do dalszej wyteżonej pracy.

Na chwilę wrócę do roku 2008, kiedy to w dniu 2 października otrzymałem nagrodę „Srebrne Pióro za działalność na rzecz uczelni”. Były to naprawdę miłe chwile i nie sposób ich zapomnieć. Smaku tej sprawie dodaje fakt, że odważyłem się przed profesorskim audytorium uczelni, absolwentów i zaproszonych gości, wypowiedzieć podziękowanie w imieniu własnym i kończących wraz ze mną uczelnię koleżanek i kolegów.

Muszę przy okazji wspomnieć o panu Andrzej Gielecie i pani Katarzynie Szymańskiej, którzy cierpliwie pomagali mi i z którymi przyjaźnię się do dzisiaj. Nie sposób nie wspomnieć moich rodziców, którym dedykuję tę książkę, oraz żonie i córce, które cierpliwie znosiły nieustające moje wyjścia na imprezy papieskie i nocne powroty.

Wiele z nich odbyliśmy razem lub przynajmniej w części, jak choćby Sydney w Warszawie, czy beatyfikację ks. Jerzego, czy ŚDM Kraków 2016. Szczególnie podziękowanie należą się mojemu tacie Andrzejowi Kalinowskiemu, który wielokrotnie dowoził mnie na uroczystości religijne i pomagał bardzo często w nabyciu niezbędego sprzętu reporterskiego.

Innym faktem stała się przyjaźń zawarta z Barbarą Mazurkiewicz, która po skończonych studiach na lubelskich uczelniach ruszyła w poszukiwaniu pracy na podbój Warszawy i w pewnym momencie życia, dzięki różnym kontaktom, stała się moją przyjaciółką.

To głównie Basia, czytając moje pojedyncze religijne opowieści, mobilizowała mnie wielokrotnie do zebrania ich w jedną całość, aż do przełomowego momentu w czerwcu 2021 r., kiedy podczas wizyty Basi z mężem i dziećmi u nas w Wesołej **połknąłem bakcyła pracy twórczej, której efektem jest ta książka**. Oczywiście duże znaczenie miała też moja większa niż dotychczas dojrzałość do zadania, jakie stanęło przede mną.

Duży ukłon dla przyjaciół: rodziny Barbary i Krzysztofa Tokarskich oraz ich dzieci, a także seniora rodu Tadeusza Siuty. Bez nich moje, a właściwie „naszej trójki” pobyty w Krakowie byłyby po prostu niemożliwe. Dodam, że oni nie tylko nas wspierali dobrym słowem i czynem, ale często zapewniali możliwość noclegu wraz z innymi dobrami. Ponadto dzięki nim mogliśmy uczestniczyć w Krakowie w nabożeństwach pod przewodnictwem papieża: Benedykta XVI i Franciszka.

Znamiennym jest fakt, że z ŚDM Kraków 2016, oprócz zdjęć, powstała *ŚDM – moja opowieść* – chyba mój najlepszy reportaż, który przytaczam w tej książce. Dzięki temu wydarzeniu i moim udziałem w nim oraz jego owocach mogę jednoznacznie stwierdzić, że spełniłem się nie tylko jako dziennikarz, ale przede wszystkim jako katolik. Bardzo dziękuję przyjaciołom z tygodnika „Idziemy”, którzy mi mocno kibicowali szczególnie w czasie przygotowań i realizacji

wystawy „Przystanek, Kraków, Tryptyk” (SDM 2016)” w kościele św. Brata Alberta w Warszawie-Wesołej w 2016 roku.

Trzeba w tym miejscu wspomnieć o mojej przyjaciółce Irenie Świerdzewskiej („Idziemy”), która zaszczyliła swoją obecnością wernisaż i zrobiła relację do tygodnika. Również szczególne podziękowania dla przyjaciół Wojciecha Świątkiewicza i Radosława Molendy za ogromne wsparcie, które od nich otrzymałem podczas współpracy z „Idziemy”.

Nieustające podziękowania dla Pawła Pasika, który jak trzeba było coś pomóc zawiązał rękawy i ostro pracował dla mnie i to za dobre słowo. Równie ciepło muszę wspomnieć o Kasi Kielczyk, która razem z kolegą także pomagała w organizacji tej wielkiej wystawy.

Duże podziękowania przyjacielowi Markowi Kusibie (na ogół z Toronto) za wprowadzenie w tajniki dziennikarstwa, spędzony wspólnie czas i naukę na uczelni.

Równie serdeczne podziękowania dla pani dr Anny Mazurkiewicz za cierpliwość do mnie i wszechstronną pomoc przy powstawaniu mojej pracy licencjackiej.

Duże uznanie i podziękowanie dla pana prof. dr. hab. Rafała Habielskiego za prowadzenie mnie do tytułu magistra i przyjaźń.

Duże podziękowanie dla pani Barbary Okulicz-Sługockiej, Prezydent WSKiMS, która również czuwała nade mną i darzyła przyjaźnią.

Szczególne serdeczne podziękowania dla pani Krystyny Hardeckiej, która jako pierwsza spędzała wiele wieczorów nad moimi tekstami, nanosząc stosowną korektę całej publikacji, a co ważniejsze okazywała mi wielkie serce i zrozumienie.

Duże podziękowania dla pani Hanny Wyszynskiej za ostateczną korektę i przygotowanie do druku mojej książki, wielkie serce i zrozumienie.

Podziękowanie dla Przyjaciół nie wymienionych z imienia i nazwiska.

Od technika „Śniadeckich” do studenta „Giedroycia”

Po skończeniu liceum nie byłem od razu dopuszczony do matury (1986 r). Trochę z braku perspektyw musiałem iść dalej do jakiejś szkoły. Wybór padł na Policealne Studium Ekonomiczne im. J.J. Śniadeckich w klasie ze specjalnością przetwarzanie danych.

Wybór tej szkoły nie był przypadkowy, a wynikał wtedy z dużego zainteresowania podstawami informatyki nabytymi przez dość mocne użytkowanie przeze mnie „ZX Spectrum” firmy Sinclair, jednego z wielu powszechnie dostępnych modeli komputerów domowych.

Ponieważ nie wiedziałem, ile czasu zajmie mi dojazd do tej szkoły, przyjechałem na trzy godziny przed rozpoczęciem egzaminów wstępnych. W holu szkoły spotkałem nieznanego mi wcześniej chłopaka. Po kilku chwilach rozmowy przedstawił się z imienia i nazwiska, to był Krzysztof M. z Mińska Mazowieckiego. Po dalszej rozmowie, bliżej mnie nie znając, poprosił: *Jacek do rozpoczęcia egzaminu mamy jeszcze dużo czasu, zawieź mnie na grób księdza Popiełuszki, jeszcze tam nie byłem, a chciałem pomodlić się na Jego grobie.*

Muszę w tym miejscu przypomnieć, że trzeba było wtedy w takich miejscach zachować dyskrecję. Druga rzecz to fakt, że było to na długo przed beatyfikacją ks. Jerzego. Oczywiście pomodliliśmy się przy grobie naszego współczesnego męczennika i wróciliśmy do „Śniadeckich” na egzamin.

Ja z tego co pamiętam chyba nawet nie modliłem się o zdanie egzaminu, co i tak w ziemski sposób nie tłumaczy faktu, że kiedy wezwano nas na ogłoszenie wyników okazało się, że otrzymałem ocenę – bardzo dobry. Nie pamiętam, jaką ocenę otrzymał Krzysztof, bo zdawał na inną specjalizację.

Czas nauki w policealnym „ekonomiku” wspominam bardzo miło. Był to również okres przeżywania przeze mnie nowych „rembertowskich miłości” oraz wszystkich kawalersko-panieńskich wyjazdów do oazowego ośrodka rekolekcyjnego Murzasichle koło Zakopanego (nie tylko na rekolekcje).

Moja nauka u Śniadeckich w znacznym stopniu przyczyniła się do obrania przeze mnie dalszej drogi nauki, a ściślej poprzez praktyki zawodowe w TVP przy ul. Woronicza 17.

Zanim trafiłem na uczelnię dziennikarską ucześniełem na intensywny kurs tańca towarzyskiego w Klubie Osiedlowym Marysin Wawerski. Pewnego dnia pojawiła się tam ona, czyli piękna Kasia N., która całkowicie mnie onieśmielała i jawiła mi się jako kandydatka na modelkę, ale zgodziła się zostać moją partnerką do tańca. Nie chcę tu rozwijać tematu Kasi, dodam tylko, że w walcu wiedeńskim na naszym kursie byliśmy jednymi z najlepszych.

Ponieważ zainteresowanie dziennikarstwem u mnie było silniejsze niż tańcem, zdecydowałem, że wezmę udział w intensywnym kursie dziennikarskim PRESS-CLUB-u. Nie wiedziałem, jak powiedzieć Kasi, że rezygnuję z tańców. Miałem dużo szczęścia, bo to ona pierwsza zaczęła ze mną rozmowę: *Wiesz Jacek, dostałam się na medycynę i nie będę mogła chodzić na tańce*, w odpowiedzi powiedziałem jej o moich początkowo nieakademickich planach dziennikarskich. Na tym właściwie skończyła się nasza taneczna znajomość.

Od dnia 10.09. do 10.12.1991 roku byłem już słuchaczem pierwszej edycji kursu, który miał na celu przygotowanie do zawodu dziennikarza – w prasie, radiu, telewizji, w sumie 119 godzin praktyczno-teoretycznych. Po jego zakończeniu okazało się, że nie tylko trzeba mieć „lekkie pióro”, ale oprócz matury wiedzę akademicką w danej dziedzinie. Ponieważ dziennikarstwo stało się moim bakcyłem, zrobiłem wszystko, aby osiągnąć upragniony cel.

Po zdanej maturze nie poszedłem od razu do „Giedroycia” (ze względu na wysokie koszty czesnego). Swoją karierę studenta rozpocząłem dość niefortunnie od straconych dla mnie dwóch lat na Wydziale Ekonomicznym Uniwersytetu Warszawskiego. W tym czasie dostałem od życia mocno po głowie, co między innymi spowodowało skreślenie mnie z listy studentów i moją pierwszą hospitalizację.

Po około dwuletniej przerwie, zdopingowany przez koleżanki z pracy, które podejmowały wyzwanie studiowania, stwierdziłem: „Dlaczego nie ja, po raz drugi?”. Tak zrodziła się myśl o studiowaniu tego, co naprawdę mnie interesowało. Trochę z rezerwą, ale i z wielkim pragnieniem złożyłem dokumenty na prywatną uczelnię – Studium Zaoczne WSKiMS⁶ i czekałem na termin rozmowy kwalifikacyjnej.

W dniu tej rozmowy stwierdziłem, że aby osiągnąć sukces muszę, tak jak wcześniej, pomodlić się u grobu ks. Jerzego. Jak pomyślałem tak zrobiłem i pojechałem do kościoła pw. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu. Piszę o tym też dlatego, ponieważ miałem tam wtedy nietuzinkową przygodę. Otóż kiedy wstałem z klęcznika i w zasadzie miałem już jechać na uczelnię podeszła do mnie

⁶ Studium Zaoczne Wyższej Szkoły Komunikowania i Mediów Społecznych im. Jerzego Giedroycia.

pewna pani i poprosiła (ponieważ nie miała okularów), abym napisał jej na kartce modlitwę w intencji beatyfikacji księdza Jerzego.

Zrobiłem to, jak dziś oceniam, z dużym entuzjazmem. Jakby tego było mało, owa pani spytała mnie, czy może dla mnie coś zrobić. Odpowiedziałem, że chciałem poprosić, żeby *pani pomodliła się, abym dostał się na uczelnię dziennikarską*. Do dziś nie wiem dlaczego, ale ta pani z wielkim przekonaniem, jakby kierowało nią Niebo, powiedziała mi: *Będzie pan bardzo dobrym dziennikarzem*. Było to moje pierwsze i ostatnie spotkanie z tą panią, a subiektywnie oceniając, musiałem przynajmniej być dobrym dziennikarzem, skoro aż przez 11 lat moje teksty pojawiały się na łamach ogólnopolskiego tygodnika katolickiego „Idziemy” i w innych periodykach, a wcześniej regularnie na łamach „Tygodnika Lokalna”. Tak wzmocniony duchowo pojechałem na rozmowę kwalifikacyjną, gdzie otrzymałem ocenę „dobry”.

Ponieważ nie lubię nepotyzmu, dopiero po tym egzaminie poszedłem pokazać się do pani prezydent uczelni Barbary Okulicz-Sługockiej, która wcześniej była kierownikiem kursu dziennikarskiego PRESS-CLUB. Nie muszę dodawać, że bardzo się ucieszyła, kiedy powiedziałem, że będę studentem na jej uczelni.

Z tymi studiami w „Giedroyciu” to było tak, że częściowo znałem tamtejszych wykładowców z kursu dziennikarskiego PRESS-CLUB-u. Nie ma co kryć, na uczelni byłem bardzo lubiany zarówno przez profesorów, dziennikarzy, jak i koleżanki oraz kolegów. Może dlatego delegowali mnie na stanowisko starosty roku przez wszystkie lata studiów. Pewnie też dlatego, że potrafiłem dbać o nasze interesy wobec władz uczelni, które przyjmowały je bez większych zastrzeżeń. Myślę, że profesorowie i dziennikarze pracujący tam lubili mnie głównie dlatego, bo wobec nich zawsze zachowywałem pełną kulturę.

Żeby nie miał tak łatwo, przed zakończeniem magisterium dostałem od pani prezydent ekstra zadanie. Miałem wcielić się w rolę negocjatora i doprowadzić do sytuacji, aby studenci Wydziału Aktorskiego naszej uczelni zgodzili się na wspólne połowinki z Wydziałem Politologii.

Z samej specyfiki obu wydziałów wydawało się to być niemożliwe. Jednak mnie spotkało wtedy coś niesamowitego, bo kiedy wszedłem na próbę do „aktorów” nastąpiła cisza i w jednej chwili

wpatrzeni we mnie zamarli w bezruchu – tak jak aktorzy w moim ulubionym musicalu, kiedy w scenie z *Metra* przed castingiem pojawił się reżyser.

Powiedziałem o tym w podziękowaniu w dniu 2 października 2008 na inauguracji roku akademickiego, kiedy otrzymałem nagrodę „Srebrne pióro – za działalność na rzecz uczelni”. Dodam, że kiedyś podobnie jak wielu młodych ludzi marzyłem żeby występować w *Metrze*, a nawet byłem raz nieoficjalnie za kulisami w „Dramatycznym”⁷ podczas przedstawienia.

Wiedząc, że sukces mogę osiągnąć tylko wtedy, kiedy się nawracam i jestem w stanie łaski uświęcającej, od tamtej pory staram się tak robić.

W mojej głowie początkowo kołatało się pytanie, czy do „Giedroycia” nie mogłem iść od razu po zdanej maturze. Od razu odpowiadam sobie, że nie, ponieważ moim przeznaczeniem było trafienie na tych profesorów i dziennikarzy, którzy nauczali w tym czasie, kiedy ja byłem studentem.

Studia to nie samo siedzenie w książkach, byliśmy zapraszani na wieczory autorskie i wystawy naszych profesorów (pani red. Anny Mazurkiewicz czy red. Wojciecha Giełżyńskiego oraz przyjaciół red. Marka Kusiby).

Wiosną 2005 roku, kiedy byliśmy na III roku, przeżyliśmy głębokie doświadczenie Odchodzenia do Domu Ojca papieża Jana Pawła II, które to wydarzenie zrobiło z niektórych z nas dojrzałych dziennikarzy.

Poznaliśmy wspianą duet panów: reżysera Marka Wysockiego i redaktora Marka Kusibę, którzy wpłynęli na „swoich studentów” (jak byliśmy miło przez nich nazywani) bardzo twórczo. Pamiętajmy, że był to czas papieskich czuwań i koncertów, których byłem wytrwałym uczestnikiem i reporterem. Dlatego, kiedy przyszło do wyboru tematu pracy licencjackiej, nie mogło być innego niż papieski.

Wtedy wiele mi pomógł pan Wojciech Giełżyński (ówczesny rektor uczelni), przede wszystkim dobrym słowem, ale też kiedy

⁷ Teatr Dramatyczny w Warszawie, gdzie odbywały się pierwsze spektakle musicalu *Metro* w reż. Janusza Józefowicza z muz. Janusza Stokłosa.

dowiedział się, że tematem mojej pracy licencjackiej będzie Jan Paweł II, zaproponował udzielić mi profesjonalnego wywiadu, w którym opowiedział o specyfice pracy dziennikarzy podczas I Pielgrzymki JP-2 do Polski w 1979 roku.

Później pomocną dłoń podała mi pani red. Anna Mazurkiewicz, która stała się moim promotorem i ukształtowała temat mojej pracy licencjackiej: *Jan Paweł II – Wielki Komunikator*, którą obroniłem 15 lutego 2006 roku. Dwa lata trwało przygotowanie do obrony pracy magisterskiej (obroniona 16.04.2008 r.) pod okiem profesora dr. hab. Rafała Habielskiego, której temat brzmiał również papiesko: *Prasa wobec III pielgrzymki Jana Pawła II do Polski (czerwiec 1987 r.)*. Dodam tylko, że relacje student–profesor w naszej uczelni często przeradzały się w przyjaźń.

Wcześniejszym marzeniem z początku 2008 roku była scenka z mojego snu, kiedy rektor uczelni prowadził mnie pod rękę w czasie składania przeze mnie pracy magisterskiej. Nie minęło dużo czasu, kiedy senne marzenie stało się faktem.

Muszę w tym miejscu obiektywnie przyznać, że moja praca wyglądała dość imponująco. Może nie jeśli idzie o merytorykę samej pracy, ale dodatkowo poprzez wykonanie przeze mnie wzorem opracowanych w okładki bibliotecznych roczników prasy czterech egzemplarzy załącznika formatu A3, który zawierał kopie stron gazet opisujących III pielgrzymkę Jana Pawła do Polski w 1987 roku.

W dniu, kiedy mijałem furtkę dziekanatu w kierunku drzwi wejściowych uczelni, na parkingu przed szkołą zauważył mnie (kierujący się z zamiarem powrotu do domu) ówczesny rektor uczelni prof. dr hab. Waldemar Dziak. Kiedy zorientował się, co ja tam dzwigram (cztery egzemplarze zszywek prasowych plus cztery egz. pracy magisterskiej) wrócił się ze mną do Dziekanatu, cały czas prowadząc mnie pod rękę.

Był to dla mnie wyjątkowy zaszczyt. Kiedy weszliśmy obaj do sekretariatu, skierował do siedzącej tam pani słowa: *Proszę zanotować, student Kalinowski przyniósł pracę magisterską*.

Jadąc na obronę prac: licencjackiej i magisterskiej miałem wrażenie, że jestem dość dobrze przygotowany, dlatego ta myśl pozwoliła mi zapakować do samochodu taty plecaki na wyjazd pociągiem z żoną i córką na zasłużony odpoczynek do Zakopanego.

Srebrne pióro dla Naszego Redaktora (artykuł)

W dniu 2.10.2008 r. o godz. 12:00 w Wyższej Szkole Komunikowania i Mediów Społecznych im. Jerzego Giedroycia miała miejsce Inauguracja Roku Akademickiego 2008/2009. W trakcie tej uroczystości, która była również uwieńczeniem 15-lecia istnienia tej Uczelni, słowo wstępne wygłosiła pani Barbara Okulicz-Sługocka – Prezydent WSKiMS, a wykład inauguracyjny o tematyce historii kontaktów polsko-chińskich wygłosił pan prof. Waldemar Dziak – rektor uczelni. W dalszej części uroczystości wręczono zasłużonym pracownikom uczelni dyplomy i upominki książkowe. Za swoją ciężką pracę i sukcesy zostali nagrodzeni również jej absolwenci. Wśród nich był Jacek Kalinowski – redaktor „Tygodnika Lokalna”, którego nagrodzono „Srebrnym Piórem za działalność na rzecz Uczelni”.

W tym dniu otwarto też wystawę jego fotografii o tematyce papieskiej na terenie Uczelni. Po części oficjalnej studenci Wydziału Aktorskiego przedstawili bogaty program artystyczny, a po przezwie na lunch zaprezentowali wspaniałe przygotowane przedstawienie *Pierwszy raz* Michała Walczaka w reżyserii Grzegorza Chrapkiewicza.

Wokół Parafii Świętego Alberta Chmielowskiego w Warszawie-Wesołej

Pierwotnie postacią numer jeden w parafii św. Brata Alberta był jej pierwszy proboszcz ks. Edward Wachowicz (niestety już nieżyjący). To on dialogował ze mną w furazerce w stopniu pułkownika (najwyższy stopień w służbach porządkowych Totus Tuus) przed przyjazdem Ojca Świętego Jana Pawła II. Było to podczas III pielgrzymki papieża do Polski, kiedy w tej świątyni miał się spotkać z siostrami klauzurowymi.

Książd Edward spowodował mój powrót na łono Kościoła. Trzeba dodać, że budujący się kościół św. Brata Alberta w Wesołej początkowo powstawał w wielkich trudach i kłopotach. Mam tę przyjemność, że odpracowałem kilka dniówek przy wylewaniu jego fundamentów i innych pracach budowlanych.

A początkowo należałem do tych, którzy w dawnej kaplicy podpierali ściany. Któregoś razu ks. Edward przywołał mnie wzrokiem

do ambony i pokazał palcem w jakiejś książce tekst, który miałem przeczytać. Ta sytuacja niczym z dobrego filmu tkwi w mojej pamięci jako zasadniczy początek drogi do pogłębiania mojej wiary.

Wówczas, mimo że choć dorosły, to jednak jako liturgiczny żółtodziób, nie miałem pojęcia, że ta książka nazywa się *Lekcjonarz Mszalny* i że w Kościele są jakieś okresy liturgiczne poza Wielkanocą i Bożym Narodzeniem. Przyszło to z czasem i doświadczeniem. Kiedy pierwszy raz czytałem Słowo Boże, byłem zupełnie do tego nieprzygotowany technicznie i co gorsza duchowo.

Ksiądz Edward był bardzo otwarty na niemal wszystkie pomysły ówczesnych oazowiczów z Osiedla Zielona. Między innymi takie jak sobotnio-poranne próby religijnego zespołu rockowego, który tworzyli początkowo: Dariusz F. i bracia Tomasz i Grzegorz B. oraz siostry Ewa i Lidia P., Stanisław K. i ja w roli *menago* zespołu. Przypomnę, że początkowo próby zespołu muzycznego odbywały się w baraku z pustaków, w tym samym, gdzie wcześniej odprawiane były Msze Święte.

Z czasem nabożeństwa i próby odbywały się w tzw. dawnej kaplicy (obecnie jest to pomieszczenie sali multimedialnej). W cieplejsze dni ołtarz był umieszczony przy obecnym wejściu do kancelarii parafialnej, gdzie sprawowane były Msze Święte polowe.

Dzięki uprzejmości i zrozumieniu ks. Edwarda, który pozwalał nam na organizowanie imprez oazowych na terenie plebanii, np. możliwe było zrobienie bezalkoholowej zabawy sylwestrowej, czyli pożegnania starego roku, tzw. „Melanii” – równoprawnej solenizantki z 31 grudnia obok Sylwestra.

Ja już w połowie lat 80-tych, kiedy przekroczyłem magiczne 18 lat, stałem się (z opóźnieniem wiekowym) pełnoprawnym ministrantem i lektorem parafii św. Brata Alberta.

Przez kilka lat mej posługi w tutejszej parafii przewinęło się wielu księży, z których najbardziej utkwił w mojej pamięci ks. Emil Adler, który pomógł mi na pierwszym etapie rozliczyć sumienie z najcięższych grzechów.

Równie miło wspominam ks. Przemysława Bienieckiego, który jako pierwszy wikary w naszej parafii stał się moim oddanym przyjacielem. Był on nowym typem księdza o otwartym sercu i umyśle. Takim, który oglądał „normalne filmy” i jeździł na wspaniałym rowerze.

Z łezką w oku wspominam ks. Zbigniewa Skowyrę, z którym organizowaliśmy wiele działań dla młodzieży. Wśród nich ogromne przedsięwzięcie, jakim były przygotowania i wyjazd na XX Światowe Dni Młodzieży z papieżem Benedyktem XVI w Kolonii w 2005 roku (piszę o tym w innym tekście). Stamtąd, już po przekroczeniu granicy Polski, jechałem do Kołobrzegu, gdzie miałem się spotkać z tatą, moją żoną i córką, i skąd wyruszyliśmy na nasze pierwsze rodzinne wakacje do ośrodka wypoczynkowego państwa Szymkowiaków w Rewalu.

Poza wszelką konkurencją znajduje się w mej pamięci drugi ksiądz proboszcz Parafii św. Brata Alberta, ks. dr Józef Skarpetowski. To on stał się z czasem moim przewodnikiem duchowym. Wielokrotnie – może nikt nie wie – dobrym słowem dosłownie ratował mi życie.

Tak się złożyło, że moje życie od początku lat dziewięćdziesiątych stało się bardziej skomplikowane. To za sprawą równoczesnych kłopotów w pracy, pierwszych podjętych przeze mnie studiów na Wydziale Ekonomicznym UW oraz pierwszej miłości, która przyszła za późno.

Ponieważ była to sprawa niełatwa, spędzałem całe godziny u boku mojego powiernika i spowiednika księdza Józefa. Dzięki niemu, mimo czasowych pobytów w szpitalu, udało mi się przetrwać najtrudniejsze chwile mojego życia. Nie sposób opisać słowami, ile dobra zaznałem od ks. Józefa. Napiszę tylko, że on, podobnie jak innym zwracającym się do niego o pomoc, otwierał dusze i serca na wyższe wartości. Nie dziwi fakt, że uroczystości pogrzebowe ks. Józefa 14 i 15 lutego 2020 roku zgromadziły setki wiernych.

Jak głosi tablica pamiątkowa na fasadzie kościoła św. Brata Alberta, świątynia została wybudowana staraniem ks. Józefa, który również zadbał o wyposażenie w ławki, nowoczesne konfesjonały, stałą posadzkę kamienną, prezbiterium, plebanię i teren wokół kościoła.

Po przejściu na emeryturę ks. Józefa Skarpetowskiego na stanowisko proboszcza został mianowany ks. dr Maciej Chibowski, który wraz z pozostałymi kapłanami tutejszej parafii i wiernymi podjął wiele inicjatyw inwestycyjnych, takich jak odnowienie wnętrza kościoła, utworzenie kaplicy adoracji oraz nowoczesnej sali multimedialnej, a dbając o rozwój duchowy i kulturalny parafian

zorganizował przy znaczącym współudziale ks. dr. Andrzeja Chibowskiego np. trzy koncerty transmitowane przez stacje telewizyjne: 29.01.2019 „Zatroskana Kolęda – Pokój dla Niepodległej” – zrealizowany przez Telewizję Trwam przy współpracy z Fundacją Kresy Historii, drugi koncert – 16.08.2020 „Urodzeni do Wolności” (TVP3), trzeci koncert 06.01.2022 „Bo w rodzinie siła” (TVP1).

Aktualnie w parafii jest realizowana kolejna wielka inwestycja, która była marzeniem ks. Józefa – budowa profesjonalnych organów. Z inicjatywy ks. Macieja Chibowskiego zrealizowano pierwszy etap budowy, który w całości został sfinansowany przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Mam przekonanie, że dla wielu wiernych, podobnie jak dla mnie, ważną postacią jest osoba patrona parafii – święty Brat Albert Chmielowski, o którym mówiono, że *był dobry jak chleb*. Znaną są słowa Brata Alberta, że *trzeba każdemu dać jeść, bezdomnemu miejsce, a nagiemu odzież, bez dachu i kawałka chleba może on już tylko kraść albo żebrać dla utrzymania życia* lub słowa *człowiek dla drugiego człowieka powinien być dobry, jak pajda chleba*.

Dla tych parafian, którzy chociaż w zarysie znają życiorys św. Brata Alberta i nie tylko dla nich, jest on wielkim świętym polskiego Kościoła, z którego są dumni i dlatego tym chętniej uczestniczą w mszach świętych, mając za patrona taką osobowość.

Współpraca z „Idziemy”

Pewne zlecenia, które miałem przyjemność relacjonować dla katolickiego ogólnopolskiego tygodnika „Idziemy”, wymykały się spod ogólnej normalności. Wiele wśród nich to zadania wysoce nacechowane emocjami i wspaniałymi przeżyciami, które były mi zlecane przez moich zwierzchników z redakcji tego tygodnika.

Wprawdzie w początkowym etapie współpracy miałem trudności, żeby zsynchronizować swoje możliwości czasowe z otrzymywanymi propozycjami zadań do wykonania. Potem wykonywałem z doskoku pojedyncze notki prasowe i relacje, aż przyszedł czas na dojrzałe artykuły.

Drugi etap współpracy z „Idziemy” nastąpił w roku 2009. Wtedy otrzymałem dwa wyzwania, które wymagały nie lada odwagi, aby je zrealizować, przede wszystkim dlatego, że oprócz dość

słabej mojej znajomości języka angielskiego były to zadania wymagające działań tzw. z marszu (bez przygotowania), bez możliwości przewidzenia, jak się zaczną i jak się skończą.

Zadania, o których tu piszę, to m.in. wywiad z Gail Gildman, Amerykanką ze świeckiej organizacji, która promuje modę na czystość przedmałżeńską. Drugie ambitne zadanie, które otrzymałem, to zrobienie relacji podczas nawiedzenia symboli ŚDM na warszawskim Bródnie (2009 rok). Dla mnie dodatkowym utrudnieniem był fakt, że w tamtym czasie choroba nowotworowa mojej mamy Haliny i niedługo potem jej śmierć stały się niezwykle dramatycznymi wydarzeniami, z którymi musiała się zmierzyć cała moja rodzina.

Dwa powyższe zadania były możliwe do wykonania dzięki akceptacji mojego taty Andrzeja, którego radziłem się, czy powinienem, jego zdaniem, zagłębiać się w żałobę po mamie, czy raczej zrobić coś pożytecznego w ramach, w pewnym sensie, tak potrzebnej dla mnie w tamtym czasie psychoterapii twórczej. Wobec akceptacji i zrozumienia taty podjąłem te dwa wyzwania dziennikarskie.

Dość powiedzieć, że obie te relacje odebrane zostały w redakcji „Idziemy” z dużym uznaniem. Podczas przeprowadzania wywiadu (2009 rok), który miał miejsce w jednej z sal kościoła pw. św. Andrzeja Boboli na warszawskim Mokotowie, po raz pierwszy z bliska zobaczyłem pana Marka Jurka.

Natomiast podczas nawiedzenia symboli ŚDM na warszawskim Bródnie podszedł do mnie po zakończeniu uroczystości ks. Janusz Kopczyński, który zaproponował mi odwiezienie swoim samochodem do domu. Było to okazanie wielkiego serca ze strony nieznanego mi wtedy księdza z dwóch powodów: pierwszy to taki, że na dotarcie do domu komunikacją miejską nie miałem szans ze względu na późną porę dnia, a drugi, że podczas przejazdu utulił duchowo moje cierpienia z powodu śmierci mamy.

Nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy obaj, że Pan Jezus pozwoli nam się spotykać przy innych okazjach, a także nie wiedziałem o tym pełnym ciepła miłym księdzu, że w Diecezji Warszawsko-Praskiej pełni funkcję dyrektora Diecezjalnego Ośrodka Duszpasterstwa Akademickiego „Arka”, a pod koniec września 2009 roku, dzięki jego uprzejmości, zabierze mnie i moją żonę Małgosię z młodzieżą akademicką na pielgrzymkę autokarową do Czech, a przede wszystkim na spotkanie papieża Benedykta XVI z młodzieżą w Stará Boleslav.

Współpracę z „Idziemy” musiałem przerwać wiosną 2020 roku, głównie ze względu na brak pracy wywołany pandemią SARS-CoV-2. Całkiem niedawno (w czerwcu 2021 roku) z przyjaciółmi z tego pisma, Radkiem Molendą i Wojtkiem Świątkiewiczem, mówiliśmy pół żartem pół serio, że oni i pozostali moi przyjaciele z „Idziemy” zrobili ze mnie „bożego komandosa”.

To pojęcie kształtuje dalej w sobie pod wpływem wysłuchiwania na YouTube rekolekcji śp. ks. Piotra Pawlukiewicza i ks. Dominika Chmielewskiego, od początku 2021 roku. Dowiedziałem się z tych rekolekcji przede wszystkim tego, że Pan Jezus wśród swoich umiłowanych nie potrzebuje perfekcjonistów. To coś dla mnie, pomyślałem i nabrałem powietrza w płuca – słucham ich w każdej wolnej chwili, zwłaszcza że to bardzo mądre i pouczające nauki. Te rekolekcje poleciła mi moja duchowa przyjaciółka Kryśka Kazanowska, za co w tym miejscu bardzo jej dziękuję.

Wracając do „Idziemy”, to dostawałem czasami dość trudne zadania, które musiałem realizować na krawędzi możliwości do ich wykonania. Na przykład kiedyś, będąc w zupełnie innym miejscu, gdy nie miałem przy sobie sprzętu fotograficznego, zostałem poproszony o wyjazd do Wyższego Duchownego Seminarium Diecezji Warszawsko-Praskiej na warszawskim Tarchominie, aby zrobić relację z inauguracji roku akademickiego, a miałem za mało czasu, aby jechać po sprzęt do domu.

Wykonanie tego zadania było możliwe dzięki pomocy mojej żony Małgosi, która w zasadzie nie znała się na sprzęcie fotograficznym, a na dodatek musiała go spakować i przywieźć w umówione miejsce, no i udało się. Inne podobne zadania, jakie otrzymywałem, cechowały się tym, że na miejsce wydarzenia, czy z powrotem, nie było czym dojechać ani jak wrócić. Wielokrotnie żegnałem wzrokiem odjeżdżający z przystanku ostatni autobus.

Wiedział o tym Redaktor Naczelny „Idziemy” ks. Henryk Zieliński, który doceniał to, że na mnie można było polegać, dlatego w redakcji podobno mówił: *Jak nie ma czym dojechać – wyślijcie pana Kalinowskiego*. W moich zadaniach zwyciężało to, że traktowałem je jako powołanie i służbę u Pana Jezusa oraz dobrą zabawę.

Trzeba powiedzieć, że wobec braku transportu wielokrotnie docierałem na miejsce wydarzenia dzięki autostopowej pomocy życzliwych ludzi (którzy często sami proponowali mi podwózkę),

a w ostateczności dojeżdżałem lub wracałem taksówką, bywało że gratis. Za dobroć tych ludzi zawsze obiecywałem im modlitwę i tak naprawdę czyniłem.

Niektórych skomplikowanych sytuacji, którym musiałem stawić czoła, nie sposób wyjaśnić po ludzku. Mam tu na myśli między innymi i takie, gdzie przy pomocy mojej modlitwy *Panie Jezu spraw, abym miał czym dojechać do kościoła w.... i zrobić coś na Twoją Chwałę* udawało się przezwyciężyć wszystkie przeszkody.

Choć mam świadomość, że nie jestem wybrany, a nawet jestem dużym grzesznikiem, to kilka minut po takiej modlitwie trafiał się nie wiadomo skąd środek transportu, który zawoził mnie do celu. Dlatego bez wpadania w pychę mogę stwierdzić, że wielokrotnie czuwał nade mną Duch Święty.

Żeby nie być tak do końca gołosłownym, to przytoczę fakt, że z nieznanym mi przyczyn, czasami w miejscach publicznych, na moich ustach pojawiały się stwierdzenia i cytaty niemal z samego Nieba. Tak jak podczas wykonywania zadania, kiedy robiłem relację dla „Idziemy” z Karczewa w czasie uroczystości Bożego Ciała w 2016 roku.

Miałem wtedy ze sobą rower, który pozwolił mi na szybki objazd trasy i obejrzenie ołtarzy, po czym wróciłem do kościoła. Przy wejściu do zakrystii spotkałem księdza proboszcza, który zapytał mnie, czy widziałem ołtarze. Powiedziałem, że tak i on dalej pytał: *Jak się panu podobają?* Rzeczywiście były piękne, okazałe, a ja nie wiem czemu zamiast tego powiedziałem mu, że *te ołtarze wyglądają jak na przyjazd Franciszka*.

Myślę, że obaj nie spodziewaliśmy się takiej opinii o nich i to w roku przyjazdu Franciszka do Polski. Ksiądz proboszcz użył mojej wypowiedzi (nie zdradzając mnie mówił: *ktos mi powiedział o karczewskich ołtarzach...*) w homilii na zakończenie procesji i dodał, dalej żartując do swojej społeczności, że: *chyba nie mielibyśmy nic przeciwko, aby Franciszek trochę skręcił w kierunku Karczewa*, powodując wiele uśmiechów wśród wiernych, głównie tych, którzy co roku muszą się napracować przy powstawaniu tych pięknych ołtarzy.

Smaku temu wydarzeniu dodaje fakt, że w tej parafii posługiwał wtedy ks. Przemek Bieniecki, którego znałem i przyjaźniłem się z nim z czasów, gdy był wikarym w „Albercie”.

Z innych nietuzinkowych zadań, które „szły serią”, wymienię np. nawiedzenie kopii obrazu Matki Bożej Częstochowskiej w Dekanacie Rembertów. Tu moim głównym powodem do dumy była relacja z zakończenia (z kościoła pw. Najczystszej Serca Maryi na pl. Szembeka w Warszawie) peregrynacji w Diecezji Warszawsko-Praskiej, byłem szczerze wzruszony, kiedy zobaczyłem na dwóch kolumnach najnowszego wydania „Idziemy” moje piękne zdjęcia i tekst, co uważam za swój największy sukces dziennikarski.

Kilka lat wcześniej robiłem relacje z parafii Dekanatu Rembertów, gdzie eksponowano relikwie trzeciego stopnia papieża Jana Pawła II (chyba tylko relacja dla tygodnika „Lokalna”). Zapytałem wtedy jednego z księży, czy mogę dotknąć sutanny Ojca Świętego, po otrzymaniu zgody – marzenie się spełniło.

Oprócz tzw. prac na zamówienie robiłem wiele zdjęć na własne potrzeby na koncertach i innych wydarzeniach religijnych realizowanych po śmierci JP-2.

Dziękuję tym samym moim przyjaciołom z redakcji „Idziemy” nie tylko za to, że mogłem nabrać wyrobienia dziennikarskiego, ale przede wszystkim dlatego, że przez to mobilizowałem się, aby być blisko Pana Boga i prawd Wiary.



Kraków, okolice Sanktuarium Bożego Miłosierdzia – Pielgrzymka Benedykta XVI do Polski (2006), fot. Jacek Kalinowski



Krzysztof i Barbara Tokarscy, Małgorzata Kalinowska – Pielgrzymka Benedykta XVI do Polski (2006), fot. Jacek Kalinowski



Warsztaty tańca uwielbieniowego „Jabadajka” – Sydney w Warszawie (2008), fot. Jacek Kalinowski



Pielgrzymi powracający z Mszy Świętej (Stará Boleslav – Pielgrzymka Benedykta XVI do Czech (2009), fot. Jacek Kalinowski



Ks. prałat Józef Skarpetowski – kościół św. Brata Alberta Warszawa-Wesoła (2018), fot. Jacek Kalinowski



Ks. kanonik dr Maciej Chibowski i ks. dr Andrzej Chibowski koncert „Zatraskana Kolęda – Pokój dla Niepodległej” (2019), fot. Adam Klejnowski



Inscenizacja protestu robotniczego – beatyfikacja ks. Jerzego Popiełuszki 2010 r., fot. Jacek Kalinowski



Jacek Kalinowski na trasie do *Campus Misericordiae* (ŚDM Kraków 2016), fot. Małgorzata Kalinowska

Rozdział II

Od nawrócenia do fascynacji Janem Pawłem II

Pierwszy kontakt z Kościołem

W moim dorosłym życiu szczególnie wiele miejsca zajmują sprawy wiary za przyczyną osobistego aktywnego uczestnictwa w życiu Kościoła. Nie zawsze jednak tak było.

Mój pierwszy kontakt z Kościołem, jaki pamiętam, był tragiczny. Wiązał się on ze śmiercią mojej ciotecznej siostry Hanny L. podczas wakacji 1973 roku. Miała ona zaledwie 13 lat (dzieci nie umierały wtedy tak często jak obecnie). Ja miałem wówczas 7 lat. Był dzień 15 sierpnia 1973 r., święto Wniebowstąpienia Najświętszej Maryi Panny, a przy tym dzień urodzin babci Bronisławy, u której większość jej wnucząt była na wakacjach.

Babcia z dziadkiem Stanisławem (ze strony mamy) mieszkali w Helenowie (dawne woj. radomskie, powiat lipski n/Wisłą, nieopodal wsi Maruszów).

Zdecydowanie przedwczesne odejście siostry było wielką tragedią dla całej rodziny. Może dlatego właśnie zdecydowano o pochowaniu jej na odległym o siedem kilometrów od Helenowa cmentarzu w Pawłowicach, a nie na miejscowym w Świdwinie, w dawnym województwie koszalińskim, gdzie mieszkała rodzina L., odległym od Pawłowic o około 640 km.

Chociaż od tego wydarzenia minęło prawie pięćdziesiąt lat, to wiele szczegółów tego pogrzebu tkwi nadal w mojej pamięci z niemalże fotograficzną dokładnością. Odtąd też motyw kościoła i cmentarza w Pawłowicach zaczął na stałe towarzyszyć mojemu życiu.

W najodleglejszych czasach jeździło się tam, podobnie jak większość ówczesnych gospodarzy – wozem konnym. Jeszcze czuję świeży zapach wiązki słomy przykrytej narzutą, na której siadaliśmy, by zawieźć na grób kwiaty, zapalić znicze zmarłej siostrze. Przede wszystkim zaś, by wziąć udział we Mszy Świętej w jej intencji.

Mimo to w dzieciństwie nie byłem zbyt blisko życia Kościoła, modlitwy, czy prawd wiary. Kolejnym motywem mojego życia było

trzymanie się nieco na uboczu od moich kolegów i koleżanek, którzy uczestniczyli w lekcjach religii w Kościele Garnizonowym w Legionowie, gdzie mieszkałem do dziesiątego roku życia i gdzie pojawiły się u mnie pierwsze marzenia o harcerstwie.

W tej podwarszawskiej miejscowości mieszkałem w bloku wraz z rodzicami i siostrą do 1976 roku. Moi przyjaciele z klasy nie dawali jednak za wygraną i z wielką, jak dziś to oceniam, troską nakłaniali mnie do uczestniczenia w lekcjach religii. Pod ich wpływem wkrótce nadrobiłem zaległości i mogłem razem z nimi przystąpić do Pierwszej Komunii Świętej. W przygotowaniach do przyjęcia po raz pierwszy Pana Jezusa wiele zawdzięczam dużemu zaangażowaniu moich babć: Bronisławy Pluty i Leokadii Kalinowskiej.

Myślę, że moja postawa z dała od Kościoła i wiary wiązała się z tym, że w okresie wczesnego wieku szkolnego poszukiwałem własnej drogi do podstaw wiary, a rodzice nie mogli zbyt wiele mi pomóc, bo byli głównie zajęci pracą zawodową i budową naszego domu w Wesołej, miejscowości położonej z drugiej strony Warszawy.

Niewątpliwie przeprowadzka do naszego nowego domu w Wesołej i do nowej szkoły podstawowej na warszawskim osiedlu Marysin Wawerski również wywarła na mnie negatywny wpływ i spowodowała dalsze osłabienie moich zainteresowań religią, mimo że cały czas uczestniczyłem w różnych uroczystościach religijnych i rodzinnych.

Tu też koledzy i koleżanki ze szkolnej ławy starali się mnie zachęcić, a nawet wręcz zaciągnęli na kilka lekcji religii, ale ostatecznie zrezygnowałem. Byłem wówczas uczniem czwartej klasy Szkoły Podstawowej nr 195 (wtedy im. Juliusza Fuczika). Brak zainteresowania religią rekompensowałem sobie większym, rodzącym się nowym hobby, czyli fotografią.

Bardziej dojrzały kontakt z wiarą nastąpił u mnie podczas nauki w szkole średniej na lekcjach religii, które były wstępem do mojego uczestnictwa w oazowych grupach modlitewnych. Potęgowała to również moja przynależność do drużyny harcerskiej, gdzie uczestniczyliśmy w wielu wydarzeniach religijno-patriotycznych. Potem już bez zbyt sformalizowanej przynależności dalej uczestniczyłem w wielu wydarzeniach jako szeregowy pielgrzym i tak jest do dziś.

Habemus Papam

Przypomniałem sobie wracając do lat nieco odległych, że kiedy w wieku 9 lat, jako dziecko ojca wojskowego, byłem na koloniach letnich w okolicach Wadowic, pamiętam jak przez mgłę, że coś już się mówiło o biskupie z Wadowic.

W życiu wielu katolików, w tym przede wszystkim Polaków, szczególną datę stanowi dzień 16 października 1978 roku, wyboru Karola Wojtyły na papieża. Ja miałem wówczas 12 lat i mieszkałem z rodzicami już od dwóch lat w Wesołej. Tego pamiętnego wieczora oglądaliśmy Dziennik Telewizyjny.

Jako jedną z pierwszych informacji podano wiadomość o wyborze Polaka na papieża. Radości było co nie miara. Polacy zaczęli odychać pełną piersią.

Pamiętam taką scenę z mojego życia z tamtego dnia. Po Dzienniku wyglądałem przez okno swojego pokoju od strony ulicy Równej, aby złapać trochę tlenu. Zauważyłem zbliżającą się w kierunku naszego domu moją siostrę cioteczną Elżbietę L., która szła do nas z wizytą. Krzychałem do niej: „Ela, wiesz, kto został papieżem?“, a ona mi odpowiedziała, że „Wyszyński“, bo poza kardynałami włoskimi zdawał się mieć największe szanse, a jej krzyknąłem, że: „nie, Wojtyła!“, potem moja krótka refleksja, że jest on w świecie niezbyt znany, no ale w Polsce też nie. Tak ten radosny epizod z tamtych lat pozostał w mojej pamięci.

Życie religijne – nawrócenie

Mój powrót do Kościoła, co może brzmieć nader banalnie, nastąpił po wyborze Karola Wojtyły na papieża. Podświadomie czułem wówczas, że zmieni się całkowicie „Bieg Ziemi”. Obudziło się we mnie i rozrastało ogromne pragnienie uczestniczenia w tak wielkim wydarzeniu, jakim była Msza Święta na pl. Zwycięstwa podczas pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski w 1979 roku.

Byłem wtedy uczniem VI klasy szkoły podstawowej, więc miałem możliwość zdobycia zaproszenia. Niestety, nie skorzystałem z tego, gdyż jako nie w pełni dojrzały i niesamodzielny chłopak uległem kontrargumentom, mówiącym o trudnościach związanych z udziałem w Mszach Świętych odprawianych przez Ojca Świętego Jana Pawła II.

Po raz pierwszy też dotarło do mnie, że moje drogi życiowe, pełne dotąd zawitych zakrętów, zaczęły się prostować. Równoległe z działaniami harcerskimi podejmowałem próby odnowienia więzi religijnych, czemu sprzyjał intensywnie i na szeroką skalę rozwijający się ruch oazowy.

W miejscu zamieszkania w Wesołej i okolicy pociągnęły mnie niemal równocześnie trzy ośrodki formacji modlitewnej. Pierwszy działający przy macierzystej Parafii Opatrzności Bożej w Wesołej, gdzie znów powróciłem na lekcje religii dzięki ks. Mirosławowi Nowosielskiemu i później ks. Justynowi Ziemińskiemu.

Drugi w parafii św. Brata Alberta poprzez czynny udział w grupie modlitewnej z jej głównym animatorem i moim przyjacielem, późniejszym księdzem Darkiem Franczakiem. Moja wiara w Boga coraz bardziej się ugruntowywała. Chociażby przez to, że Darek dawno temu poznał mnie z księdzem Wiesławem Zarębą, ówczesnym moderatorem grup Ruchu Światło-Życie we współpracujących ze sobą parafiach Matki Bożej Zwycięskiej w Rembertowie (trzeci ośrodek formacji modlitewnej) i Brata Alberta w Wesołej-Zielonej.

Nie zapomnę tego, jak ksiądz Wiesław, zupełnie mnie nie znając, podczas naszego pierwszego spotkania uścisnął moją rękę mocno i serdecznie, wypowiadając słowa, które pamiętam do dziś: *Przyjdź, jesteś potrzebny.*

W Parafii Opatrzności Bożej działali również moi rówieśnicy uczęszczający do szkoły średniej, podobnie jak w „Albercie”, przy czym, jak się później okazało, byli to nie tylko koledzy, ale również koleżanki, piękne dziewczyny, spotykane przeze mnie niemal codziennie w miejskim autobusie na trasie do szkoły. Był to też ten czas, kiedy zaczęła się rozwijać moja przyjaźń z Anią Dąbską, która od niedawna była mieszkanką Osiedla Zielona.

Tych przyjaźni i serdecznych więzi było wtedy wiele. Wystarczy wspomnieć Andrzeja S. i jego rodzinę, towarzystwo z Rembertowa, czy za sprawą intensywnego kursu tańca towarzyskiego nowych przyjaciół z Osiedla Marysin Wawerski.

Jeśli idzie o ten właśnie kurs tańca, to nie bacząc na moją skromność muszę dodać, że po skutecznej nauce to ja wielokrotnie „rozgrywałem parkiet” na niejednej dyskotecie czy weselu, choć nie byłem najlepszy w grupie.

Do tego doszły uczyty dla ducha: udział w Harcerskich Pielgrzymkach na Jasnej Górze, czy w Warszawskiej Akademickiej Pielgrzymce Diecezjalnej, w której dwukrotnie szedłem z Warszawy do Częstochowy w grupie Zielonej.

Czego ja się wówczas nie miałem, jest to wręcz nie do uwierzenia. Będąc aktywnym członkiem grupy oazowej w osiedlu Zielona stałem się menadżerem religijnego rockowego zespołu muzycznego, w którym wokalistą i gitarzystą był wspomniany wcześniej Darek Franczak. Z tym wiązały się próby, koncerty, oprawa muzyczna uroczystości religijnych.

Główną moją chlubą jako „menago”, podobnie jak pozostałych członków zespołu, było przenoszenie instrumentów muzycznych do sali prób i występów, a także czasami dodatkowo montowanie elementów scenografii.

Zaznaczyć trzeba, że całe to nasze towarzystwo chodziło na ogół tymi samymi ścieżkami. Poniedziałek, czwartek, sobota – kurs tańca, piątek formacja oazowa w Parafii Matki Bożej Zwycięskiej w Rembertowie, w niedzielę – Msza Święta „kontaktowa” wtedy o godz. 9:00 w „Albercie”, a po niej modlitwa z niezapomnianą siostrą zakonną Magdaleną T. (felicjanką), z którą, co może nie wszyscy pamiętają, szliśmy do cukierni. Obecnie jest to lokal apteki vis à vis Delikatesów K&L przy ul. Brata Alberta w Dzielnicy Wesoła, gdzie ku ucieście sprzedawczyni i zdziwieniu klientów kupowaliśmy (dość humorystycznie) dla całej naszej grupy około 30 sztuk ciastek „na miejscu!!!”. Takie szalone pomysły i ich realizacje powodowały, że indywidualnie i na swój sposób zbliżały każdego z nas do Boga.

Harcerstwo w moim życiu

Lata bieły i nadszedł czas wyboru szkoły ponadpodstawowej. Pierwsze kroki, jak nietrudno jest zgadnąć, skierowałem do szkoły, która była zgodna z moimi zainteresowaniami i marzeniami, czyli do warszawskiego Technikum Fototechnicznego przy ul. Spokojnej 13.

Dość powiedzieć, że fotografia jako moje hobby weszła w czasie poprzedzającym wybór szkoły w fazę głębokiego rozkwitu. Poznałem wtedy innych hobbystów i profesjonalnego fotografa (mieszkańca Wesołej). Duży wpływ na pogłębienie tego zainteresowania miała życzliwość mojego wujka Stanisława Kępińskiego, który

dysponował i dzielił się ze mną fachową wiedzą, a czasami bez zbędnego krygowania pożyczał mi swój zachodni sprzęt, o którym mogłem jedynie pomarzyć.

Niestety egzaminów do „Fotografów” nie udało mi się zdać i tak trafiłem do Liceum Zawodowego Łączności w Al. Stanów Zjednoczonych. Szkoła, w której kontynuowałem naukę, mimo wielu ograniczeń, bardzo mi się spodobała. To w niej dopadł mnie bakcyl harcerstwa. Fakt przynależności do drużyny harcerskiej w nieoczekiwany przeze mnie sposób wpłynął na pogłębianie mojego życia religijnego, zwłaszcza poprzez uczestniczenie w mszach harcerskich w kościele pw. św. Marcina i wielu innych mszach o charakterze patriotycznym.

W tym też okresie w trakcie wizyty kolędowej odwiedzający nas ksiądz zmotywował mnie do kontynuacji nauki religii w Parafii Opatrzności Bożej w Wesołej. W efekcie ukończyłem tę edukację maturą, choć z niezbyt wysoką oceną.

Muszę dodać, że jako harcerz i „uczeń łączności” paradoksalnie mogłem realizować moją pasję numer jeden, czyli fotografię.

Wracając do wątku harcerstwa. Był wrzesień 1981 r., gdy po raz pierwszy zetknąłem się z drużyną harcerską z prawdziwego zdarzenia. Była nią 37 WDH⁸ im. Szymona Mohorta.

Niemal każda zbiórka była swego rodzaju lekcją historii i patriotyzmu. Pamiętam też kilka zbiórek, na które przychodzili weterani z okresu II wojny światowej, którzy byli jednocześnie członkami naszej drużyny. Byłem pod niesamowitym wrażeniem, gdy mogłem tak po prostu obcować z ludźmi, którzy w czasie wojny walczyli o wolny kraj, o Warszawę, a teraz o tym opowiadali.

Przeżyciem nie do opisanania jako formy działalności naszej drużyny, czy poszczególnych zastępów, było wspólne śpiewanie piosenek i pieśni, wędrowki, obozy i biwaki. Pamiętam, że wykonywałem wtedy wiele zdjęć, których niestety nie archiwizowałem, czasami przekazując je do kroniki drużyny. Wszystko to właśnie budowało charakter i postawę przyszłego „brata Jacka”.

Wprawdzie jak się wspomina te imprezy, zbiórki, zajęcia, to wydaje się, ot cóż wielkiego, taka zwykła wyliczanka. Po chwili

⁸ Warszawska Drużyna Harcerska

już wydobywam z pamięci myśl, że każde z tych wydarzeń nacechowane było trudem, a nierzadko bolesnymi przeżyciami, w których nie mieściło się uczucie radości. Panowała na nich bowiem szczególna atmosfera, a otaczał klimat innych lat i rzeczywistości społeczno-politycznej kraju jakże odmiennej od obecnej, zwłaszcza gdy przemierzaliśmy miejsca, w których dziś znajdują się pomniki bohaterów, groby poległych, jak choćby na warszawskim cmentarzu powązkowskim: komunalnym i wojskowym, szczególnie tam, gdzie spoczywali bliscy naszym sercom harcerze, którzy zginęli w czasie II wojny światowej.

Myślę tu również o miejscach ofiar katyńskich, osnutych wówczas tajemnicą, a zwłaszcza o tzw. Dołku Katyńskim⁹. Jest rzeczą znaną, że czasem spotykaliśmy w tych miejscach również nauczycieli z naszej szkoły, którzy na co dzień zdawali się grać rolę twardzieli. Wówczas w takich sytuacjach coś pękało, rozpadała się maska, a w jej miejsce pojawiała się i zawiązywała między nami nić przyjaźni.

Pewnego razu, chyba to był rok szkolny 1982/1983, wraz z inną warszawską drużyną harcerską, o ile mnie pamięć nie myli była to 79 WDH, sprzedawaliśmy na Powązkach znicze, chryzantemy i „poza konkursem” pierwsze numery, po wznowieniu, pisma „Powściągliwość i praca”.

Po przerwaniu nauki w Zespole Szkół Łączności trafiłem do Liceum dla pracujących (CKU)¹⁰ przy ul. Noakowskiego 6, o którym popularnie mówiło się „warszawska Sorbona”. Nadal jednak pozostałem czynnym harcerzem 37 WDH im. Szymona Mohorta, podejmując z druhami i druhami szereg inicjatyw i działań.

Warto przypomnieć, że były to czasy zachłystywania się Bruce'em Lee i kung-fu, co przekładało się na wówczas uprawiane sporty i oglądane filmy. Na fali mody nasz zastęp również podejmował próby naśladowania wielkiego mistrza sztuk walki. W zastępie mieliśmy utalentowanego sportowca i głównego bohatera, a był nim druh Jan K. Ja występowałem głównie w roli utrwalającego jego wyczyny kamerą w technice na kasecie Super 8 i aparatem fotograficznym – na kliszy fotograficznej.

⁹ Z dwoma krzyżami, społecznym i rządowym, ustawionymi na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach.

¹⁰ Centrum Kształcenia Ustawicznego.

Niejako w parze szły rajdy organizowane przez SKKT¹¹ i wycieczki klasowe (Zespół Szkół Łączności) oraz zabawy i inne imprezy. Wśród ciekawszych wydarzeń harcerskich wymienię jedynie te, które wywarły na mnie szczególne wrażenie, zaliczając tu Zlot Zastępów Starszo-harcerskich w Ropkach w Beskidzie Niskim w 1983 r. oraz szkolenie i sprawdzian terenowy w lasach skierniewickich w ramach przygotowań do III pielgrzymki Jana Pawła II do Polski w 1987 r.

W pierwszym przypadku już sama podróż koleją do Krynicy Górskiej, a ściślej do obozowiska, okazała się niezwykle miła, bo towarzyszyły nam dwie piękne harcerki z podwarszawskiej Zielonki. Trzeba tu dodać, że marsz do Ropki przez Beskid Niski wiódł przez dziewiczy jeszcze wówczas teren, nieskażony przez najazdy turystów. Świadczyły o tym siadające nam na butach, plecach i ramionach motyle, nie wykazujące żadnej obawy przed dwunożnymi istotami.

Mieszczuchom należy wyjaśnić, że Ropki to bardzo stara wieś łemkowska, o której wzmiankowano już w XVI wieku, położona w Beskidzie Niskim w Górach Haczowskich. Dziś to ledwie kilkanaście starych zabudowań, obok których zlokalizowały się nowo wybudowane domy letniskowe.

Już na miejscu w Ropkach i odnalezieniu siedziby 79 WDH rozbiliśmy namioty na dość łagodnym wzgórzu. Było przy tym również trochę zabawnych wydarzeń, jak choćby to, że namiot naszych kolegów po rozbiciu nie dał się zasunąć, a jego nieszczelność już wkrótce dała się we znaki niefortunnym budowniczym. Nie upłynęło bowiem wiele czasu, gdy nad Ropki nadciągnęły burzowe chmury i namiot dzielnych druhów został doszczętnie zalany.

Nasza drużyna, co muszę podkreślić, miała w Ropkach swoją jedyną reprezentantkę płci pięknej w osobie Elżbiety S., która była obiektem moich westchnień i marzeń. Ale przynajmniej z zażenowaniem, że na marzeniach się skończyło, bo jakoś zabrakło mi odwagi, by jej o tym powiedzieć albo chociaż dać do zrozumienia.

Mocnym punktem programu na biwaku była gra terenowa, która zrobiła z nas prawdziwych komandosów. Zaczynała się niewinnie od konkursu drwali, a jej najmocniejszym akcentem była

¹¹ Szkolne Koło Krajoznawczo-Turystyczne.

przeprawa linowa nad 30-metrową przepaścią. Do dziś nie wiem, jak ja, taki tchórz, pokonałem strach i oczywiście tę przepaść. Tym bardziej, że inna moja platoniczna miłość – druhenka z Zielonki kilka godzin wcześniej podczas takiej przeprawy rozbiła sobie kolano. Wywołało to we mnie rzecz jasna mieszaninę współczucia, roztkliwienia się i strachu.

Na kolejnych etapach gry terenowej zaskoczyła nas w lesie noc, ale i złączyła losy naszych dalszych zmagania ponownie z drużyną z Zielonki, która pokonywała góry i wzniesienia idąc „w nogę”, czego nikt z uczestników Jamboree 1983 nie był w stanie zrozumieć. Wyczyn ten budził w nas niemały podziw. Z Ropek pochodzi też wymyślona przeze mnie pod wpływem ducha Robin Hooda słynna sentencja, że *na tej wysokości nie myślę*, która była wielokrotnie powodem do radości pozostałych druhów naszej drużyny.

Po Jamboree¹² pod wodzą druha drużynowego Jacka C. zmierzaliśmy kolejowym szlakiem przez południową Polskę z Ropek do Kłodzka. Wychodząc naprzeciw nowym przygodom, ale też troskom i kłopotom. Następnego dnia rozpoczęliśmy obóz wędrowny wraz z drugą grupą harcerek i harcerzy, która do Kłodzka dojechała pociągiem z Warszawy pod wodzą (wtedy chyba jeszcze w funkcji komendanta Szczepu 37 WDH) druha Tomasza S. Połączone dwie grupy naszej drużyny stanowiły jednolitą ekipę, która wzięła udział w obozie wędrownym, w trakcie którego przemierzaliśmy pieszo z pełnym ekwipunkiem na plecach Góry Stołowe.

Pamiętam też, że w Karpaczu wjechaliśmy wyciągiem na Śnieżkę oraz zwiedzaliśmy świątynię Wikingów – Wang. Obóz zakończył się w Jeleniej Górze, skąd pociągiem wróciliśmy do Warszawy.

Muszę w tym miejscu przyznać się, że kilkakrotnie uczestniczyłem w wydarzeniach w Polsce, które wstrząsnęły naszym narodem. Był to m.in. mój indywidualny udział w pogrzebie zmarłego w wyniku pobicia przez milicjantów maturzysty – Grzegorza Przemyka, który był swego rodzaju cichą manifestacją młodzieży przeciw aparatowi władzy. Spotkałem tam po raz kolejny Krzysztofa W.

Innym równie bolesnym wydarzeniem, które miało miejsce rok później, było porwanie i zamordowanie przez funkcjonariuszy SB

¹² Z ang. Radosne spotkanie, nazwa międzynarodowych zlotów skautowych; również harcerskich u nas w kraju.

ks. Jerzego Popiełuszki. Wprawdzie nie uczestniczyłem w Mszach Świętych za Ojczyznę, ale mnie, podobnie jak i innych normalnie myślących Polaków, stosowanie tego typu metod i form represji ogromnie bulwersowało.

Między dwoma tymi wydarzeniami miała miejsce II pielgrzymka papieża Jana Pawła II do Polski w czerwcu 1983 roku. Podczas tej pielgrzymki byłem jako harcerz 37 WDH członkiem kościelnych służb porządkowych „Totus Tuus”. Piszę również o tym w kontekście wykonywania przeze mnie na tych uroczystościach fotografii.

Zdjęcia te wykonywaliśmy na przemian z Krzysztofem W. moim aparatem, który później zabezpieczał Krzysztof. Pewne środki bezpieczeństwa z naszej strony były konieczne, aby materiał zdjęciowy (negatyw) nie został zarekwirowany przez milicję wraz z aparatem.

Jednocześnie pragnę wspomnieć z uwagi na podniosłość wydarzenia, że w czasie pogrzebu ks. Jerzego nie robiłem żadnych zdjęć, niestety moje zdjęcia z pogrzebu Grzegorza Przemyska zaginęły przy przekazywaniu ich do jednego z archiwów kościelnych. Z tamtego czasu pozostały w moim archiwum jedynie zdjęcia z II pielgrzymki JP-2.

Jeśli idzie o III pielgrzymkę JP-2 (1987) do ojczyzny, to władze były bezwzględne wobec amatorów fotografii. Zastosowano totalne obostrzenia, na podstawie których prawo do wykonywania zdjęć miały wyłącznie osoby posiadające akredytację, zakaz robienia zdjęć szczególnie rygorystycznie był przestrzegany wobec członków kościelnych służb porządkowych.

Jeśli idzie o tę trzecią pielgrzymkę Jana Pawła II do ojczyzny to niestety mogłem uczestniczyć jedynie w uroczystościach warszawskich, podczas kiedy moi współtowarzysze harcerze mieli szansę na dalszy ciąg „Białej Służby” w Tarnowie, w tym również na spotkaniu Jana Pawła II z harcerzami, a przede wszystkim przy złożeniu Roty Przyrzeczenia Harcerskiego na ręce Jego Świątobliwości – wypowiedzianej podczas Mszy Świętej, co ówczesne media ze zrozumiałych względów skutecznie wycięły z relacji TV i przemilczały.

Podobnie jak wtedy tak i teraz nie mogę pogodzić się z faktem, że w doniosłych chwilach nie mówiło się nic albo tylko zdawkowo o harcerzach i harcerkach. Ich szara służba, szary mundur, szary żywot zasługują aż nadto, aby upomnieć się o nich, co częściowo mam nadzieję mi się tu uda.

Winien jestem jeszcze jedno istotne wyjaśnienie o tym, że w mojej książce często posługuję się różnymi numeracjami drużyn harcerskich, których byłem członkiem – wydają się być takie same, ale to tylko pozory. Raz jest to 37 WDH, innym razem 137 WDH obie im. Szymona Mohorta. Rozwiązanie zagadki jest dość proste. Otóż 37 WDH im. Szymona Mohorta działała w Zespole Szkół Łączności na warszawskiej Saskiej Kępie do roku 1984.

Przyczyną zakończenia tam działalności było zawieszenie naszej drużyny przez władze zwierzchnie za rzekomą działalność polityczną. Po przerwie wakacyjnej wznowiono funkcjonowanie drużyny w wyniku połączenia z drużyną 137 WDH (pozostawiając nowy numer drużyny, czyli 137 WDH i patrona z 37 WDH, czyli Szymona Mohorta (rycerza kresowego, słynącego z ofiarnej służby dla Ojczyzny, legendarnego lub autentycznego wychowawcy księcia Józefa Poniatowskiego).

Nowo powstała drużyna działała w szkole podstawowej przy ul. Karmelickiej (w sąsiedztwie Muzeum Więzienia Pawiak) ze mną jako drużynowym. Zbliżony numer drużyn odczytywano jako pozytywny znak.

Biała Służba 1987

Mam do „Białej Służby” bardzo osobisty stosunek, ponieważ byłem dwukrotnie wśród harcerki i harcerzy jej uczestnikiem w służbach porządkowych Totus Tuus (w służbach tych brałem udział już wcześniej, bo w roku 1983, co opisałem w periodyku „Pauza”, oraz w 1987 roku, pełniąc dwa rodzaje służb, tj. porządkową i sanitarną).

Dodam, że może niewiele osób wie, ale w 1983 i 1987 roku harcerze i harcerki, poprzez uczestnictwo w służbach sanitarnych i porządkowych, mogli otrzymać jedną z najbardziej prestiżowych sprawności, tj. „Biała Służba”.

Znak tej sprawności nie różnił się rozmiarami od typowego znaku wyróżnienia. To, co zasadniczo go różniło, to czarna barwa tła, w które wkomponowany był biały krzyż oraz rok, w którym miała miejsce „Biała Służba”, w tym przypadku 1983 r., później 1987 r. Wśród wielu innych pamiątek mam do dziś w swoich zbiorach identyfikatory „PORZĄDKOWY” (Totus Tuus) z tych dwu lat.

O ile pamiętam, dla warszawiaków możliwość zdobycia sprawności „Biała Służba” nie była łatwa – w 1987 r. był konieczny udział w służbie nie tylko w Warszawie, ale i w Tarnowie. Ten, kto po latach mógł się poszczycić sprawnościami z roku 1983 i 1987, był szczególnie wysoko postrzegany przez środowisko harcerzy.

Ja niestety nie mogłem pojechać do Tarnowa ze względu na zaległości szkolne, dlatego zdobyłem jedynie sprawność „Biała Służba – 1983 r.”. Mój udział w służbie w roku 1987 zaczął się od tego, że byłem jeszcze czynnym drużynowym drużyny harcerskiej 137 WDH im. Szymona Mohorta. Jako jeden z nielicznych pełnoletnich w tejże drużynie usłyszałem o możliwości uczestniczenia w harcerskich patrolach sanitarnych, porządkowych i opiekuńczych podczas III pielgrzymki Jana Pawła II do Polski.

Wcześniej jednak musieliśmy odbyć odpowiednie przeszkolenie. Organizowane było ono przez harcerzy 23 WDH „Pomarańczarnia”, będących studentami Akademii Medycznej. Nasze szkolenia odbywały się w gabinetach szkoleniowych szpitala przy ul. Banacha w Warszawie. Sale te mieściły się w bezpośrednim sąsiedztwie Oddziału Intensywnej Opieki Medycznej (OIOM). Uczyliśmy się tam oprócz tzw. małej pierwszej pomocy również czynności reanimacyjnych na fantomach, takich jak masaż serca, oddychanie usta-usta, usta-nos, hamowanie krwotoków.

Jak inne to były czasy niech świadczy fakt, że szef szkolenia wyraźnie nam oświadczył, że nikt nie będzie miał do nas pretensji, jeżeli przez nieuwagę nieumiejętnie udzielimy pomocy. Obecnie takie podejście jest nie do pomyślenia, a spowodowanie uszczerbku na zdrowiu poprzez nieumiejętne niesienie pomocy może zakończyć się odpowiedzialnością karną.

Na szkoleniach uczyliśmy się również układania chorego w pozycji bezpiecznej i udrażniania dróg oddechowych. Prowadzący ćwiczenia cały czas opowiadał anegdoty i zadawał pytania kontrolne, abyśmy lepiej zapamiętali czynności medyczne konieczne do ratowania chorych. Jedno z takich pytań brzmiało: czy za wszelką cenę należy wyciągać rannego z rozbitego samochodu? Prawidłowa odpowiedź brzmiała oczywiście, że tak, trzeba jedynie zwracać uwagę na usztywnienie kręgosłupa i możliwość eksplozji samochodu. W ten sposób urozmaicając poważne zajęcia przygotowano nas do niesienia pomocy – głównie medycznej – podczas służby

w czasie III pielgrzymki Jana Pawła II do Polski. Był to dopiero pierwszy etap.

Drugim etapem był test sprawdzający nasze umiejętności, który odbywał się w lesie pod Skierniewicami, w formie weekendowego biwaku. Wyjazd ten w pierwszych dwóch dniach poświęcony był podsumowaniu zdobytej na kursach wiedzy i jej dodatkowemu powtórzeniu. Natomiast w niedzielę przemieściliśmy się do Skierniewic, gdzie w nieznanym dotąd nam mieście musieliśmy stworzyć wszystkie rodzaje służb pielgrzymkowych. Ponadto trzeba było przećwiczyć zachowanie się w działaniach zbliżonych do wykonywanych w autentycznej służbie.

Sprawdzane były umiejętności organizacji trzech rodzajów służb: sanitarnej, porządkowej i informacyjnej. O ile pierwsze dwie służby są łatwe do określenia, o tyle służba informacyjna miała za zadanie zdobywanie jak największej wiedzy o mieście, w którym działała. Na przykład trzeba było w ciągu 3 minut zdobyć informację dotyczącą wszystkich połączeń autobusowych czy kolejowych z Warszawą, np. między godziną 12:00 a 15:00. Było też zadanie polegające na zdobyciu w ciągu 2 minut informacji, gdzie znajduje się najbliższa poczta, itp. Dostając ostatnie instrukcje uczulono nas, abyśmy zwracali uwagę na podszywających się pod nasze służby – „nieoryginalnych porządkowych”.

Nastąpił czas praktycznej służby 8 czerwca 1987 roku. Pierwszą ciekawą historię miałem na placu Zamkowym przed przyjazdem Jana Pawła II do archikatedry świętego Jana, gdzie papież miał się spotkać z siostrami klauzurowymi i rozmawiać z Matką Teresą z Kalkuty. Później Ojciec Święty modlił się przy sarkofagu Prymasa Tysiąclecia.

Przed przyjazdem Papieża, stojąc jako zwykły szeregowy porządkowy, zauważyłem jakieś słowne utarczki z cywilnymi kościelnymi porządkowymi; chodziło o to, kto ma pierwszeństwo w zajęciu reprezentacyjnego miejsca (tj. *vis à vis* Zamku Królewskiego): cywilna czy harcerska, podczas przejazdu papieża Jana Pawła II do i z archikatedry? Okazało się, że w sporze o lepsze miejsce brał udział ówczesny proboszcz parafii św. Brata Alberta w Wesołej ks. Edward Wachowicz, posiadający najwyższy stopień wśród porządkowych Totus Tuus, tj. pułkownika. Smaczku dodaje fakt, że ja byłem tam (stałem w szeregu) w roli zwykłego harcerza.

W tych dyskusjach, kiedy ks. Edward zauważył mnie w szeregu, pominął moich setników i wypowiedział do mnie te słowa: *Jacek, co wy tutaj wyrabiacie?* Byłem tak zaskoczony, że początkowo nie rozpoznałem w nim mojego proboszcza. Potem nieco naiwnie, wierząc, że mogę być sprawcą bezkonfliktowego pojednania, zrobiłem dwa, czy trzy kroki w kierunku ks. proboszcza. Poza tym nie zdążyłem mu nic odpowiedzieć, bo moi setnicy nakazali mi jednoznacznie powrót do szeregu. Sprawę pierwszeństwa ostatecznie rozstrzygnął na korzyść harcerzy dowódca odcinka.

Nasze najpiękniejsze harcerki nosiły w stronę katedry otrzymane od wiernych kwiaty, które skrupulatnie układały na trasie dojazdowej Ojca Świętego do i z katedry. Potem od kogoś dowiedziałem się, że przed wejściem do świątyni Ojciec Święty skierował kilka słów do harcerzy. Rozmawiał chwilę również z ks. Edwardem, dlaczego to zrobił i co powiedział – tego już się nie dowiem, bo ks. Edward zmarł po ciężkiej chorobie 20.08.1991 roku.

Inny motyw z pierwszego dnia tej pielgrzymki, który utkwił mi w pamięci, to sytuacja, gdy staliśmy 8 czerwca 1987 r. po Mszy Świętej przy kościele pw. Wszystkich Świętych, inaugurującej II Kongres Eucharystyczny pod przewodnictwem papieża. Na ul. Grzybowskiej zamkniętej dla ruchu kołowego, podczas rześkiego padającym deszczu po zakończeniu Eucharystii. Nie przeszkadzało to jednak nam harcerzom zawiązać braterskiego kręgu i odśpiewać strofy podniosłych pieśni „Bratnie słowo” i „Idzie noc”.

Wieczorem, w przeddzień Mszy Świętej (tj. 13.06) kończącej Kongres Eucharystyczny, udałem się na plac Defilad na rekonesans. Wszystkie dojścia były już strzeżone. Kiedy stałem na przystanku autobusowym czekając na powrotny autobus do domu, pewien mężczyzna stojący po przeciwnej stronie ulicy próbował przebiec jezdnię ul. Marszałkowskiej. Nagle zjawiła się milicyjna Nyska, z której do mężczyzny wyskoczyło dwóch mundurowych. Po dłuższej szamotaninie mężczyzna schował im się pod podwoziem samochodu. Tę czynność powtórzył jeszcze dwa razy, w końcu milicjanci obezwładnili go gazem i już bez większych problemów umieścili tego biednego człowieka w samochodzie. Mimowiednie napłynęły mi łzy do oczu, kiedy zobaczyłem taką przemoc.

W dniu Mszy Świętej pod Pałacem Kultury i Nauki, tj. 14 czerwca 1987 r., która była zakończeniem Kongresu Eucharystycz-

nego i jednocześnie beatyfikacją biskupa Michała Kozala, miałem trzy przygody: pierwsza związana była z trudnościami z dojazdem na miejsce nabożeństwa. Znane były ówczesne kłopoty komunikacyjne – żaden z autobusów odjeżdżających z Osiedla Zielona, gdzie nadal mieszkam, nie przyjechał na czas.

Miałem wtedy przy sobie zakupiony tydzień wcześniej w Składnicy Harcerskiej lizak milicyjny i wyczekując w mundurku harcerskim machnąłem nim, tak niby od niechcenia (bo nie miałem uprawnień do jego użycia), przed pierwszy nadjeżdżający samochód. Całe szczęście, że trafiłem na sympatycznego kierowcę, który zrozumiał moją sytuację i dowiózł mnie do miejsca, skąd już jeździły miejskie autobusy.

Trasy ich przejazdów były jednak maksymalnie odsunięte od strefy „0”. Udało mi się ubłagać kierowcę autobusu, aby wypuścił mnie na Wisłostradzie, skąd już krokiem skautowym dostałem się do Śródmieścia.

Zanim dołączyłem do swojej kolumny harcerzy, dwukrotnie zatrzymywali mnie funkcjonariusze milicji, musiałem nawet pozostawić nożyczki z apteczki, którą miałem przy sobie służbowo – odkrył je milicyjny wykrywacz metalu. Inna przygoda polegała na tym, że na każdy okrzyk z tłumu „lekarza!”, do pacjenta podbiegał najpierw jakiś harcerz. W jednej z takich sytuacji do „mojego chorego” podbiegła wcześniej nieznamoma mi harcerka, a pacjentem okazała się być śliczna dziewczyna. Druhenka porozpinała jej spodnie i mówiąc do mnie: *To ty już sobie tu poradzisz* pobiegła dalej.

Przyznam szczerze, że dość mocno się wtedy zawstydziłem. Mój niepokój wzbudził jednak fakt, że dziewczyna zaczęła dalej tracić przytomność. Wówczas w jej cuceniu zaczął mi pomagać jeden z nieznanych mi pielgrzymów. Robił to, jak mi się wydawało, nie dość fachowo, bo uderzając ją dłońią na przemian w oba policzki. Nas uczono, że tak się nie robi. Kiedy zwróciłem mu na to uwagę, grzecznie mi odpowiedział, żebym się nie obawiał, bo on jest lekarzem. Chciał nawet pokazać mi dokumenty na potwierdzenie swoich kwalifikacji, ale już nie było potrzeby, bo dziewczyna na szczęście zaczęła dochodzić do siebie.

Z zakończenia Kongresu Eucharystycznego pamiętam też tasiemcowe kolejki do toj-tojek, słoneczny skwar i tłumy ludzi, z których jedni postrzegali nas jako agentów milicji, a inni – jako

na służbie u Pana Boga (i ci byli bliżej prawdy). Na pewno za swoich współpracowników nie uważała nas milicja, która stojąc w szyku bojowym wzdłuż Hotelu Warszawa, kiedy maszerowaliśmy spod Pałacu Kultury do Al. Żwirki i Wigury, nie pozwoliła sobie robić zdjęć. Nasz jedyny fotoreporter druh Tomasz K. został wezwany do „ambulansu” i spisany, a negatyw zabrany z aparatu.

Później z innych ciekawostek dowiedzieliśmy się, że nasz drużynowy Jacek C. (obecnie Radio Zet) miał zaszczytne (owiane wielką tajemnicą) zadanie, bo został wybrany, aby iść na czele Procesji Eucharystycznej z Ojcem Świętym ulicami Warszawy z placu Defilad na plac Zamkowy.

Kilka lat później Jacek dostał od swojego szefa zadanie, aby pojechać do Watykanu na czas choroby Ojca Świętego (JP-2). Jak mi mówił, nie wiedział wtedy, podobnie jak inni dziennikarze, czy wierni, że będą na miejscu musieli się zmierzyć z bólem i cierpieniem związanym z Odchodzeniem do Domu Ojca – Jana Pawła II.

Dla nas to był Ojciec Święty – podkreślił Jacek, kiedy robiłem z nim wywiad, na który się zgodził bez słowa, a który jest częścią mojej pracy licencjackiej pod kierunkiem red. pani Anny Mazurkiewicz – *Jan Paweł II – Wielki komunikator* Warszawa (2006)

Wracając do fotografii, całe szczęście (dla innych fotoreporterów), że sprawy techniki fotografowania i filmowania były wtedy dla funkcjonariuszy MO obce – śmiali się z nich nawet nasi najmłodsi harcerze.

Można by mnożyć przykłady, w których milicjanci, otwierając tylną klapkę aparatu, w której negatyw znajdował się w dwóch kasetach, byli przekonani, że naświetlają cały negatyw. Bawiło nas też otwieranie przez milicjanta kamery filmowej Super 8, gdzie film całkowicie znajdował się w kasecie – i ponowne zamknięcie kamery.

Po tych fotograficzno-milicyjnych perypetiach maszerowaliśmy ul. Świętokrzyską do Towarowej i dalej, aż do Al. Żwirki i Wigury. Co jakiś czas mijały nas pędzące kolumny pojazdów milicyjnych z kompletną ekipą w środku. My śpiewaliśmy im (na poprawę naszych humorów) piosenki religijne „Dobrze, że jesteś”, „Kochamy, witamy, żegnamy Was – alleluja”.

Stojąc w Al. Żwirki i Wigury i ochraniając trasę przejazdu opuszczającego Polskę Papieża, mieliśmy nie dopuścić, aby wierni nie przekroczyli trawnika oddzielającego pasy jezdni. Z samego

założenia zadanie było niemożliwe do wykonania, gdyż były one oddzielone jedynie grubą, ale nie naciągniętą liną. Tak więc pod naporem tłumu „haczyki” naszych rąk puściły i kochający Naszego Papieża tłum zajął dogodnie dla siebie pozycje. Wtedy do akcji jednoznacznie wkroczyli nasi setnicy i kulturalnie dogadali się z wiernymi, aby już bliżej się nie przemieszczali.

Wreszcie jest, przejeżdża (w papamobile, ma otwarte okno), wzrusza się, ludzie mówią, że Ojciec Święty płacze, my również. Zadajemy sobie pytania: „Czy przyjedzie do nas jeszcze? Nie, to nie może być ostatnia pielgrzymka do Polski. Czy jeszcze ‘Watykan’ Go wypuści?”. Wielkie wzruszenie w każdym sercu i zamęt w głowie.

Wtedy podczas tej pielgrzymki zobaczyłem pierwszy raz Jana Pawła II na żywo z tak bliska, ale nikt mi nie uwierzy, że byłem od Niego w odległości ok. 3 metrów.

Na zakończenie pragnę nadmienić, że gdy nadchodził czas tej pielgrzymki byłem uczniem pierwszej klasy Policealnego Studium Zawodowego o specjalności przetwarzanie danych. W związku z nauką odbywałem praktyki zawodowe w ośrodku informatycznym TV, w gmachu telewizji przy ul. Woronicza 17. Dzięki temu mogłem w wolnych chwilach podglądać powstawanie programów telewizyjnych.

Ówczesna panująca tam podniosła atmosfera oraz spięcie organizacyjne wokół technicznych przygotowań do pielgrzymki spowodowało, że połączyłem bakcyl dziennikarstwa. Pamiętam także do dziś wygląd bardzo estetycznie zaprojektowanego okolicznościowego papieru firmowego (komputerowego) z niebieskim napisem „Biuro prasowe INTERPRESS” – i obok na biało-czerwonym tle napis – „i Episkopatu Polski”.

Po pewnym czasie natrafiłem na ogłoszenie w prasie o kursie dziennikarskim organizowanym przez „PRESS-CLUB”, którego zostałem wytrwałym uczestnikiem, a po kilku latach, w Wyższej Szkole Komunikowania i Mediów Społecznych im. Jerzego Giedroycia, uzupełniłem fachową wiedzę w zakresie akademickim, niezbędną do wykonywania zawodu dziennikarza.

Trzeba tu dodać, że „Biała Służba” realizowana była, oprócz przytaczanych tutaj przeze mnie okoliczności, również podczas kolejnych pielgrzymek do Polski: Jana Pawła II, Benedykta XVI i Franciszka.

Cztery najtrudniejsze dni – wspominając ks. Jerzego

Jest rok 1984. Nie tak dawno był wśród nas Jan Paweł II ze swoją drugą pielgrzymką. Minęło około 1,5 roku, od kiedy bestialsko pobito warszawskiego maturzystę – Grzegorza Przemyska, który w wyniku tego zmarł.

Październik roku 1984. Działam w niezależnym harcerstwie. Przyszedł dzień, w którym na razie nieoficjalnie dowiedzieliśmy się o porwaniu ks. Jerzego Popiełuszki. Jego jedyną przewiną było to, że kochał Ojczyznę. Wielokrotnie modlił się o nią wraz z tłumami wiernych na tzw. „Mszach za Ojczyznę” w kościele pw. św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu.

Mijają kolejne godziny. O sprawie porwania ks. Jerzego mówi cała Warszawa, a z nią cała Polska. Władza nie miała wyjścia. Musiała to ogłosić publicznie. W dzienniku telewizyjnym podano: „w dniu dzisiejszym nieznanemu sprawcy uprowadzili ks. Jerzego Popiełuszkę”. Pomyśleliśmy – znamy my tych „nieznanych sprawców”.

30 października. Przyszła tragiczna wiadomość o znalezieniu zwłok ks. Jerzego w Zalewie Wiślanym koło Włocławka.

Naród już wie. To się musi skończyć!!! Ten brak poszanowania życia. Ten przedmiotowy sposób traktowania człowieka. Przecież nie tak nauczał nas Ojciec Święty. Ksiądz Jerzy też nauczał „Zło dobrem zwyciężaj”. Jakże wtedy trudno było wybaczyć (słyszac te słowa) ten mord.

Powązki. Są Zaduszki. Z ust do ust pojawiają się pierwsze informacje o pogrzebie. My będąc harcerzami tradycyjnie w pierwszych dniach listopada poruszamy się po Powązkach. Nie pamiętam już, w jaki sposób dostaliśmy informację o przewiezieniu trumny z ciałem zmarłego do kościoła św. Stanisława Kostki. Musimy tam być. Wyruszamy z Powązek zatłoczonym autobusem i po ok. 40 minutach jesteśmy na miejscu. Z bocznego wejścia kościoła widzimy ustawioną przed ołtarzem trumnę i stojącą przy niej wartę honorową, do której dołączają również harcerze.

Czuwanie. Trwa do późnych godzin wieczornych. Na twarzach wielu osób widać łzy i zmęczenie. Mimo to wszyscy czuwają przy ks. Jerzym. Robią to dla Niego i dlatego, że tu – o Wolną Polskę Idzie!!! Z minuty na minutę teren przykościelny staje się enklawą wolności. Można tu mówić bezpiecznie o polityce, o „Solidarności”, o Lechu Wałęsie.

Pogrzeb. 3 listopada 1984 roku. Wiemy, że milicja, tak chętna do pomocy przy ochranianiu wszelkich wydarzeń, tu się nie pokaże. Przede wszystkim w obawie o własną skórę. Dlatego spodziewając się tłumów wiernych zmobilizowane zostały kościelne służby porządkowe „Totus Tuus”: cywilne i harcerskie. Dla harcerzy miejscem zbiórki był pl. Inwalidów, gdzie mieliśmy się spotkać około godz. 5:00 rano. Szykiem czwórkowym przechodząc przez plac, który za komuny nosił nazwę Komuny Paryskiej, a obecnie i przed II wojną światową – nazywał się plac Wilsona, zauważyliśmy tylko jedną milicjantkę, która kierowała ruchem. Trzeba dodać, że dzień pogrzebu był normalnym dniem pracy w szkołach i zakładach pracy. Zdecydowana większość uczniów i pracowników nie podjęła pracy – poszła żegnać ks. Jerzego. Determinacja spowodowana tym morderstwem była tak wielka, że przybycie ogromnych tłumów sprawiło, że nie było gdzie włożyć przysłowiowej szpilki. Dlatego wobec braku barierek nieustannie prosiliśmy, aby wierni starali się utrzymać co ok. 10 m puste przerwy, które dawały możliwość poprawy bezpieczeństwa zebranych. Trzeba też powiedzieć, że wierni nie tylko szczerze wypełniali bezpośrednie otoczenie kościoła św. Stanisława Kostki, ale także plac znajdujący się vis à vis frontu.

Ostatnie pożegnanie. Widzimy prostą trumnę na katafalku przed kościołem. Po liturgicznych czytaniach padają pierwsze słowa homilii. Jest to swego rodzaju odezwa do wiernych, aby nie potęgować nienawiści do sprawców morderstwa. Miało to duże znaczenie, bo wówczas, gdyby te słowa nie padły i nie ostudziły emocji, mogłoby dojść do konfrontacji. Pamiętam, że bardzo podniosłe żegnali księdza Jerzego: ksiądz Prymas Józef Glemp, Andrzej Szczepkowski, Lech Wałęsa.

Patriotyczna demonstracja. Właśnie w takie wydarzenie przerodził się ten pogrzeb.

Ciało ks. Jerzego zostaje złożone w grobie. Jeszcze w trakcie trwania pogrzebu pojedyncze osoby intonują pieśni patriotyczne. Wiemy, że niektórzy z nich to prowokatorzy wznoszący również okrzyki do walki. Szybko jednak zostają uciszani przez mądre i odpowiedzialne osoby z tłumu, które przyszły tu nie z żądzы krwi, ale duchowego pojednania. Po zakończeniu uroczystości jako pierwszy przez bramę kościoła wychodzi w stronę tłumu – Lech Wałęsa. Poprzedzają go reporterzy zachodnich telewizji i fotoreporterzy „imperialistycznej prasy”. Za nim rusza pochód ludzi. Później dowiadujemy się, że

dochodzą do Pałacu Mostowskich, gdzie swoją centralną siedzibę dla Warszawy ma Milicja Obywatelska. Potem się rozchodzą.

Oddanie czci. Wokół przykościelnego ogrodu ustawia się kolejka ludzi, którzy pragną oddać pokłon Męczennikowi. Służby porządkowe, które początkowo miały zakończyć pracę po skończeniu uroczystości pogrzebowych, nadal pilnują, aby dalsza nieprzewidziana część tego wydarzenia przebiegała godnie i spokojnie. Na szczęście gospodarze zadbali o łyk gorącej herbaty, która nieco poprawia nam samopoczucie. Potem wracamy na służbę.

Ksiądz Jerzy. Choć zginął męczeńską śmiercią za Ojczyznę obudziliśmy nadzieję, że nasze życie będzie lepsze. Z tym większą radością patrzymy na zbliżający się termin beatyfikacji (06.06.2010 r.). Również cieszyć się trzeba, że ks. Jerzy Popiełuszko jest natchnieniem dla twórców i to zarówno literatów, jak i filmowców. Było to możliwe dzięki nieustającym modlitwom o wyniesienie Go na ołtarze na równi z papieżem Janem Pawłem II oraz Stefanem Kardynałem Wyszyńskim. Daj Boże, aby Oni nam współcześnie obudzili ponownie w narodzie polskim – ducha patriotyzmu.

„Pauza – Album emocjonalny”¹³

Cząstka Boga w każdym z nas¹⁴

„...Gdy rankiem w niedzielę 3 kwietnia rozpoczynałem zajęcia z grupą studentów specjalizacji dziennikarskiej, wyczułem ten jedyne, niepowtarzalny nastrój, jaki towarzyszy nam w chwilach podniosłych. Poprzedniego wieczoru zmarł Jan Paweł II. Myśli nas wszystkich wypełniała zaduma, smutek, niewesoła refleksja dorosłych ludzi, którzy naraz poczuli się niczym osierocone dzieci...”.

(i dalej) „...Jestem im także wdzięczny za wspólne wzruszenia, jakimi były niezapomniane kwietniowo-majowe zajęcia, podczas których teksty omawialiśmy – wraz z red. Marianem Dachniewskim

¹³ Teksty ukazały się w periodyku „Pauza”, którymi autorami są studenci dwóch grup zaocznych kierunku politologii – warsztatów i specjalizacji dziennikarskiej III i V semestru WSKiMS, wydany dzięki uprzejmości „Naszego Głosu” (Krosno).

¹⁴ Nadtytuł wstępniaka.

z Polskiego Radia. Audycja zrealizowana w studiu naszego Radia Internetowego była dla mnie i mam nadzieję jej uczestników – kolejnym doświadczeniem wspólnoty...”.

„...Szczególne podziękowania kieruję do panów Jacka Kalinowskiego – za oddanie sprawie, owocujące licznymi tekstami i zdjęciami, a także ‘papieską marynarką’, ewenementem w dziejach prasy polskiej. Dziękuję panu Janowi Szymańskiemu za opracowanie graficzne i skład pisma”.

(red. Marek Kusiba)¹⁵

Poniżej moje teksty w „Pauzie” – Jacek Kalinowski

Czy staliśmy się lepsi¹⁶?

Każde jego słowo wymawiane czy wygłaszane podczas modlitwy lub spontanicznej rozmowy było dla wielu nie tylko pokarmem, ale i źródłem energii na dalszą drogę. Nasz problem polega na zorientowaniu się, w którym miejscu tego szlaku jesteśmy i czy z tego trudnego czasu, jakim jest żałoba, wyciągniemy wnioski. Miejmy nadzieję, że nowy papież Benedykt XVI umocni nas w przyjętych postanowieniach, co zasygnalizował wymawiając pierwsze słowa jako Ojciec Święty: *Po wielkim papieżu Janie Pawle II kardynałowie wybrali mnie...*

Pielgrzymka do papieskiej marynarki

W czwartek wyszedłem z pracy o godzinę wcześniej. Na ulicy spotkałem księdza – proboszcza z mojej parafii. Obaj nie mieliśmy czasu rozmawiać, zdążyliśmy wymienić tylko kilka słów, ale wpadłem na pomysł: na niedzielną Mszę Świętą muszę mieć koszulę w kolorze żółtym, papieskim. Teraz już wiem, że mój początkowo bezcelowy marsz to pielgrzymka w jej poszukiwaniu.

¹⁵ Red. Marek Kusiba (Toronto) – nasz wykładowca przedmiotu „Specjalizacja: komunikowanie i zarządzanie mediami” (III rok Wydziału Politologii WSKiMS Warszawa 2005).

¹⁶ Mój tekst, którego byłem jednym z trzech autorów, opatrzony tym samym tytułem.

Nigdzie w sklepach nie ma tego towaru. Idę koło Dworca Centralnego, wchodzę do sklepu Marks & Spencer. Tu mówię od razu, co mnie interesuje, jednak są tylko koszule w paski. Zastanawiam się – może krawat, ale cena powyżej 50 zł, a dochodząca nawet do 150 zł, całkowicie mnie odstrasza. Mijam po kolei stoiska w innych sklepach – i nic! Dochodzę do Galerii Centrum. Tu czeka mnie niespodzianka: koszule są, ale tylko polo, nie pasujące do krawata. A to dopiero połowiczne rozwiązanie. Ostatecznie rezygnuję z zakupu.

Napotykam firmowy sklep Wólczanki. Tu także zawód – jest duży wybór koszul, ale nie w kolorze papieskim. Poddaję się. Postanawiam wsiąść do autobusu i wrócić do domu.

W poniedziałek jadę do pracy razem z tatą. W pewnym momencie proponuje uszycie nam strojów wyjściowych. Już trochę wyciszony rzucam koncepcję uszycia sobie nie koszuli, ale marynarki w tak wspaniałym kolorze, żółtym – papieskim. O dziwo trafiam na podatny grunt.

Z krawcem wybraliśmy materiały na stroje. Po dobraniu materiału dla mojej żony, a następnie dla taty, w gęstwinie belek materiału dostrzegam ten przeze mnie ulubiony. Przykładamy „belkę do fizjognomii” – o to właśnie chodzi, dobrze wyglądam. Kupujemy. Będę miał marynarkę na miarę czasów i oczekiwań. Tylko jeszcze dwie przymiarki.

Nikt z nas nie przypuszczał, że będziemy tak blisko Niego. Landrynki i inne dobra

Wśród wielu doniosłych wydarzeń w moim życiu wielkie znaczenie miała służba papieżowi. Szczególnie ta moja pierwsza, w 1983 r., na Stadionie Dziesięciolecia, kiedy my, harcerze i harcerki, klęczeliśmy na pierwszej linii wzdłuż bieżni podczas przejazdu Ojca Świętego.

Początkowo nikt z nas nie przypuszczał, że będziemy tak blisko Niego. To, co każde z nas wtedy czuło, jest po prostu nie do opisania. Tak jak i niesamowita energia podczas Jego obecności, płynąca do wszystkich.

Służba porządkowa była dość prostym zajęciem. W dużej mierze chodziło o zapobieganie zmiążdżeniu się nawzajem tłumów pielgrzymów napływających z różnych stron. Zastanawialiśmy się, dlaczego papież opóźnia swój przyjazd. Jednak ktoś szybko, ku

uciesze tłumu, puścił plotkę, że Ojciec Święty spowiada generała Jaruzelskiego ze stanu wojennego. Nie muszę dodawać, że ta anegdota całkowicie rozładowała napięcie oczekiwania.

Zapamiętałem część ważnych momentów z tego niecodziennego wydarzenia. Pojawiającą się w różnych miejscach rozłopotaną białą flagę z napisem SOLIDARNOŚĆ (za każdym pojawieniem była nagradzana brawami) oraz całe morze transparentów – na ogół poza stadionem. W podniosłej atmosferze rodziły się coraz nowe plotki, jak np. ta, że na czele delegacji pielgrzymów z Gdańska stoi Lech Wałęsa. Czy był tam wówczas, tego nie wiem do dzisiaj.

Między uczestnikami Mszy Świętej i harcerskimi służbami porządkowymi zawiązywała się nić sympatii. Harcerze organizowali wodę do picia, wierni natomiast częstowali nas landrynkami i innymi dobrami. Warto też wspomnieć o dekoracji stadionu. Nad bramą wjazdową na czerwonym tle umieszczony był biały orzeł w koronie, ale tę koronę miał nie na głowie, a między skrzydłami, co było kolejnym powodem do anegdot i plotek. Sam ołtarz był dość skromny, ale najważniejsze było to, że znajdował się na wierzchołku korony stadionu i był widoczny z wielu miejsc. Kolejnym elementem dekoracji były kwiaty, które ułożono wzdłuż obwodu bieżni. Była także, ułożona z otrzymanych od wiernych kwiatów, harcerska lilijka.

W słowach kończących Eucharystię Ojciec Święty podziękował wszystkim, którzy przyczynili się do jej przygotowania i organizacji.

W ostatnim zdaniu powiedział: *Błogosławie temu, do którego należy głos w tym kraju.*

Odchodzę! Nie lękajcie się!

Na początku zbliżających się Świąt Wielkanocnych w Wielki Piątek Jan Paweł II ukazał się po raz ostatni w swym oknie. Był właśnie po zabiegu tracheotomii, który według lekarzy specjalistów miał być bardzo prostą operacją chirurgiczną ułatwiającą oddychanie. Mimo to Jego twarz przedstawiała wielkie cierpienie. Chciał coś powiedzieć, lecz słowa nie mogły się wydobyć z ust, tak że po pewnym czasie sam odsunął od siebie mikrofon. Z perspektywy czasu myślę, że chciał nam powiedzieć: „Odchodzę! Nie lękajcie się!”.

W tym samym czasie w USA umierała Terry Shiavo, odłączona decyzją swojego męża od aparatury podtrzymującej ją przy życiu.

Te dwa żywoty były ze sobą powiązane podobnym cierpieniem i wolą życia. Może właśnie dlatego po śmierci Terry zacząłem mieć podświadomie myśl najtragiczniejszą – o nieuchronnej śmierci również Papieża.

Zadaję sobie pytanie, dlaczego o tym myślałem, i odpowiadam sobie w cichości serca: wszyscy ludzie są braćmi w kruchości ludzkiego życia, które tu na Ziemi nie jest wieczne. Choć czuję pocieszenie, wiem, że nie mogę do nikogo zadzwonić ani nikomu o tym powiedzieć. Żona śpi, przyjaciele czuwają w modlitwie, a ja jestem sam z tą tragiczną informacją.

W chwilę potem otrzymuję SMS-a o treści: „Zapal świeczkę Papieżowi. On tak wiele dla nas uczynił”. Odnajduję świeczkę i krzyż i znów zasiadam przed telewizorem w oczekiwaniu na dalsze komunikaty z Watykanu. Ciągłe powtarzana na dolnym czarnym pasku jednostajnie rzeczowa informacja: „Papież nie żyje, Papież nie żyje, Papież...”.

W jednej chwili cały świat łączy się w gorliwej modlitwie niezależnie od wyznawanej wiary za duszę tego, któremu tyle zawdzięcza. Wszyscy wiedzą, że największy autorytet moralny naszej epoki Odszedł do Domu Ojca.

Poprzez najnowocześniejsze techniki przekazu audiowizualnego możemy na bieżąco monitorować reakcje i modlitwę ludzi w kraju i na całym świecie. Nie na darmo się mówi już o Janie Pawle II jako Wielkim, jak zawsze o Nim mówiono – co teraz nabiera innego znaczenia – Papieżu Mediów, Wielkim Komunikatorze.

Włączam się w tę modlitwę sercem. Czuję na przemian ulgę, że Jego ziemskie cierpienie się skończyło, i ból, że nie ma się do kogo przytulić.

Wycieczka do Wadowic

Korzystając z okazji wolnych od pracy dni, będąc od 11 do 13.11.2005 r. w Skawinie koło Krakowa, postanowiłem otrzeć się o żywe wspomnienie o Janie Pawle II. Wprawdzie Wadowice to nie Watykan (do którego zamierzam się udać w przyszłym roku), ale pragnąłem zatrzymać się tu na dłuższą chwilę.

Wielokrotnie odkładałem przyjazd do tego miasta, chociaż wiele razy przez nie przejeżdżałem. Zatem, żeby nie odkładać tej wizyty w nieskończoność, postanowiłem realizować pierwszy punkt z dość długiej listy zaległości. Wcześniej moja żona sprawdziła spis połączeń, które okazały się i tak chybione, gdyż nie wiadomo było, według którego wariantu będą jeździli kierowcy busów do Wadowic. Ostatecznie okazało się, że według sobotniego – tak pomknęliśmy w ciągu ok. 1,5 godziny do rodzinnego miasta papieża.

Po dotarciu na miejsce i krótkim rozejrzeniu się po uliczkach przylegających do przystanku końcowego – poczulismy wkręcający się w nasze puste żołądki miły cukierniany zapaszek. Nie ukrywam, że my też, jak większość uczestników wycieczek do Wadowic, przyjechaliśmy skosztować Jego ulubionego ciastka. Zadaję sobie pytanie – czy On tak naprawdę tego chciał?

Faktem jest, że są to bardzo dobre ciastka, ale sprzedawane w prawie każdym miejscu, które udało się zamienić na cukiernię, straciły nieco na splendorze. Dodatkowo dla zwiększenia skuteczności reklamowanego towaru użycie przymiotnika „papieskie” też daje sporo do myślenia. Zastanawiam się bowiem, czy to niewinne ciastko nie urośnie do miana kultowego.

Choć wiele wycieczek podąża tym szlakiem, my najpierw decydujemy się na coś treściwego. Dopiero potem otwieramy drzwi cukierni, decydując się na „papieski deser”. Zresztą czy to coś złego?

Później stwierdzamy, że nie ma co robić w tym niewielkim mieście (zbliża się godzina 12:00). Odwiedzamy kilka miejsc o charakterze religijnym: kościół (ze słynną chrzcielnicą). Oglądamy wystawy i wnętrza sklepów z dewocjonaliami, gdzie robimy drobne zakupy (książki i łańcuszki z wizerunkiem przyszłego błogosławionego).

Niestety, dom Jana Pawła II będzie otwarty dopiero od 14:00. Ze względu na nasze maleństwo i panujące zimno decydujemy się na powrót do Skawiny.

Wyprawa do Gdańska 2012

Sierpień 2012 roku, jak zresztą oczekiwałem, obfitował w planowane i nieplanowane wydarzenia. Te pierwsze to czas urlopu, który zamierzałem spędzić z rodziną bardzo aktywnie – zarówno pod względem aktywności fizycznej, jak i umysłowej.

Pierwsze jego dni to uczczenie mojej i Gosi dziesiątej rocznicy zawarcia małżeństwa, przypadającej na 3 sierpnia 2012 r. Uczciliśmy ją podczas niedzielnej Mszy Świętej 5 sierpnia w kościele św. Brata Alberta w Wesołej, gdzie Eucharystię sprawował zaprzyjaźniony z naszą parafią ks. Andrzej.

Podczas Mszy Świętej w intencji naszej rodziny otrzymaliśmy – klęcząc przed stopniami ołtarza i wobec zgromadzonych na nabożeństwie wiernych – uroczyste błogosławieństwo. Przyznam, że czułem się wtedy jak w dniu ślubu, chociaż brakowało naszego kochanego proboszcza ks. Józefa, który wobec rozlicznych obowiązków duszpasterskich nie mógł uczestniczyć w naszej uroczystości. Wiem jednak, że zawsze mamy w nim nieustające oparcie modlitewne, które staramy się odwzajemniać. Wieczorem zaprosiliśmy najbliższych na podwieczorek.

Następne dni to tylko pozornie szara rzeczywistość: praca i dom, kończyłem bowiem pisanie artykułu dla tygodnika „Idziemy”. Dotyczył on mającej się ukazać płyty Doroty Bonisławskiej (ze wspomnianym tygodnikiem „Idziemy”, współpracuję już kilka lat). Zebrane na tej płycie utwory to kompozycje świętej Hildegardy. Wyrażają one natchnienie mistyczki, jakiego doznawała podczas otrzymywanych przez nią objawień Pana Boga.

Sprawa o tyle ważna dla zainteresowanych tą postacią, że 10 maja 2012 r. papież Benedykt XVI wpisał ją na listę świętych, a 7 października 2012, podczas inauguracji Synodu Biskupów, ogłosił ją wraz z Janem z Ávili – Doktorem Kościoła Katolickiego.

Branie udziału w dziele papieskim było dla mnie wielkim zaszczytem, ale i odpowiedzialnością. Dlatego w ramach przygotowań do opracowywanego artykułu wykonałem w dniu 2 sierpnia 2012 r. z główną artystką profesjonalną sesję fotograficzną, która odbyła się w kościele pw. świętego Wojciecha na warszawskiej Woli. Ostatecznie tekst z małymi poprawkami ukazał się w tygodniku „Idziemy” 19 sierpnia 2012 r. w dziale Kultura. Był to mój debiut na łamach tego działu i do tego, jak nieskromnie stwierdziłem, dobrze przyjęty. Nie dane mi było od razu nacieszyć się tym sukcesem, bowiem trzy dni wcześniej zmierzałyśmy we czwórkę: tata, ja, Małgosia i Sylwia do Helenowa.

Tuż przed wyjazdem znalazłem czas, by uczestniczyć w mającym państwowy charakter – Świącie Wojska Polskiego. Mimo nawału

zając zdołałem wysłać online do Ministerstwa Obrony Narodowej swoje zgłoszenie z prośbą o akredytację na Uroczystą Odprawę Wart przed Grobem Nieznanego Żołnierza oraz do Kancelarii Prezydenta na pozostałe uroczystości, spośród których najbardziej interesowała mnie Msza Święta w Katedrze Polowej Wojska Polskiego.

Nietrudno zauważyć, że obok pracy zawodowej i obowiązków domowych zajmowałem się równocześnie kilkoma tematami, szczególnie gdy dodam, że wspomagałem również promocję innej płyty. Był to projekt wokalistki jazzowej Anny Osmakowicz, która do muzyki Tadeusza Prejznera i tekstów znanych polskich twórców występowała płytę „Bez Ciebie”.

Cieszyła mnie myśl i możliwość poznania osobiście Tomasza Stańki podczas warszawskiego koncertu „Męskie Granie”. Do spotkania Stańki, niestety, nie doszło.

Wszystkie te działania sprawiły, że mój projekt spędzenia wakacji na błogim leniuchowaniu sprowadził się w gruncie rzeczy do ciężkiej pracy. Obchody Święta Wojska Polskiego przyniosły mi jednakże spory dorobek w postaci pokażnej puli fotografii, wysłanych do FOTO-KAI, z ramienia którego uczestniczyłem i obsługiwałem te uroczystości.

Miały one i tę satysfakcjonującą mnie stronę, że obecni na nich przedstawiciele mojej instytucji – w osobach Prezesa NIK Jacka Jezierskiego i Dyrektora Biura Organizacyjnego Elżbiety Grzędzińskiej – zostali przeze mnie sfotografowani podczas składania przez nich wieńca od Najwyższej Izby Kontroli na Grobie Nieznanego Żołnierza. Nie omieszkałem oczywiście dostarczyć zdjęć do sekretariatu Biura Organizacyjnego.

W dniu 16 sierpnia 2012, po kilku godzinach jazdy, znaleźliśmy się całą rodziną w Helenowie, nieopodal trasy Lipsko n/Wisłą – Ostrowiec Świętokrzyski, skąd pochodzi moja siostra cioteczna, siostra zakonna Damiana Pluta. Jak wspominałem, to ona z siostrami ze swojego zakonu dostąpiła zaszczytu uczestniczenia w audiencji u Jana Pawła II, z nią właśnie przeprowadziłem wywiad na potrzeby mojej pracy licencjackiej.

W Helenowie, w którym oprócz naszego są jeszcze domostwa naszych kuzynów, spędziłem z rodziną część zaplanowanego na sierpień urlopu. Na nieco więcej niż tydzień przed końcem wakacji wróciliśmy do Warszawy, by przygotować się do kolejnego

wyjazdu, tym razem nad morze, a ściślej do Gdańska. Dziękując się z przyjaciółmi naszymi planami i radością z możliwości podboju Pomorza, otrzymaliśmy od nich okolicznościowe prośby i zadania.

Mój przyjaciel Marek Kusiba (mieszkający na stałe w Toronto) prosił, abyśmy w mieście Neptuna przywołali na myśl pamięć o jego matce spoczywającej na miejskim cmentarzu w Sopocie. W latach 1968–1998 pracowała ona w stoczniach Trójmiasta w charakterze suwnicowej, najpierw w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni, a następnie w Stoczni Gdańskiej, gdzie brała udział w strajku „Solidarności” w sierpniu 1980 r.

Muszę przyznać, że tak bardzo się przejąłem tą prośbą, że nie tylko w czasie modlitwy, ale i w momentach, gdy spoglądałem na stoczniowe dźwigi, ożywała w mojej pamięci i jak błyskawica pojawiała się w moich myślach Pani Alicja oraz znany mi ze wspomnień innych czas wielkiej nadziei związany z rodzącą się solidarnością ludzi pracy.

Te czasy rzuciły mojego przyjaciela Marka na emigrację. Niejako inne zadanie zlecił mi drugi przyjaciel Paweł Pasik, zachęcając do obejrzenia odsłoniętego 14 lipca 2012 r. dzięki Stowarzyszeniu „Godność” pomnika Jana Pawła II i Ronalda Reagana w Gdańsku Przymorzu.

Natomiast moim założeniem było, czego nie ukrywam, znalezienie się w Gdańsku, a właściwie w Trójmieście z kilku powodów. Pierwszy to skrywany od dwóch lat żal, że nie mieliśmy dość czasu na podziwianie uroków miasta. Drugi to chęć nieksiążkowego wprowadzenia na drogi historii Polski uczennicy klasy czwartej szkoły podstawowej, czyli mojej córki Sylwii, a trzeci, to relaks dla żony Małgorzaty.

Ostatnim, ale najważniejszym celem naszej wyprawy było podążanie, nazwane umownie, „Śladami Jana Pawła II na Pomorzu”. Ponieważ od dawna interesuję się postacią Ojca Świętego, chciałem zobaczyć jak najwięcej miejsc w Trójmieście związanych z osobą Naszego Papieża (szczególnie z Jego pobytem na Pomorzu w czerwcu 1987 roku) i poczuć klimat tamtych dni.

28.08.2012 r. /wtorek/ – pierwszy dzień naszej podróży retrospektywnej sprzed dwóch lat. Każda podróż ma to do siebie, że jest nacechowana różnymi przygodami, tak też było i z naszą. Wyruszyliśmy z dworca Warszawa Wschodnia pociągiem pośpiesznym

TLK o godz. 9:43. Nasz pociąg jechał ze względu na remont torów okrężną drogą przez Inowrocław i Kutno, nabierając przy tym godzinę opóźnienia, omijając m.in. Toruń i inne stacje.

Po dojechaniu do Bydgoszczy, po zapytaniu przeze mnie konduktora okazało się, że ruszyliśmy już zgodnie z rozkładem, czyli o godz. 14:06. Oprócz naszej trójki w przedziale jechał starszy pan, który miał się spotkać ze swoją córką w Toruniu, a nie był pewien do końca, jak ma to zrobić. Zagapił się w Inowrocławiu, skąd PKP oferowało autobusy zastępcze do Torunia.

Dzięki wynalazkowi, jakim jest telefon komórkowy, porozumiał się ze swoją córką i wysiadł w Bydgoszczy, gdzie miała na niego czekać. Starszy pan w nawiązującej się między nami rozmowie przedstawił się jako rolnik spod Lublina. Na fali dyżurnych tematów związanych z „Amber Gold” opowiadał, jak w okresie rodzącej się po 1991 roku demokracji został poważnie oszukany przy oddawaniu tuczników do uboju. Podobnie jak wielu innych gospodarzy, którzy mimo próby egzekwowania swoich należności na drodze sądowej również niczego nie wywalczyli.

Innym wspólnym tematem z tym panem to mój stały temat „Pielgrzymka Ojca Świętego Jana Pawła II do Polski”, w tym przypadku Msza Święta w Lublinie w 1987 roku. Mówił on, że na miejscu nabożeństwa, na placu przy kościele pod wezwaniem św. Rodziny na Czubah, pobudowane zostało osiedle mieszkaniowe. Z samej Eucharystii pamiętał jedynie, że była ona połączona ze święceniami kapłańskimi kilkudziesięciu diakonów, których Papież szczególnie pozdrowił, i że widok tych młodych kandydatów do stanu kapłańskiego był bardzo budujący. Kiedy starszy pan wysiadł, dosiadło się dwóch panów, którzy raczej nie mieli ochoty z nami konwersować.

W czasie dalszej podróży nasze głowy zaprzętała myśl o nieuniknionym przyjeździe do Gdańska z godzinnym opóźnieniem, więc w sytuacji naszego umęczenia dotychczasową podróżą chciało nam się płakać. Planowaliśmy bowiem po wyjściu z pociągu wykonać z marszu pierwsze kroki po Gdańsku, a byliśmy przekonani, że się nam to nie uda. Dlatego kiedy dowiedzieliśmy się w Bydgoszczy, że przyjazd do Gdańska będzie zgodny z rozkładem jazdy, na powrót wrócił uśmiech na nasze twarze. Tak mijaliśmy kolejne stacje, które świadczyły o tym, że wszystko idzie zgodnie z planem, co nas bardzo ucieszyło.

Mimo to mieliśmy osiem minut opóźnienia, bo pociąg zatrzymał się na stacji Gdańsk Główny o 16:16, ale to przecież nie godzina. Po wyjściu z wagonu naszym oczom ukazały się piękne, starodawnie wyglądające perony i budynek dworca. Kilka wdechów i marsz z plecakami na dworzec do przechowalni bagażu. Tu kilka procedur, potem zakup biletów komunikacji miejskiej w kiosku oraz telefon do naszego gospodarza ks. Józefa – proboszcza Parafii Miłosierdzia Bożego, przy którym znajduje się nasze miejsce noclegowe, czyli Dom Pielgrzyma w dzielnicy Gdańska Piecki-Migowo przy ul. Myśliwskiej 25.

Niestety po nawiązaniu połączenia okazało się, że księdza Józefa nie ma na miejscu, ale ksiądz, któremu się zameldowaliśmy, obiecał, iż przekaze mu wiadomość, że *warszawiacy przyjechali*.

Potem skierowaliśmy się na Rynek Gdański i motławskie nabrzeże, aby poczuć atmosferę miejsc, które w swoim czasie nawiedził Ojciec Święty. Następnie udaliśmy się na obiad do jadłodajni Harcówka mieszczącej się w Domu Harcerza. Bardzo mi to pasowało, bo wszak jestem starym harcerzem.

Później jeszcze trochę pooglądaliśmy stragany z pamiątkami i bursztynami, a że zbliżała się godz. 18:00, postanowiliśmy odebrać bagaże z przechowalni i udać się do Domu Pielgrzyma na nocleg.

Nim znaleźliśmy się na właściwym przystanku i we właściwym autobusie, jako początkujący trójmiejscy turyści trochę błędziśmy, ale dzięki uprzejmości gdańszczan po niewielkich poszukiwaniach odnaleźliśmy przystanek o nazwie Targ Rakowy, z którego autobusem linii 130 dotarliśmy bezpośrednio na Migowo.

Jeszcze po drodze minęliśmy dwa miejsca czynnego protestu – przystanek tramwajowy przy Urzędzie Miasta oraz dalej Zespół Szkół Budowlano-Architektonicznych im. prof. J. Stankiewicza przy ul. Powstańców Warszawskich 25 – oblepiony protestacyjnymi transparentami.

Te dwa miejsca tak mnie zaintrygowały, że postanowiłem je w dogodnej sytuacji sfotografować. Po dotarciu do przystanku docelowego mieliśmy dosłownie kilkadziesiąt metrów, aby przejść pieszo do zabudowań Parafii pw. Miłosierdzia Bożego. Kiedy dotarliśmy pod drzwi wejściowe, dostępu do wejścia bronił domofon z szyfrem, wówczas postanowiłem zadzwonić do księdza Józefa, abyśmy mogli wejść do środka.

Dzięki temu pojawił się w drzwiach osobiście i oprowadzał nas po Domu Pielgrzyma, abyśmy mogli wybrać sobie odpowiednie pokoje. Ja z Gosią zajęliśmy jeden pokój dwuosobowy, a jedynekę z telewizorem Sylwia. Pokoje znajdowały się obok siebie ze wspólnym wejściem i łazienką. Kiedy dziewczyny robiły kolację, ja w tym czasie spokojnie czekałem, aż ks. proboszcz zakończy rozmowę z przedstawicielami kolejnej grupy pielgrzymkowej, która planowała nocleg w jego Domu Pielgrzyma.

Kiedy zakończył rozmowę, jeszcze kilka chwil rozmawiałem z nim o pierwszych wrażeniach z pobytu w Gdańsku. On opowiadał o swoich troskach i zachęcał nas do udziału w Mszach Świątych w pobliskim kościele. Po kolacji, rozpakowaniu i po szybkim prysznicu usnęliśmy w naszych ciepłych łóżeczkach. Jeszcze jak przez mgłę pierwszej nocy wsłuchiwalismy się w szum i warkot przelatujących nad nami samolotów z pobliskiego lotniska.

29.08.2012 r. (środa) – to nasz pierwszy pełny dzień pobytu w Gdańsku. Wstaliśmy wcześniej niż było potrzeba, bo Gosia sobie ubzdurzyła, że statki na Westerplatte odpływają o godzinie 8:15. Po dotarciu na nabrzeże około o godz. 9:00 okazało się, że tramwaj wodny na Placówkę odpływa dopiero o godz. 10:00, jednak w międzyczasie był rejs o godz. 9:15, ale trochę byle jakim statkiem, więc nie było czego żałować.

Rozważaliśmy jeszcze podróż statkiem pirackim: „Galeon Lew” lub „Czarna Perła”, ale nie wyglądały one zbyt atrakcyjnie zewnętrznie i wyczuwało się możliwość szybszego ich zatonięcia niż statku Żeglugi Gdańskiej. W czasie, jaki pozostał nam do rozpoczęcia rejsu, chodziliśmy wzdłuż nabrzeża, oglądając i podziwiając przycumowane żaglówki i statki, pertraktując możliwość obniżenia ceny biletu i popłynięcia jednym z nich.

Ostatecznie zwrócił naszą uwagę statek „Małgorzata”, czyli tak jak imię mojej żony. Byliśmy pierwszymi pasażerami, którzy w dniu dzisiejszym zostali na nim zaokrętowani. Myśleliśmy, że będzie niewielu chętnych około godz. 10:00, ale okazało się, że pokład wypełniły grupy wycieczkowe i to w dużej części Niemców.

Łapię się na tym, że słysząc ten język w Trójmieście zaczynam czuć się (mimo, że nie było mnie jeszcze wtedy na świecie) jak w czasie II wojny światowej. Potem sam stwierdzam swoje głupie myślenie wobec napotykaney na każdym kroku wysokiej kultury

tęgo narodu. Jak choćby ich pomocy w trakcie moich karkołomnych wyczynów przy wykonywaniu w czasie rejsu fotografii.

Pogoda na pływanie była wymarzona, piękne czyste niebo i obdarzające nas gorącymi promieniami słońca. Kiedy odpłynęliśmy od brzegu, kapitan statku włączył kasetę z opowiadaną przez przewodniczkę o miłym wyraźnym głosie historią poszczególnych obiektów mijanych w trakcie rejsu – w języku polskim, niemieckim i angielskim. Był to mój pierwszy rejs statkiem po latach i po raz pierwszy poznawałem historię Gdańska z pokładu statku.

Oprócz tego, ponieważ nasz wyjazd do Trójmiasta obraliśmy sobie jako w jak największej części podążanie śladami Ojca Świętego – Jana Pawła II, próbowałem wyobrazić sobie, jak właśnie On czuł się płynąc trałowcem redowym ORP „Mewa” z Gdyni do Sopotu 11.06.1987 r. oraz 12.06.1987 r. z Sopotu na Westerplatte na pamiętne spotkanie z młodzieżą.

Trochę ze wstydem przyznaję, że niezbyt dobrze przygotowałem się merytorycznie do tego wyjazdu. Dlatego również przeoczyłem tegoroczne obchody 25. rocznicy tego wydarzenia. W trakcie naszego rejsu duże zainteresowanie budziły historyczne budynki, ale wielkie wrażenie robił też widok zacumowanych ogromnych statków kontenerowych czy będących poza wszelką konkurencją promów pasażerskich i olbrzymich statków wycieczkowych.

Jeden z takich kolosów „Albatros” pod szwedzką banderą zacumowany był przy granicy morskiej przy nabrzeżu Westerplatte, dlatego, mimo że z daleka, mogliśmy nacieszyć oko jego przepięknym widokiem i konstrukcyjnym rozmachem, który był niczym z „Titanica”. Dlatego nigdy nie zdecyduję się popłynąć takim kolosem ze względu na znany mi tragiczny los pasażerów transatlantyka.

Nie wiem też dlaczego podczas tych marynistycznych wypraw prześladowały mnie pesymistyczne myśli. Dlatego zanim wszedłem na jakiś statek, najpierw rozglądałem się, gdzie są kapoki, tratwy ratunkowe czy szalupy, koła ratunkowe, jak głęboka jest woda i jaki orientacyjnie można w niej przeżyć czas od ewentualnego zatonięcia statku do zjawienia się ratowników.

Oczywiście te wszystkie analizy robiłem dyskretnie, aby nie zaburzać oczekiwań żony i córki, wyłącznie żadnych atrakcji. Mimo mojego podejścia z rezerwą do marynarki jako takiej cały czas żałowałem, że nie nauczyłem się pływać i nie stałem się wilkiem

morskim, bowiem wszystko, co związane z „wielką wodą”, zawsze budziło i budzi we mnie ogromne zainteresowanie. Nawet takie niby normalne i niby proste i głupie rzucanie cumy na keję.

Kiedy dopłynęliśmy do brzegu i opuściliśmy statek, poszliśmy zwiedzać historyczne miejsca bohaterskiej obrony żołnierzy z Westerplatte. Drugim kontekstem naszego tam pobytu, przynajmniej dla mnie, była szeroko rozumiana myśl Jana Pawła II w 1987 roku wypowiedziana tu do młodzieży:

Każdy z Was, młodzi Przyjaciele, znajduje też w życiu jakies swoje Westerplatte, jakiś wymiar zadań, które trzeba podjąć i wypełnić, jakąś słuszną sprawę, o którą nie można nie walczyć, jakiś obowiązek, powinność, od której nie można się uchylić, nie można zdezerterować. Wreszcie, jakiś porządek prawd i wartości, które trzeba utrzymać i obronić, tak jak to Westerplatte. Utrzymać i obronić, w sobie i wokół siebie, obronić dla siebie i dla innych.

Nie muszę dodawać, że była ona szczególnie obecna w moim umyśle podczas całego rejsu do miejsca spotkania Ojca Świętego z młodymi. Mało tego, zacząłem analizować, co w moim życiu jest moim Westerplatte.

Odpowiedź tak jak wiele razy wcześniej przyszła z Nieba: „Jacku, twoim Westerplatte jest twoja rodzina, praca, dziennikarstwo i wszystko, co robisz, kiedy stoisz na gruncie nauki Jezusa”. Ta myśl podniosła mnie na duchu, co miało szczególne znaczenie, kiedy musiałem znosić trudy wyprawy i coraz to nowe humory żony i córki.

Tu na historycznym miejscu pierwszym obiektem, przy którym się zatrzymaliśmy, był mały cmentarzyk, na którym pochowani są pierwsi zabici żołnierze z 1939 roku oraz ich dowódca mjr Henryk Sucharski, który zmarł w Neapolu w 1946 roku, a którego prochy, jak czytamy na pamiątkowej tablicy, sprowadzono w 1971 roku.

Nic to nie przeszkadza, że biznes się kręci. Na swej drodze mijamy kolejne stragany, które oprócz militariów i pamiątek świecą chińskim badziewnym plastikiem i lodami na patyku.

Jak głupi, chodząc od straganu do straganu, pytam handlarzy: czy może mam szansę kupić jakąś monetę albo medal pamiątkowy lub chociaż przewodnik lub folder związane z pobytym na Westerplatte Jana Pawła II i to wcale nie tak dawno.

Mało tego, uważam tamto spotkanie Ojca Św. z młodzieżą jako najważniejsze nie tylko z polską, ale też i młodzieżą świata, co moim

zdaniem przekłada się na zaliczenie tego wydarzenia do w ogóle najważniejszych podczas całego pontyfikatu Jana Pawła II.

Dlatego chciałbym mieć jakąś pamiątkę z tego wydarzenia, a tu nic. Szukam – oczywiście wszyscy są zdziwieni chyba bardziej nie tym, że żadnych pamiątek związanych z Janem Pawłem II nie mają, ale że o to pytam. Jakby tego było mało, taka sytuacja powtarza się na każdym kroku w sklepikach i księgarniach w Gdańsku, Gdyni i Sopocie.

Jako Polak i tymczasowy gdańszczanin uważam, że to obciach i żenada. Wróćmy jednak do czasów wojennych. Kiedy zaczynamy wchodzić na „historyczną ścieżkę” zaatakował nas starszy pan twierdząc, że jest przewodnikiem – oferuje nam oprowadzenie po Placówce. Swą opowieść zaczyna dość zaborczo, nie dając nam szansy uwolnienia się od niego, jednak kiedy wyciąga z kieszeni kilka przewodników, oferując ich zakup, sytuacja się wyjaśnia – nic za darmo.

Wreszcie powiedzieliśmy mu jasno i wyraźnie, że rezygnujemy z jego oferty. I już w miarę wolni ruszamy w dalszą drogę. Po drodze mijamy kolejne budowle, bunkry i wartownie opatrzone szklanymi tablicami z opisami obiektów. Dziwi fakt, że są one w dużej części porozbijane, zastanawiam się, dlaczego i komu to przeszkadzało, a następnego dnia czytamy o tym artykuł w darmowej prasie o śmieciarzach na Westerplatte i pozostawianych przez nich śmieciach w miejscu tak ważnym dla historii Polski.

Nie łudźmy się, to nie Niemcy je zniszczyli, to nasi rodacy w przypiływie „fantazji”. Wreszcie docieramy do kulminacyjnego punktu naszej wyprawy, czyli pod tak charakterystyczny pomnik Obrońców Wybrzeża. Nim docieramy pod cokół, mijamy pracowników służb utrzymania czystości i ogrodnictwa, którzy, jak sądzę, mają „swoje dni” 30.08 i 31.08. To jest na niedługo przed przyjazdem delegacji państwowej, która też być może jest zmuszona pamiętać o wojnie jedynie 1 września.

Dlatego, aby jedni i drudzy byli zadowoleni, ryczą spalinowe kosiarki, ustawiane są bramki, każdy robi to, co może, żeby ładnie wyglądało chociaż tego jednego dnia w telewizji.

Po wykonaniu kilku pamiątkowych zdjęć udajemy się w drogę powrotną, jeszcze przez kilka chwil rzucając okiem na przedwojenne obiekty wojskowe. Dużą ciekawostką dla mnie był odkryty

po raz pierwszy fakt, że Westerplatte było uzdrowiskiem. Dowodzi to też tego, że można było w Polsce kilkadziesiąt lat temu leczyć się samym klimatem, a teraz...?

Po przekroczeniu umownej granicy Placówki Westerplaczków, idąc w kierunku pętli autobusów komunikacji miejskiej, po prawej ręce mijamy granicę morską, u której stoi dumnie „Albatros”.

Analiza rozkładu jazdy autobusów sprawia, że transportu kołowego możemy się spodziewać dopiero za godzinę. Zatem postanawiamy iść na wariata na nabrzeże, aby wrócić statkiem do Gdańska. Moje dziewczyny nie byłyby sobą, gdyby po raz kolejny nie naciągnęły mnie na zapiekanki. W ten sposób już z fast-foodem w zębach zostaliśmy zaokrętowani na statku „Danuta” i tym razem przy miłej nastrojowej muzyce dobiliśmy do nabrzeża przy zielonym moście – nieopodal słynnego gdańskiego Żurawia.

Nim zakończył się nasz rejs, mieliśmy jeszcze niezapowiedzianą i nieprzewidzianą atrakcję. Otóż dzięki temu, że płynęliśmy w odpowiednim czasie, mieliśmy okazję obserwować, jak wprowadzany jest do Stoczni Remontowej ogromny statek towarowy. Może nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że ów statek poruszała ogromna śruba okrętowa, a mimo to, aby nie doszło do katastrofy, pilotowały go trzy holowniki. Jeden z przodu, drugi z lewej burty, a trzeci z tyłu ciągnąc go linami do tyłu każdy w swoją stronę, aby stanowiły przeciwsiłę dla wprowadzanego statku, tak aby mógł on cały czas w oparciu o pozostałe dwa holowniki utrzymywać równowagę.

Widok był niesamowity, pierwszy raz żałowałem, że nie mam kamery, bo były to sceny niczym z filmu katastroficznego. Po dobieciu do brzegu tradycyjnie obiadek u harcerzy, lody na rynku.

Właśnie na Gdańskim Rynku, a właściwie przed Starym Ratuszem zauważyłem piękny romantyczny żywy obrazek. Oto przystojny młodzieniec lat około 20 klęczał na jedno kolano przed swoją piękną narzeczoną, która miała dłonie wplecione w jego włosy i promieniała szczęściem.

Nie zważali na nikogo, na tubylców, turystów (oni byli z innego obrazka). Świat tych dwojga naręczonych zamykał się w ich dłoniach stulonych do objęcia. Był to widok tak piękny, tak romantyczny i niewinny, że aż prosiło się, aby zrobić im zdjęcie, ale nie zrobiłem tego z dwóch powodów: po pierwsze zakłóciłbym im ich może

najważniejszą chwilę szczęścia w życiu, a po drugie byłoby nieetyczne wykorzystanie tak osobistego wydarzenia do własnych celów (o ochronie dóbr osobistych jeszcze wtedy nie mówiono na każdym kroku).

Przypuszczalnie ten romantyczny obrazek był następstwem wręczenia przez młodzieńca pierścionka zaręczynowego, który odbijał blask w ostatnich dniach promieniach słońca.

30.08.2012 r. (czwartek) – dziś niby dzień jak co dzień, ale mimo to postanowiliśmy, wykorzystując słoneczną pogodę, trochę poszaleć po pozostałych częściach Trójmiasta, tj. Sopocie i Gdyni. Najpierw pojechaliśmy pociągiem do Sopotu, który przyciągał urokiem wąskich uliczek. Tak dotarliśmy do ul. Monte Casino (popularnie zwanej „Monciakiem”) prowadzącej wprost na sopockie molo.

Tu okazało się, że u wejścia zainstalowano bramki tak jak w metrze, a bilety wstępu kosztują od 7 do 8 zł. Mało tego, gdybyśmy będąc na molo wyszli z niego na plażę, a później chcieli popłynąć z mola statkiem, to musielibyśmy ponownie kupić bilet wstępu na molo. Uznaliśmy to za wielką pomyłkę organizatorów sopockiej turystyki, którzy w żaden sposób o tym nie informowali, i już nie wracaliśmy, ale niesmak pozostał.

Trzeba przyznać, że nasz pobyt na molo był dość krótki, ponieważ Sylwia domagała się jak najszybszego pójścia na plażę. Zatem krótko podziwialiśmy zacumowane żaglówki i statki na redzie oraz widoczny stąd wchodzący do portu w Gdańsku prom. Potem udaliśmy się na sopocką plażę.

Kiedy już dziewczyny nacieszyły się pływaniem i opalaniem, udaliśmy się do baru „Kurort” na obiad. Posiłek był dość kosztowny, ale syty, dlatego już nieco ociążali zajęliśmy miejsca w pociągu do Gdyni. Byliśmy tam około 15:00 i postanowiliśmy zrobić spacer na nadmorskie nabrzeże. Mijając ul. Jana Pawła II znaleźliśmy się na Skwerze Kościuszki, na którym Ojciec Święty odprawił w 1987 roku Mszę Świętą i skierował słowo do ludzi morza.

Sylwia i Gosia początkowo nie chciały wchodzić na okręty – muzeum „Błyskawica”, czy „Dar Pomorza”, jednak kiedy namówiłem Sylwię do zwiedzenia „Błyskawicy”, będąc pod jej wrażeniem, sama mnie zaciągnęła na „Dar Pomorza” racząc się widokiem maszynowni, pokojem radiotelegrafisty, a przede wszystkim – stołówki oficerskiej.

Dziecko jak to dziecko – cały czas próbowała naciągnąć tatę na zakup jakichkolwiek pamiątek, z tym że określenie „pamiątka” w wykonaniu Sylwii jest dość szerokie, wcale nie zaczynające się od zakupu czegoś, co miałoby bezpośredni związek ze zwiedzaniem miasta czy miejscem. Dla Sylwii słowo „pamiątka” to przede wszystkim jakakolwiek zabawka, która mogłaby sprawić jej radość. To, co jest związane z turystyką, znajduje się najwyżej na drugim miejscu. Trudno się zresztą temu dziwić.

Po niewielkim buszowaniu po sklepach z suwenirami i pobliskich barach i lodziarniach, nieco zmęczeni, postanowiliśmy udać się w drogę powrotną.

Idąc pieszo i przechodząc koło jednego z kasyn gry, zauważyłem sznur czarnych samochodów na ogół marki BMW, w których dominowali kierowcy o wygolonych głowach. W jednym z takich aut zauważyłem piękną, młodą blondynkę lat około 20, siedzącą na tylnym siedzeniu w celu raczej wiadomym.

Był to widok najbardziej przykry, jaki dane mi było oglądać podczas całego naszego pobytu w Trójmieście. Również dlatego, że nie mogłem niczego zrobić ani niczemu przeciwdziałać, tym bardziej że blondynka sprawiała wrażenie, że znalazła się w opałach z własnej nieprzymuszonej woli. Resztę pozostawiam bez komentarza.

Idąc dalej postanowiliśmy sobie uprościć dotarcie do stacji kolejowej i udać się tam środkiem komunikacji miejskiej, którym okazał się trolejbus. Wrażenia nie odbiegały niczym od jazdy zwykłym autobusem. Wreszcie dotarliśmy do dworca kolejowego Gdynia Główna i wróciliśmy pociągiem do Gdańska.

Po drobnych zakupach udaliśmy się jak zwykle na przystanek autobusowy o nazwie Targ Rakowy, z którego już jako stali bywalcy oczekiwaliśmy na przyjazd autobusu linii 130, którym dojechaliśmy do Domu Pielgrzyma.

Tu zarządzam szybką kolację i kąpiel, a potem pakowanie i sprzątanie z grubsza naszych pokoi. Tak jestem nauczony, że zawsze staram się zostawiać po sobie w miejscach, gdzie pomieszkuję, należyty porządek. Jeszcze tylko bilans zysków i strat oraz ustalanie planów na ostatni dzień naszego pobytu i sen tak bardzo potrzebny po wyczerpującym dniu urlopu.

31.08.2012 r. (piątek) – trochę już zaznajomieni z wyglądem gdańskiej starówki i koniecznością spełnienia obietnicy złożonej

Pawłowi Pasikowi, dotyczącej opisanego wrażeń z oglądzin najnowszego pomnika papieskiego, kierujemy się pierwotnie do gdańskiej dzielnicy Oliwa.

W trakcie podróży tramwajem okazało się, że było to błędne założenie. Dzięki uprzejmości jednego z podróżnych dowiadujemy się, że zamiast do Oliwy powinniśmy udać się do Jelitkowa, w pobliżu którego znajduje się ów pomnik – „koniec języka za przewodnika”. Od słowa do słowa zbieramy coraz więcej informacji, jak dotrzeć do bądź co bądź historycznego podwójnie pomnika.

Dlaczego podwójnie? No bo po pierwsze papież Jan Paweł II i Ronald Reagan niejako indywidualnie jako osobistości, które miały największy wpływ na losy świata w ostatnich dekadach XX wieku (ktoś mi to tak ładnie sformułował), tu w Przymorzu stoją koło siebie – według fotografii Scotta Stewarda z Associated Press upamiętniającej ich spotkanie na Miami na Florydzie 10 września 1987 roku.

Jakby tego było mało, zdjęcie pochodzi ze spotkania obu Panów z dnia 10 września 1987 r. Zatem trochę naginając fakty – w wigilię moich imienin – i to w roku 1987, z pamiętnego roku III pielgrzymki JP-2 do Polski, którą omawiam w swojej pracy magisterskiej pt. *Prasa wobec III Pielgrzymki Jana Pawła II do Polski (czerwiec 1987 r.)* pod kierunkiem prof. Rafała Habielskiego, czyli jakby powiedzieli dziennikarze – kłamra się zamknęła.

Pragnę jeszcze nawiązać do motywu wigilii imienin. Otóż moi przyjaciele wiedzą, że składanie przeze mnie życzeń imieninowych najchętniej czynię w wigilię ich imienin, stąd wigilijny zapis i rok wydarzenia częściowo odczytuję jako kolejne papieskie przesłanie dla siebie.

Oczywiście wiem, że Ojciec Św. i Reagan nie spotkali się celowo na dzień przed moimi imieninami, ale każdy napotkaną symbolikę dat i zdarzeń może odczytywać zgodnie ze swoją wolą. Najważniejsze jednak, aby z takich zdarzeń i znaków wypływało dobro, co w moim przypadku jest jak najbardziej możliwe.

Mimo że był to dzień pochmurny i deszczowy, uznaliśmy go we trójkę za najbardziej udany dzień naszej pomorskiej wyprawy. Jeszcze przed nami jawiła się interesująca druga część dnia. Zapowiadała się nie mniej interesująco.

Trochę żałowałam, że nie zostałam dłużej w Gdańsku, aby móc uczestniczyć na obchodach uroczystości XXXII rocznicy powstania

„Solidarności”, a także następnego dnia na Westerplatte o godz. 4:35 na obchodach 73. rocznicy wybuchu II wojny światowej, no ale *tak krawiec kraje jak mu materii staje*.

Musielibyśmy przede wszystkim przebukować bilety i opłacić dodatkowe noclegi w Domu Pielgrzyma. Uznałem to w perspektywie rozpoczynającego się niebawem roku szkolnego (wiąże się to, jak wiadomo, ze sporymi wydatkami) za nadmiar zamieszania bez większego przełożenia na efekt końcowy.

Ostatecznie postanowiliśmy wyjechać zgodnie z planem, tj. 31.08. o godz. 17:54 ekspresem „Jantar”, który w Warszawie miał być o godz. 23:45. Nim zajęliśmy miejsca w przedziale, po przejrzeniu programu solidarnościowych uroczystości dotarło do mnie, że mamy jedną z ostatnich szans zwiedzenia przed uroczystą Mszą Świętą pod przewodnictwem abp. Sławoja Leszka Głódzia – historycznego kościoła pw. świętej Brygidy, tym bardziej że dochodziła 15:00, czyli na dwie godziny przed Eucharystią.

Jak postanowiliśmy tak zrobiliśmy i dotarliśmy w pobliże świątyni przybranej we flagi narodowe i solidarnościowe. Na skwerze przed kościołem stał przykryty flagą „Solidarności” pomnik ks. prałata Jankowskiego, który po Mszy Świętej miał odsłonić abp Głódź – Metropolita Gdański, oraz widniała wystawa tematyczna.

Niestety nie mogliśmy uczestniczyć w tych uroczystościach, a jedynie przytoczyć o nich myśli w godzinach ich trwania – wpatrzeni w okna odjeżdżającego do Warszawy naszego pociągu.

Chciałoby się tu jeszcze wrócić, ale kiedy, któż to wie. Muszę dodać, że w trakcie pobytu w Trójmieście otrzymałem duchowy dar powołania do zajmowania się sprawami papieskimi. Był on tak nieoczekiwany i nie przewidziany i tak podniosły, że nie uchwyciłem momentu, w którym to się stało, ale wydaje mi się, że w nim wytrwam.



Lilijka harcercska ułożona przez harcerzy – II Pielgrzymka Jana Pawła II do Polski (1983), fot. Krzysztof Wardawy



Kolumna papieska wśród klęczących harcerzek i harcerzy – II Pielgrzymka Jana Pawła II do Polski (1983), fot. Krzysztof Wardawy



Kolumna papieska wśród klęczących harcerek i harcerzy – II Pielgrzymka Jana Pawła II do Polski (1983), fot. Krzysztof Wardawy



Jacek Kalinowski wśród harcerek – II Pielgrzymka Jana Pawła II do Polski (1983), fot. Krzysztof Wardawy



Kościół św. Anny – Warszawa – 2. rocznica śmierci Jana Pawła II (2007), fot. Jacek Kalinowski



Pl. Piłsudskiego – Warszawa – 4. rocznica śmierci Jana Pawła II (2009), fot. Jacek Kalinowski



Pomnik Obrońców Wybrzeża na Westerplatte (2012), fot. Jacek Kalinowski



Pomnik Jana Pawła II i Ronalda Reagana – Gdańsk Przymorze (2012), fot. Jacek Kalinowski

Rozdział III

Śladami Benedykta XVI

ŚDM Kolonia (Niemcy) – 2005

Początkowo do tego wyjazdu przymierzałem się jak pies do jeża. Biłem się z myślą o chęci pojechania tam z dwóch powodów. Po pierwsze – wiedziałem, że jako przyszły dziennikarz muszę tam pojechać, choćby się paliło i waliło. Po drugie – temat mojej pracy licencjackiej zawiera w tytule postać Jana Pawła II – jestem również zobowiązany do poznawania i uczestniczenia w nauce jego zdeklarowanego kontynuatora Benedykta XVI.

Kiedy pojawiły się poważne zarysy projektu wyjazdu do Kolonii, zacząłem sondować – pół żartem, pół serio – księdza Zbigniewa, wikarego z parafii Brata Alberta (gdzie jestem długoletnim lektorem), czy organizuje wyjazd na spotkanie z papieżem. Uzyskałem wówczas odpowiedź, że planowany jest udział młodzieży z naszej parafii.

Temat ten pojawił się wkrótce w ogłoszeniach parafialnych. Po jednej z Mszy Świątych, w której uczestniczyłem jako lektor, ksiądz Zbigniew zapytał mnie wprost, czy zgodziłbym się pojechać do Niemiec wprawdzie jako uczestnik, ale i jako jego pomocnik i dodatkowy opiekun młodzieży. Był to dla mnie jedyny możliwy wariant do zaakceptowania, gdyż i tak nie mieściłem się w granicy wieku dozwolonego dla uczestników.

Sama propozycja księdza Zbigniewa tak mnie zelektryzowała, że nie wiedziałem, co powiedzieć. Ponadto zaufanie, którym mnie wyróżnił, ogromnie mnie dowartościowało, okazało się bowiem, że moje zdobywanie wiedzy pedagogicznej i psychologicznej wyniesione z życia harcerskiego i osobistego znów może się przydać, no i ja też. Jako kontrargument właściwie był tylko jeden najbardziej istotny – obowiązki rodzinne, które z pomocą Bożą i mojej małżonki miałem nadzieję jakoś pogodzić.

Rozpoczęły się bardzo konkretne rozmowy konsultacyjne na razie tylko dwóch osób – księdza Zbigniewa i mnie. Wykorzystywaliśmy wówczas każdy sprzyjający czas do tego, aby ustalać wspólne

pomysły i rozwiązywać wzajemne wątpliwości. Po nich nastąpiło pierwsze zebranie informacyjne dla młodzieży w kościele. Okazało się wówczas, że w przyszłej grupie jest przeważająca część dziewcząt. Dodatkowo w skład naszej ekipy weszło dwóch młodzieńców, ja i ksiądz oraz młoda nauczycielka Sylwia, która również jako pomocna dłoń wspomagała żeńską część ekipy.

Przed wyjazdem jeszcze podzieliłem się swoją radością z faktu, że wyjeżdżam do Kolonii ze swoimi przyjaciółmi, również w nadziei na cenne uwagi, które życzliwie dostałem głównie od rektora mojej uczelni pana Wojciecha Giełżyńskiego i pana redaktora Marka Kusiby (obecnie mojego przyjaciela).

Tak już w pełni przeszkolony i zdecydowany zacząłem kompletować ekwipunek osobisty i techniczny (fotograficzny), potrzebny na wyjazd do Kolonii. Zanim to się stało w moim rodzinnym domu pojawił się ks. Zbigniew, aby wynegocjować u mojej żony Małgosi zgodę na mój wyjazd, co nie było takie trudne.

Nastał czas wyjazdu.

Gdy przyszedłem pod plebanię przy kościele Brata Alberta okazało się, że będziemy podróżować turystycznym busem. W czasie długiej, niekończącej się drogi do Niemiec próbowaliśmy z księdzem Zbigniewem i Sylwią trochę rozruszać towarzyszy podróży, a ok. godz. 21:00 odmówiliśmy Apel Jasnogórski.

W piątek 19.08.2005 r. przed godziną 11:00 dotarliśmy do Düsseldorfu, gdzie mieliśmy zgłosić się do wyznaczonego w ratuszu tego miasta punktu rejestracyjnego. Otrzymaliśmy tam kolejne części pakietu pielgrzyma wraz z perforowanymi kuponami na posiłki w okresie czekających nas dni pielgrzymki.

Było to, jak się wówczas zdawało, podyktowane chęcią usprawnienia i tak trudnego systemu rozdzielnictwa żywności wśród takich wielkich tłumów młodzieży.

Z tego bardzo dużego miasta dotarliśmy około południa do mniejszego Hilden. Udaliśmy się do kolejnego punktu zgłoszeń w pobliżu kościoła św. Konrada. Otrzymaliśmy tu informacje o najbliższym programie modlitewnym, a także sposobie otrzymania żywności. Następnie po posiłku udaliśmy się naszym dzielnym busem na miejsce noclegowe. Okazała się nim być duża hala gimnastyczna, która na zapleczu była wyposażona w prysznice i toalety, utrzymane we wzorowej czystości.

Po szybkim odświeżeniu się kilka osób (w tym i ja) z naszej grupy natychmiast zasnęło. Gdy dochodziła 15:00, jeden z naszych ludzi Paweł zdecydował za całą grupę, wypowiadając oczywiste słowa, że wypimy się w nocy. Skutkiem tego podjęliśmy szybką decyzję o zwiedzaniu naszego bazowego miasteczka, a ściślej jego starówki.

Trochę to niektórych odstraszało, ale jak się później okazało owa starówka miała charakter bardziej handlowy (na który wszyscy liczyli), niż zabytkowy (którego raczej się obawiali). Ustaliliśmy z księdzem Zbigniewem tzw. czas wolny, po zakończeniu którego mieliśmy przejść do kościoła św. Konrada na Drogę Krzyżową.

Widok pierwszych sklepów zachęcił nas do uwzględnienia na wstępie (jeszcze w Polsce) zaplanowanych zakupów. Dziewczęta rzuciły się na sklep ze świecidełkami, mnie natomiast interesował sprzęt i akcesoria fotograficzne. O ile uzyskanie informacji o lokalizacji sklepu z tego typu akcesoriami jest sprawą dość prostą, o tyle uzyskanie konkretnej informacji o interesującym mnie sprzęcie było nieco trudniejsze.

Jako rasowy fotoamator nastawiałem się na zakup aparatu cyfrowego lub obcinarki do zdjęć o długości cięcia formatu A3. Po wstępnych oględzinach wystawy okazało się, że „cyfrówki” są poza moim zasięgiem cenowym. Obcinarek nie zauważyłem na wystawie i wówczas postanowiłem o nie zapytać, próbując się porozumieć trochę łamanym angielskim i wspierając się nieco równie łamanym francuskim. W końcu wytłumaczyłem sprzedawczyni, o co chodzi, i po kilku pytaniach z jej strony udało mi się nabyć z dumą oczekiwany sprzęt, na który otrzymałem rabat 4 euro, co uznałem za duży sukces.

W drodze powrotnej na miejsce spotkania udało mi się jeszcze przegryźć gorącą kiełbaskę i kupić pierścioneczek dla mojej córki. Tak obkupiony w niezbędne suveniry dotarłem na umówione miejsce, lekko naruszając zegarmistrzowską punktualność.

Zebrani, zdyscyplinowani udaliśmy się do kościoła św. Konrada, gdzie mieliśmy zaplanowany kolejny punkt programu, a mianowicie Drogę Krzyżową. Już dochodząc do tego miejsca z oddali słyszeliśmy huczne śpiewy, a z bliska również widzieliśmy płąsy na cześć Pana w wykonaniu polskiej młodzieży z Neokatechumenatu, którzy namówili nas do przyłączenia się do wspólnej zabawy.

Był to pierwszy moment prawdziwej radości. Kiedy wybieraliśmy się do Kolonii, wiedzieliśmy już o bardzo przykrym i wręcz tragicznym wydarzeniu, jakim było zabójstwo Brata Rogera (założyciela Wspólnoty Taizé), dlatego nastawialiśmy się raczej na bardziej stonowany, żeby nie powiedzieć poważny charakter uroczystości. Mimo to utrzymano radosny przebieg spotkania młodzieży, co nas bardzo ucieszyło.

Po kilku wesołych chwilach zaczęliśmy się wyciszać przed mającą się rozpocząć Droga Krzyżową. Odprawiona ona była w czterech językach: niemieckim, włoskim, angielskim i polskim. Całe nabożeństwo trwało więc dość długo, bo około 4 godzin. Po jego zakończeniu wróciliśmy do naszej kochanej sali gimnastycznej, gdzie czekały na nas już mięciutkie karimaty i cieplutkie śpiworki.

Nazajutrz rano dostaliśmy smakowite śniadanko (kolejna porcja z naszej kartki żywieniowej), musieliśmy także przyśpieszyć tempo pakowania, ponieważ chcieliśmy jak najszybciej wyruszyć na plac Marienfeld (plac Maryi), miejsce spotkania z Benedyktem XVI. Nie znając dalszej drogi próbowaliśmy siedzieć na ogonie jednemu z autokarów w nadziei, że doprowadzi nas jak najbliżej miejsca spotkania z Ojcem Świętym.

Na szczęście w porę zorientowaliśmy się, że jedzie w innym kierunku. Wtedy zdaliśmy się na własne umiejętności topograficzne i dzięki temu wróciliśmy na właściwą drogę. Udało nam się dojechać do jednego z parkingów prywatnych, z którego do przejścia mielibyśmy 8 km, nam wydawało się to za daleko i postanowiliśmy szukać bliższego placu Marienfeld parkingu. Skutkiem naszych dalszych poszukiwań było znalezienie miejsca postoju, z którego było do przejścia aż 17 km, czyli o 9 km więcej niż za pierwszym razem.

Ponieważ nie mieliśmy już żadnej możliwości manewru, gdyż lada moment miał być zatrzymany ruch, postanowiliśmy jak większość pielgrzymów udać się pieszo na miejsce modlitwy. Kiedy tak szliśmy na trasie przemarszu, przechodząc przez jedno z „miasteczek polsko-niemieckich”, napotkaliśmy życzliwie witających mieszkańców, którzy częstowali nas napojami i owocami.

Po drodze moją ciekawość wzbudziła możliwość zrobienia sobie z planszą „zdjęcia z misiem”, którym był Benedykt XVI, ale nie tylko z braku czasu oszczędziłem sobie wątpliwej przyjemności skorzystania z tej propozycji. Po wyjściu z obrębu miasteczka

wkroczyliśmy na dość przyzwoite leśne drogi, na których rozpościerało się morze pielgrzymów przed i za nami. Moją uwagę zwróciły duże grupy pielgrzymów niepełnosprawnych. Trzeba było mieć dużo hartu ducha, aby przejść tak trudną trasę.

W pewnym momencie dość nieoczekiwanie zaczęły nas dobiegać radosne, znajome dźwięki z głośników. Mieliśmy więc nadzieję, że to już koniec wędrówki. Jednak okazało się, że jesteśmy dopiero na przedpolu, a do przejścia mamy jeszcze ok. 2 km. Trochę nas to podłamało, ale nie na długo.

Wreszcie dotarliśmy na plac Marienfeld. Tu pierwsza ciekawostka – sektory nie były rozgraniczone bramkami i barierkami, do jakich przyzwyczailiśmy się podczas pielgrzymek papieskich w Polsce. Były jedynie oznakowane słupkami informacyjnymi literowo-cyfrowymi wyznaczającymi granice poszczególnych sektorów. Ogarnęło nas zdziwienie, gdyż mogło to spowodować wejście do sektorów „kogokolwiek i z czymkolwiek”.

Mieliśmy tylko nadzieję, że w sektorach najbliższych papieża sytuacja jest bardziej kontrolowana. Ponadto nie było specjalnie wyznaczonych dróg dla samochodów uprzywilejowanych, które mieszały się z samochodami zaopatrzenia i tłumami wiernych cierpliwie znoszących te wszystkie trudności. Inna rzecz, że kierowcy tych pojazdów często używali modulowanych sygnałów dźwiękowych, co skutecznie przeszkadzało w czynnym uczestnictwie w wieczornym czuwaniu z Benedyktem XVI.

Po zakończeniu nabożeństwa Najświętszy Sakrament został przeniesiony do specjalnie przygotowanego namiotu. Tu też tłumy młodzieży próbowały choć na krótko przed Nim się pomodlić. Spowodowało to początkowo brak drożności między wchodzącymi i wychodzącymi tym samym wejściem wiernych, który po niedługim czasie został skutecznie usprawniony poprzez otwarcie dodatkowego wejścia. W drugim równie dużym namiocie można było przystąpić do sakramentu pokuty.

Jak tam się sytuacja przedstawiała niestety nie wiem, bo rozgrzeszenie uzyskaliśmy jeszcze w Warszawie i nie mieliśmy potrzeby ani prawa podglądania Sakramentu Pojednania. Tak minęła nam sobota 20.08.

Natomiast jeśli idzie o inne formy wspierania wiernych, to trzeba przyznać, że pełną parą działały punkty informacyjne,

w których oprócz działalności zawartej w nazwie można było nabyć okolicznościowe souvenir, ale tu też było tłoczno. Dość dobrze pomyślano o podstawowej higienie poprzez ustawienie sporej ilości toalet (typu toi-toi) i nieopodal nich kilku szeregów kraników z wodą.

Trzeba powiedzieć, że czasami oczekując w kolejce do jednych i drugich trzeba było uzbroić się w cierpliwość. Choć wszyscy wiedzieli, że na wydarzeniu o charakterze pielgrzymki będą obowiązywać pionierskie warunki. Dlatego potraktowali je jako swego rodzaju wyrzeczenie czy nawet poświęcenie i zadośćuczynienie za popełnione wcześniej grzechy.

Wprawdzie z wcześniejszych informacji wynikało, że organizatorzy mieli zapewnić natryski, ale albo ich nie zorganizowali, albo my ich nie zlokalizowaliśmy, tak czy siak bardzo tam ich brakowało. Na szczęście udało nam się za kilka euro zrelaksować nasze zmęczone i przepecone ciała w drodze powrotnej do Polski na jednej z niemieckich stacji benzynowych.

Trzeba wspomnieć, że tłoczno było w nieprzeliczonych szeregach młodzieży oczekującej cierpliwie na duży kubek kawy za jedyne 1,5 euro. Był to wówczas tak pożądaný napój jak woda na pustyni. Pozwoliła ona w większości umęczonym pielgrzymom szybko dojść do siebie, zwłaszcza że z odgłosów tłumów można było się domyślać, że do Marienfeld zbliża się papież.

W rzeczywistości tak było i w pewnym momencie jedna z dziewcząt z naszej grupy krzyknęła „papież jedzie”. Nasza reakcja była natychmiastowa, pytanie „gdzie, gdzie, gdzie” (myśleliśmy, że jest w pobliżu nas), a ona spokojnie odpowiedziała „na telebimie”.

Ta opowieść stała się samoistną anegdotą, a na dodatek świadczy o tym, jaki media mają wpływ na nasze życie. Ale choć były małe szanse na zobaczenie papieża z bliska (to, co oprócz postaci papieża zauważyliśmy, to jego nowy papamobile), to jednak świadomość uczestniczenia we Mszy Św. z jego udziałem i w takim spotkaniu była rekompensatą za trudy i niedogodności, które towarzyszyły wszystkim uczestnikom tej pielgrzymki.

Jeśli chodzi o mnie, to ze względu na wcześniej wspomniane założenia poprosiłem naszego szefa, czyli księdza Zbigniewa, o możliwość oddalenia się od grupy na ok. 1 godzinę – na co dostałem pozwolenie i za co Mu w tym miejscu serdecznie dziękuję.

Potem wędrując i mijając kolejne sektory rejestrowałem wzrokiem punkty charakterystyczne, tak by móc bez większych trudności powrócić na czas do naszej ekipy i nie zgubić się. Przed wyjściem z sektora uzbroiłem swój sprzęt foto w teleobiektyw i ruszyłem w kierunku ołtarza, żeby spróbować zrobić choć jedno nitelewizyjne zdjęcie Benedykta XVI przy ołtarzu.

Jak myślę, udało mi się dotrzeć na odległość ok. 500 m od strefy „0”, co i tak uważam za duży sukces, który nie był dość trudny do osiągnięcia. Niemniej w praktyce okazało się, że ogniskowa mojego obiektywu, która miała 300 mm, była za krótka do zrobienia zbliżeń Ojca Świętego.

Jednak ze zrobionych fotografii jestem całkowicie zadowolony. Podszedłem właściwie do granicy miejsca, poza który służby porządkowe już nikogo nie wpuszczały. Byłem jedynym z uczestników naszej grupy, który dotarł tak blisko papieża. Mając z tego powodu lekkie wyrzuty sumienia postanowiłem w drodze powrotnej do Polski razem z księdzem Zbigniewem i Sylwią zaaranżować program kabaretowy w nietypowym miejscu, jakim był nasz busik.

Kontynuując temat przebiegu Mszy Świętej, Benedykt XVI mówił: *To jest bowiem ciało moje, które za was będzie wydane... To jest bowiem kielich krwi mojej nowego i wiecznego przymierza.... W ten sposób rozdaje chleb i kielich, a jednocześnie pozostawia im zadanie powtarzania i czynienia na Jego pamiątkę tego, co mówi i czyni w tym momencie. Co się dzieje? Jak Jezus może rozdawać swoje Ciało i swą Krew?*

Czyniąc z chleba swoje Ciało i z wina swoją Krew uprzedza On swoją śmierć, przyjmuje ją w swym sercu i przemienia w działanie miłości. To, co z zewnątrz jest brutalną przemocą, od wewnątrz staje się gestem miłości, która oddaje się cała. Oto całkowite przestoczenie, które dokonało się w wieczerniku i które miało pobudzić proces przemian, którego ostatecznym końcem jest przemiana świata aż do tego stanu, w którym Bóg będzie wszystkim we we wszystkich (por. 1 Kor 15,28). W jakimś sensie wszyscy ludzie zawsze oczekują w swym sercu zmiany, przemiany świata. Oto główny akt tej przemiany, będącej w stanie prawdziwie odnowić świat: przemoc zamienia się w miłość, a zatem śmierć w życie.

Po homilii zgodnie z umową wróciłem do „Naszych”. Tu znów szybkie dopakowanie i w założeniach jak najszybsza ewakuacja,

a w pewnym sensie także ucieczka przed nadciągającymi tłumami młodzieży, która planowała osiągnięcie tego samego celu, a mianowicie dojechania do Kolonii. Bo przecież było sprawą oczywistą, że bycie tam i niezobaczenie tej słynnej katedry to tak jakby być w Rzymie i nie zobaczyć papieża.

Dlatego zerkając co chwila na mapkę sytuacyjną i pytając o drogę dotarliśmy do przystanku specjalnych autobusów, które rozwoziły w konkretne miejsca pielgrzymów zgodnie ze swoim specjalnym oznaczeniem. Ze względu na ogromną ilość młodzieży chcącej za wszelką cenę wydostać się stamtąd za pomocą autobusu, dopiero po około godzinie udało nam się dostać do interesującego nas pojazdu linii nr B-26. Dojechalśmy nim w okolice 200 metrów od katedry.

Tę niedaleką drogę odbyliśmy dość sprawnie zaliczając po drodze fastfooda. My się spokojnie posilaliśmy, a ksiądz Zbigniew cały czas utrzymywał łączność komórkową z panami kierowcami i kuzynem ks. Józefa Skarpetowskiego. Wreszcie nastąpiło końcowe spotkanie i ruszyliśmy w drogę do Polski. Po drodze mieliśmy podwieźć tego kuzyna do domu, co początkowo wydawało nam się kłopotliwe.

Właściwie trochę zmęczeni, ale radośni jechaliśmy z takim nastawieniem do Polski. Aż tu nagle niespodzianka, kuzyn ks. Józefa wysiadając zaprosił nas do swojego mieszkania na kolację, choć fizycznie nie przy świecach, to tak jakby tam były.

Mnogość dań, ich ilość i smakowitość spowodowały, że od stołu wstaliśmy dwa razy ciężsi. Można powiedzieć, że była to swego rodzaju nagroda za nasze trudy pielgrzymkowe, a także świadcząca o wciąż istniejącej przysłowiowej staropolskiej gościnności. Po zaspokojeniu głodu z większą radością i ze śpiewem na ustach ponownie zajęliśmy miejsce w naszym busie. Tym razem zatrzymując się nieco dłużej na dwóch kolejnych stacjach benzynowych, gdzie można było całkowicie się odświeżyć, dojechalśmy do granicy w Świecku. Tam zostaliśmy poddani przyspieszonej, wcale nieuciążliwej kontroli granicznej i ruszyliśmy w dalszą drogę w kierunku Warszawy.

W dniu 21.08, kiedy zakończył się nasz pobyt w Niemczech i podstawowa grupa naszej ekipy wróciła do Warszawy, miałem zgodnie z wcześniejszymi uzgodnieniami odłączyć się w mieście oddalonym około 30 km od granicy polsko-niemieckiej niedaleko Rzepina, by

stamtąd udać się rejsowym autobusem do Kołobrzegu na spotkanie z moją żoną i córką, które miały dojechać razem z moim tatą Andrzejem, abyśmy wspólnie mogli udać się do Rewala na dalszy wakacyjny wypoczynek, gdzie czekały na nas nowe przygody.

Tu pewna ciekawostka: mimo że jechaliśmy z dwóch stron Europy, to ja autobusem dojechałem wcześniej niż „moi”, a w Kołobrzegu czekałem zaledwie 15 minut na pociąg, którym miała przyjechać moja rodzina. Rewal był jeszcze obecny w moim życiu w 2010 roku, kiedy nie ustawała fala dyskusji po katastrofie smoleńskiej o polityce ekipy rządzącej wówczas naszym krajem.

Pielgrzymka Benedykta XVI do Polski

Ostatnio jestem tak zajęтым człowiekiem, że rozumiem każdego zagonionego bliźniego. Niemniej jednak, kiedy polskie media coraz częściej zaczęły przytaczać informacje o zbliżającej się majowej (2006 rok) pielgrzymce Benedykta XVI do naszego kraju, moje życiowe silniki napędowe pomału zaczęły wyhamowywać.

W dalszym etapie zacząłem sobie zadawać filozoficzne pytanie: czy ja właściwie jestem młody, czy stary? Odpowiedź w moim sercu padła, że młody. Zatem dalej idąc tym tokiem rozumowania i przekonując sam siebie, doszedłem do wniosku, że 40-stka, którą kończyłem 3 września 2006 r., nie jest aż taka straszna i wydałem wyrok na moją żonę, że w związku z tym jedziemy w ślad za Benedyktem XVI po Polsce, gdzie tylko się da.

Pozostawał jedynie do przezwyciężenia problem – co zrobić z naszą małą córeczką, ale i to dało się załatwić, gdyż mój tata zaproponował, że pojedzie z nią na działkę.

Od tej pory zdarzenia, pozorne kłopoty zaczęły się sumować w kierunku pozytywnym. Zatem kiedy pojawiła się po jednej z niedzielnych Mszy Świętych w ogłoszeniach parafialnych informacja o zapisach na zaproszenia na Mszę Świętą na placu Piłsudskiego, zgłosiłem także swój akces.

W efekcie podniosłych oczekiwań zacząłem kompletować niezbędne przedmioty dekoracyjne (na potrzeby domowe): flagi i portret z wizerunkiem Benedykta XVI.

W międzyczasie okazało się, że nikt nie dostanie oczekiwanej liczby zaproszeń (co zresztą było do przewidzenia). W ostatecznym

rozliczeniu wszyscy aktywni współpracownicy z Parafii pw. Świętego Brata Alberta otrzymali od jej proboszcza ks. dr. Skarpetowskiego po dwa zaproszenia na warszawskie uroczystości, które miały się odbyć w dniu 26 maja.

Jednak jak już było wiadomo z programu pielgrzymki, Ojciec Święty miał przyjechać do Warszawy we czwartek, czyli dzień wcześniej niż wspomniana msza. Tak, żeby mógł się spotkać koło południa z duchowieństwem w archikatedrze św. Jana. Ten dzień miał być dla mnie zwykłym dniem pracy.

Ponadto zewsząd dość często słyszało się dyskusje – czy Benedykt XVI to Nasz Papież?, czy Nasz był lepszy...?

W zakładach pracy rozmieszczonych wzdłuż trasy zezwolono pracownikom na opuszczenie stanowisk na czas przejazdu Ojca Świętego, co umożliwiło zobaczenie Papieża z dość bliskiej odległości. Ponadto wielu szefów urzędów i firm podjęło decyzję o wprowadzeniu piątku jako dodatkowego dnia wolnego, tak aby ich pracownicy mogli godnie uczestniczyć w uroczystościach pielgrzymkowych.

Ja już wcześniej (po zaliczonych w większości egzaminach na mojej uczelni) podjąłem spontaniczną decyzję o wyjeździe na spotkania z Papieżem również do Krakowa, mając na względzie niezaprzeczalne przekonanie o swojej młodości.

Wówczas w ramach negocjacji rodzinnych ustalono, że my z żoną dostaniemy zgodę na wyjazd do Krakowa bez naszej córki, ale podzielimy się „zaproszeniami warszawskimi” z rodziną. Trzeba przyznać, że takie rozwiązanie bardzo nam odpowiadało. Co nie znaczy, że mimo już oczywistego braku zaproszeń na Mszę Świętą na pl. Piłsudskiego pogodziliśmy się z faktem nieuczestniczenia w tym tak ważnym wydarzeniu, ale o tym potem. Zaczę zatem od początku:

1) Była środa 24 maja rano; skonfrontowałem swój wygląd przed lustrem. Decyzja: południe – fryzjer – strzyżenie. Wieczorem dekoracja naszego domu flagami papieską i narodową (w pozycji szturmowej na balkonie) oraz portretem Benedykta XVI w oknie od ulicy Równej.

2) Czwartek – południe – decyzja szefa o możliwości wyjścia na trasę przejazdu Papieża. Sam przejazd Trasą Łazienkowską kolumny papieskiej był dość dziwaczny. Najpierw jechał bardzo

szybko jakiś agent białym samochodem terenowym i wrzeszczał przez megafon: „Już jedzie Ojciec Święty, odsuńcie się od sznurków, niczym nie rzucajcie”. Dopiero po około 30 sekundach ukazał się początek kolumny z Jego Świątobliwością. Jechali dość wolno, tak że można było obejrzeć ich dokładnie.

Drugim aspektem była chęć sfotografowania Benedykta XVI przez moich kolegów i koleżanki z pracy. Niektórym ta sztuka udała się w stu procentach. Po tak ważnej niespodziance każdy z nas dość radośnie powrócił na stanowisko pracy.

Gdy wróciłem do domu, podjąłem kolejną strategiczną decyzję. Otóż wymyśliłem, że jeszcze tego samego dnia zawiozę nasz „podstawowy plecak” na Dworzec Centralny, aby mieć wolne ręce podczas Mszy Świętej oraz żeby nie stać się jakimś podejrzanym intruzem (terrorystą) już w piątek rano.

Na razie wszystko szło zgodnie z planem. Nawet to, że biorąc pod uwagę ewentualne trudności związane z zakupem biletów do Krakowa, nabyłem je już tydzień wcześniej (co, jak później okazało się, nie było aż tak konieczne). Cóż, sztuka myślenia, to sztuka przewidywania na ogół wariantów negatywnych i oczywiście im zapobieganie.

Zatem czwartek wieczór. Po powrocie z Dworca Centralnego zacząłem przygotowywać sprzęt fotograficzny, tak żeby móc wykonać jak najlepsze zdjęcia. Tego dnia mając w perspektywie wcześniejsze niż zazwyczaj wstanie – położyłem się spać dość wcześnie.

Nastał piątek rano (25.05.2006 r.). Budzik nastawiłem na godzinę 4:30. Jednak, gdy moja komórka zaczęła sygnalizować godzinę pobudki, stwierdziliśmy, że nie jesteśmy się w stanie podnieść z łóżek i jeszcze trochę pośpimy – tym razem już tylko do godz. 5:30, kiedy to zdecydowanie obudziła mnie moja żona.

Już wolni *na ten czas...* od naszej kochanej córeczki mogliśmy szybciej podejmować decyzje o kolejnych prawie strategicznych działaniach, związanych z naszym uczestnictwem w pielgrzymce.

Tuż po zjedzeniu śniadania zaczęliśmy się ubierać w odświętne stroje. Patrząc przez okno zobaczyliśmy nadchodzące czarne chmury, które mogły przerodzić się w deszcz. Zatem kolejna decyzja na tę okoliczność – zabrać parasolkę i kurtki przeciwdeszczowe.

Po posiłku i wypiciu kawy udaliśmy się na przystanek autobusowy znajdujący się przy naszej ulicy. Nie czekając długo na środek

komunikacji, zajęliśmy miejsca w autobusie linii 514 około godziny 6:30.

Tak dojechaliśmy w okolice PKO BP (Rotunda) około godziny 7:10. Po wyjściu z autobusu zauważyliśmy nieprzebrane rzesze wiernych zmierzające ulicą Marszałkowską w kierunku Parku Saskiego. Poznaliśmy ich po bardzo widocznie eksponowanych biało-żółtych i biało-czerwonych flagach oraz różnorodnych transparentach.

Kolejna moja szybka decyzja – póki jeżdżą tramwaje – idziemy na przystanek przy hotelu Novotel (dawne Forum), tak aby dojechać do Parku Saskiego i zaoszczędzić trochę sił na dalszy etap pielgrzymkowego trudu. Co też nam się udało. W ten sposób podjechaliśmy do przystanku przy ul. Królewskiej i z pozostałymi wiernymi zaczęliśmy zmierzać w kierunku galerii Zachęta.

W połowie ulicy Królewskiej ustawione były pierwsze barierki, gdzie porządkowi z Totus Tuus kontrolowali posiadanie zaproszeń (my przecież ich nie mieliśmy). Czyżby to już koniec naszego udziału we mszy? Nie, to nie możliwe! Trochę zrezygnowani rozglądamy się za telebimem. Zauważyliśmy go w okolicach Hotelu Victoria – dość niefortunnie usytuowanego.

Zatem kolejna decyzja – pertraktacje z panami porządkowymi o możliwości wpuszczenia nas dalej. Na razie nic. Jednak panowie w szaro-beżowych furażerkach delikatnie nas uspokajają. Mówią, że na pewno ktoś z pielgrzymów będzie miał nadprogramowe zaproszenia, którymi się z nami podzieli i będziemy mogli wejść na teren pl. Piłsudskiego.

Trochę nerwowo, ale po jakimś czasie zaczęliśmy się uspokajać. Wreszcie jakaś nieznanoma pani wręczyła nam dwa zaproszenia do sektora „C-4”, który znajdował się na wprost ołtarza, blisko Grobu Nieznanego Żołnierza. „Cuda, cuda, cuda...”

No tak, ale przecież ja też przyszedłem tu po to, żeby robić fotki Benedyktowi. Miejsce, w którym stoimy, jest dobre, ale moja rogata dusza paparazzi mówi mi, że do tego celu powinienem zdobyć lepszą miejscówkę. Zatem tak stojąc i kombinując, co z tym fantem zrobić – zaczynam po chwili nawiązywać nić pielgrzymkowej znajomości.

W pewnym momencie zauważam, że zaczyna nam się przyglądać młode małżeństwo (do Mszy Świętej mamy jeszcze godzinę).

Wymieniamy spojrzenia – moja nagle decyzja – na wstępie otwieram usta i zagaduję o niezbyt łaskawą wówczas pogodę. Tak zaczęła się prawie niekończąca się rozmowa, poruszająca tematy niemalże „od Lenino do Berlina przez Kielce–Quebec–Peru”.

Początkowo aura jest dość sprzyjająca. Zaczyna z pochmurnego nieba coraz śmieiej wyglądać słońeczko. Czyżby zatem miało być inaczej niż w prognozie pogody – pomyśleliśmy. Jednak znów się zachmurzyło i pomału zaczęły na nas spływać kropelki deszczu, przegradzające się w obfite opady, które od czasu do czasu zawieszały się.

Wreszcie, gdy zbliżała się godzina 9:30, z megafonów lektor podał informację, że „Benedykt XVI jest już wśród nas”. Wierni komentują puste miejsca przeznaczone dla polityków, którzy z tylko sobie wiadomych powodów nie przyszli na to ważne wydarzenie.

Należy nadmienić, że przez jeden z ostatnich remontów Placu Piłsudskiego poziom drogi asfaltowej został obniżony z nieznanym nikomu przyczyn, tak że podczas przejazdu Ojca Świętego pielgrzymi (w tym i my) rozlokowani w dalszych sektorach mogli jedynie podziwiać dach papamobile. Nie mniej zaczęliśmy się włączać w pieśni intonowane przez chór – rozpoczynając się Eucharystią.

Ponieważ jednak głównym zadaniem, jakie sobie wyznaczyłem, było zrobienie jak najwięcej ciekawych zdjęć Papieżowi, postanowiłem jeszcze przed rozpoczęciem Mszy Świętej rozejrzeć się za potencjalnymi możliwościami zrobienia interesujących ujęć. Teoretycznie byłem w dość dobrej sytuacji, bo cały czas miałem przypięty identyfikator KAI-u. Spowodował on oprócz większej możliwości do fotografowania również wzrost zainteresowania moją osobą wśród płci pięknej, jak również z oczywistych względów służb porządkowych.

W moich manewrach fotograficznych pomogło mi wiele osób, które odstępowały mi miejsce pod parasolem, główne zabezpieczenie sprzętu przed deszczem, jak również swoje rozkładane stołeczki, tak abym mógł ponad rzeszami głów wiernych zrobić bardziej doskonałe zdjęcia, za co szczerze im dziękuję.

Muszę przyznać, że fotograficzne kombinacje tak mnie pochłonięły, że niewiele zapamiętałem z głoszonych przez Ojca Świętego homilii. Mimo to udało mi się z całym skupieniem i powagą wziąć udział w zasadniczej części Eucharystii.

Kiedy już na dobre wczułem się w rolę fotoreportera, nagle znów rozpadał się deszcz, ale tym razem na dobre. Skutek tego faktu był dla mnie szczególnie opłakany, gdyż moja ulubiona kurtka za-farbowwała skutecznie moją prześliczną marynarkę koloru żółtego papieskiego i wraz z koszulą stała się granatowa.

Miałem zatem pierwszą, wprawdzie smutną, przygodę. Jeśli chodzi o mnie, to byłem już w stanie pogodzić się ze swym niezbyt łaskawym losem, aż tu nagle tłum zafalował i nieopatrznie dotkną-łem farbującą kurtką śnieżnobiałego munduru jednego z obecnych na mszy marynarzy.

Zacząłem się gryźć, co z tym fantem zrobić. Dalszy tok myślenia o tej sprawie był bardziej racjonalny. Zrobiłem wewnętrzną naradę, że skoro narozrabiałem, to muszę to jakoś naprawić. Fakt motywujący mnie do normalnego potraktowania tego zdarzenia był taki, że chłopcy z Marynarki Wojennej nie zabili mnie od razu, więc pomyślałem, że i później mnie nie zabiją. Zatem podczas przekazywania znaku pokoju podszedłem do owego marynarza i przyznając się do winy, wprawdzie nie zamierzonej, w otwartej dłoni podałem mu kilkadziesiąt złotych i powiedziałem: „Proszę, to na pralnię”. Wiedział, o co chodzi. Miało to też znaczenie ze względu na doniosłość wydarzenia, w jakim braliśmy udział. Po tym wszystkim zyskałem stuprocentową pewność, że jeżeli się komuś zrobi przykrość – to niezależnie od okoliczności należy przynajmniej go przeprosić.

Po zakończeniu Mszy Świętej, co nastąpiło około godziny 12:00, udało mi się odnaleźć w tłumie moją żonę Małgosię i teraz już razem udaliśmy się w kierunku ulicy Marszałkowskiej i dalej w kierunku dworca PKP Warszawa Centralna, skąd mieliśmy pojechać do Krakowa na kolejny etap pielgrzymki Benedykta XVI do Polski.

Do odjazdu pociągu mieliśmy około trzech godzin. Nieco wy-mięci, przemoczeni i zmęczeni postanowiliśmy się przebrać w toa-letcie znajdującej się w podziemnej części dworca. Byłaby to nor-malna sprawa, gdyby nie mój doskonały pomysł przeprowadzenia wstępnej reanimacji moich zakolorowanych ciuchów.

Zatem pranie na Centralnym? – czemu nie! Może już nie będę miał takiej okazji. Gdybym tego nie zrobił, to po pierwsze – ciuchy mógłbym już tylko wyrzucić na śmietnik, a po drugie wnukom nie byłoby czego opowiadać. Pani obsługująca dworcową toaletę, wi-dząc, że mam autentyczny kłopot, dała mi do zrozumienia, że mogę

od niej liczyć na prawie litr mydła w płynie, żeby ratować swoje ubrania. W ten sposób rozpoczęła się walka o uratowanie moich okolicznościowych kreacji w ciut przymałej umywalce dworcowej toalety. Determinacja nie poszła na marne, gdyż ubrania zaczęły powracać do stanu sprzed niefortunnego zdarzenia, jakim były w tym dniu obfite opady deszczu.

Gdy kończyłem przepierkę, odezwała się moja komórka. To była nasza przyjaciółka Krysia Kazanowska, którą poprosiliśmy o przywiezienie wcześniej umówionej niespodzianki, jaką miał być obraz olejny przedstawiający Zamek Królewski w Warszawie. Kiedy rozdzwonił się mój telefon, właśnie kończyłem to nieszczęsne pranie.

Krysia początkowo miała trudności z rozpoznaniem mojej żony Małgosi, ale po chwili również i ja wyszedłem jej na spotkanie, tak że wszyscy po kilku minutach byliśmy już razem.

Po radosnym powitaniu podjęliśmy szybką decyzję, że zjemy śniadanie w McDonalddie w podziemiach Dworca Centralnego. Jak postanowiliśmy, tak zrobiliśmy. W trakcie posiłku długo rozmawialiśmy o czekającym nas niełatwym wyczynie. Co jakiś czas spoglądaliśmy na zegarek, kontrolując upływające kolejne minuty do odjazdu naszego pociągu. Około godziny 13:30 stwierdziliśmy, że jest to odpowiednia pora, aby już udać się na peron.

Wejście na chwilę do dworcowej hali głównej i wręczenie mi (przez wolontariusza) jednodniówki „Dziennik” ze zdjęciami i tekstami z porannej Eucharystii jednoznacznie dało mi do myślenia, że czas fotograficznych aparatów analogowych praktycznie się skończył. Chociaż przy kasach biletowych nie było zbyt dużo podróżnych, to na peronach było ich proporcjonalnie znacznie więcej. Wprawdzie nikt tego nie mówił, ale większość spośród nich to byli pielgrzymi papiescy zmierzający tak jak my na dalsze spotkania z Benedyktem XVI. W Warszawie dało się to zauważyć choćby w sposobie ubrania, czy po widocznych emblematkach i biało-żółtych flagach.

Ponieważ zauważyłem na peronie powracających z mszy umęczonych lekarzy i ratowników pogotowia, odezwała się we mnie żyłka prawdziwego dziennikarza, która w myśl nauki mówi, że „dziennikarz nie odpuszcza i nie traci okazji”. Zatem trochę nieśmiało podszedłem do nich i spytałem wprost, czy mógłbym im zrobić zdjęcie dla potrzeb mojej agencji fotograficznej. Trochę byli

zaskoczeni moją propozycją, ale po krótkim wyjaśnieniu, że chciałbym tę pielgrzymkę udokumentować również od strony medycznej, chętnie przystali na moją propozycję.

Po ich uwiecznieniu na fotografii, rozpoczęliśmy niekończącą się rozmowę, w której opowiedzieli, skąd są i co tu robią. Dowiedziałem się od nich, że są już po kilku nieprzespanych dyżurnych nocach (związanych z obsługą pielgrzymki Benedykta XVI) oraz że pochodzą z Kielc i wracają do domu, a część ich kolegów po fachu jedzie dalej za papieżem do Częstochowy lub Krakowa.

W trakcie rozmowy nastąpiła też wymiana spostrzeżeń na temat sprawności służb porządkowych i sanitarnych w trakcie tak wielkich wydarzeń. Oczy mi się otworzyły, kiedy szef ratowników wyraził swoją dezaprobatę dla udzielania pomocy przez niepełnoletnich ratowników z drużyn harcerskich. Powiedział mi, że rzecz nie w tym, jakie mają umiejętności, ale stanowczo podkreślił kwestię odpowiedzialności za mogące ewentualnie wyniknąć szkody na pacjentach podczas udzielania im nie do końca fachowej pomocy.

Zaznaczył przy tym, że jest pełen podziwu dla młodych ludzi, którzy roznoszą wodę i śpieszą na ratunek, ale tak czy owak, gdyby się okazało, że w trakcie swojej służby niepełnoletni harcerze popełnili znaczący błąd w czasie udzielania pomocy, w takim przypadku odpowiedzialność za to ponoszą za nich ich przełożeni.

Tak się rozgadaliśmy, że o mało co byśmy przeoczyli odjazd naszego pociągu. Zatem ogłosiłem hasło: *Attention!*¹⁷ i szybkim krokiem udaliśmy się w kierunku naszego pociągu, gdzie zajęliśmy stosownie do miejscówek fotele. Ruszyliśmy planowo o godzinie 14:05. Gdy jazda się rozpoczęła, dopiero wtedy mogliśmy uwierzyć, że podjęliśmy tak wielkie i dla nas szaleńcze wyzwanie podróżowania za Benedyktem XVI. W nieco dalszej perspektywie naszych myśli pojawiła się troska o naszą córeczkę Sylwię, która pojechała na działkę z dziadkiem Andrzejem, czyli z moim tatą.

Postanowiliśmy więc zadzwonić do nich i zapytać, co u nich się dzieje. Okazało się, że wszystko jest w porządku. Zatem już o w miarę spokojnych myślach kontynuowaliśmy dalszy ciąg wyprawy. Do Krakowa dojechaliśmy około 17:00. Na pięć minut przed

¹⁷ Z angielskiego – Uwaga!

końcem podróży rozległ się ponownie sygnał mojej komórki. Tym razem dzwoniła Basia Tokarska z pytaniem, czy już dojeżdżamy? Było to oczywiste, bo naszym oczom ukazały się początki peronów dworca Kraków Główny.

Po przejściu do gmachu dworca nasze kroki skierowaliśmy do naszego ulubionego miejsca spotkań – czyli krakowskiego dworcowego baru WARS. Tam czekała na nas Basia, która przywitała się z nami bardzo serdecznie. Podczas oficjalnej części powitania przekazaliśmy jej obraz olejny namalowany przez Krysię Kazanowską – przedstawiający Zamek Królewski w Warszawie – wraz z życzeniami, aby podobizną jego gmachu zachęciła się do porównania z jego naturalnym wyglądem. Był to prezent ślubny od nas dla Basi i Krzysia Tokarskich.

W przypadku zasiedziałyh krakusów takie życzenia nie są wbrew pozorom aż tak banalne, jak w przypadku tak ruchliwych warszawiaków jak choćby my. Następnie po posileniu się dużą czarną zorientowaliśmy się, że trasą, którą musimy przedostać się do Skawiny (do teściowej), za kilka chwil będzie z lotniska Balice przemierzał Benedykt XVI, który miał tam przylecieć z Częstochowy, aby następnie udać się na Franciszkańską 3 do siedziby arcybiskupów krakowskich. Zatem podjęliśmy decyzję o szybkim desancie, tak aby zdążyć przed blokadą ulic i uchronić się przed koniecznością nieplanowanego noclegu w centrum Krakowa.

Postanowiliśmy, że w dalszą drogę udamy się jednym z prywatnych busów, jednak nie wiedzieliśmy, czy nasz przejazd przebiegnie w miarę standardowo. Jak tylko zaczęliśmy o tym rozmyślać znów podniósł się nam poziom adrenaliny, ale nie to było wówczas najważniejsze. Wreszcie snajperskimi oczami wypatrzyliśmy upragnionego busika z napisem Skawina. Uf! Jak fajnie. Teraz już wiemy od kierowcy, że nasza jazda osiągnie zamierzony cel.

Po drodze mijamy kolejne policyjne patrole z migającymi „kogutami” i modulowanymi sygnałami dźwiękowymi. Z jednej strony budzą w nas grozę i przerażenie, a z drugiej strony – poczucie bezpieczeństwa i radości, bo choć jeszcze nie dziś Go zobaczymy, to czujemy atmosferę podniecenia w oczekiwaniu na Dostojnego Gościa już jutro.

Ze spraw prozaicznych nadmienię tylko, że planowo wysiedliśmy w okolicach ulicy Kraszewskiego i już piechotką przeszliśmy

do mieszkania panieńskiego mojej żony, a obecnie jej mamy, czyli mojej teściowej Bronisławy. Po czułych powitaniach zorientowaliśmy się z odgłosów dobiegających z pokoju, że jeszcze trwa bezpośrednia transmisja z pobytu Benedykta XVI w Częstochowie.

Tak więc okazało się, że nastąpiło tam nieplanowane opóźnienie i dostaliśmy bonus w postaci możliwości uczestniczenia w tym wydarzeniu u teściowej za pomocą TV. Nawet podczas takiego transmitowanego spotkania z Ojcem Świętym towarzyszyły nam tak silne emocje i przeżycia duchowe jak podczas pielgrzymek Jana Pawła II. Sami się zastanawialiśmy, dlaczego tak się z nami i innymi pielgrzymami dzieje. Po głębszym przemyśleniu doszliśmy do wniosku, że być może Duch Święty uosobiony w Benedykcie XVI tak uwrażliwia nasze religijne nastroje, powodując tym samym ich zwiększenie. Innym aspektem, a może nawet przede wszystkim, jest nasze niemal namacalne oglądanie, które było swego rodzaju dotykaniem Głowy Kościoła.

Ustaliłem z Małgosią, że ona sobotni czas do godziny 14:00 spędzi z mamą w domu, a ja w tym czasie pojedę do Łagiewnik. Patrząc realnie na możliwość uczestniczenia w nawiedzeniu przez Benedykta XVI Wadowic i Kalwarii Zebrzydowskiej, musiałbym wynająć helikopter, żeby nadążyć za tempem kolumny papieskiej.

Jeszcze piątkowym późnym wieczorem zadzwoniłem do naszej przyjaciółki Basi, aby potwierdzić u niej nasz nocleg sobotnio-niedzielnny. Jest sobota 27.05.2006 r., pobudka około godz. 6:00. Po śniadaniu robimy drobne zakupy i trochę spacerujemy. Odwiedzamy szwagrostwo Paletów i wracamy na szybki obiad do teściowej. Potem zajmuję się już tylko sprzętem foto. Po jego przygotowaniu zmierzam w stronę Łagiewnik autobusem linii numer 201. Po przejechaniu około $\frac{3}{4}$ drogi w kierunku pętli autobusowej w Borku Fałęckim, dyspozytor informuje kierowcę przez radiotelefon o zmianie trasy i kieruje go na wydłużony odcinek, który jak się później okazało znajdował się bliżej Sanktuarium Miłosierdzia.

Nie muszę chyba dodawać, że takie rozwiązanie choć mnie zaskoczyło, to w każdym razie pozytywnie. Jednak musiałem telefonicznie skorygować wcześniejsze ustalenia i poinformować o tych zmianach w komunikacji Małgosię.

Po wyjściu z autobusu, wobec braku możliwości dalszego podjechania, ruszyłem piechotą. Nie trwało to długo, gdyż już po

kilkudziesięciu przebytych metrach ukazała mi się charakterystyczna wieża widokowa w Łagiewnikach. Co ostudziło moją początkową obawę, że będę jeszcze miał kilka kilometrów do przejsia, a tu nagle niespodzianka.

Właściwie to samo długie maszerowanie mnie nie wystraszyło, lecz w zestawieniu, jak mi się wówczas wydawało, z pędzącym zegarem, który bezlitośnie skracał czas do przejazdu papieża. To spowodowało, że przyśpieszyłem kroku, dzięki czemu dotarłem na miejsce w ostatniej chwili.

Gdy doszedłem do przystanku tramwajowego Łagiewniki, okazało się, że poza barierki zaporowe nawet mysz się nie prześliznie. Zatem pozostało pogodzić się z losem i zjeść z pozostałymi oczekującymi na to wydarzenie pielgrzymami. No ale mój rozum nie trwał zbyt długo w uśpieniu. W końcu przyjechałem robić tu zdjęcie. Szybka decyzja: odpalam mój sprzęt foto i czekam na dalszy bieg wypadków.

Moja pewność siebie i legitymacja fotoreportera powoduje, że panowie policjanci dają mi małe, bo małe ale jednak przywileje, abym mógł dość spokojnie zrobić kilka zdjęć. Jedno z takich zdjęć przedstawiających wiernych z falującymi biało-żółtymi chorągiewkami bardzo spodobało się mojej siostrze Joli Gdowskiej.

Po zajęciu wolnego miejsca w tłumie oczekujących robię dla sprawdzenia sprawności aparatu kilka próbnych zdjęć oczekujących wiernych, którzy słuchają z małych radylek przebiegu wizyty Papieża. W końcu dowiadujemy się, że kończy się wizyta w Kalwarii Zebrzydowskiej i kolumna papieska już zmierza w kierunku Łagiewnik. Zaczyna się podnosić temperatura tłumu, do którego dociera coraz więcej i coraz bardziej gorących informacji radiowych o zbliżającej się papieskiej kolumnie.

W końcu na horyzoncie pojawia się charakterystyczny helikopter patrolujący bezpieczeństwo tej kolumny na trasie przejazdu. Nagle kilka osób krzyczy jednocześnie: „Jedzie!, jedzie!, jedzie! O już jadą fotoreporterzy, teraz BOR-owcy. Jest! Jest! Jest! Widziałem go! O Jezu! – Spojrzał na mnie!” – takie okrzyki dało się słyszeć wśród oczekujących wiernych.

Opiszę to, co widziałem przez swój aparat fotograficzny. Najpierw rzeczywiście samochody policji, później szybka akcja dezorientacyjna połączona z błyskawiczną orientacją. Chodzi mi o to, że

spodziewałem się, iż papież będzie jechał we wspaniałym wysokim białym papamobile, aż tu nagle w świetle mojego obiektywu rozpoznałem czarną limuzynę z zatkniętą biało-żółtą papieską flagą.

Szybki refleks – strzał aparatem jeden za drugim. Mam go! Tylko pytanie – jak to wyjdzie? Skarciłem się w duchu, ale z pokorą bo nie rozumiem sam siebie, że mogłem być tak głupi, aby nie pomyśleć o innej możliwości podróży papieża niż papamobile, ale to już przeszłość.

Teraz trzy głębokie wdech-wydech i czekamy, co dalej. Dowiadujemy się tzw. pocztą pantoflową, że na stacji Łagiewniki czeka nowiuteńki pociąg podmiejski w kolorze żółtym (papieskim), który papież poświęci w drodze powrotnej z sanktuarium.

Dalsze oczekiwanie jest już prostsze i spokojniejsze. Wykorzystując swoją komórkę, a ściślej zawarte w niej radio, łączymy się za pomocą odpowiednich fal z centrum uroczystości. Ten system pozwala mi na minimalne, ale wystarczające nagłośnienie (którego nie było) w okolicy 20 m w lewo i prawo dla zawiedzionych wiernych, którzy liczyli tak jak ja, że jakimś fuksem dostaną się na miejsce nabożeństwa.

Poprzez uruchomienie głośnika mojego radia w telefonie komórkowym pomogłem innym na godne przeżycie tej uroczystości, przy okazji otrzymując nie do końca zasłużone podziękowanie od znajdujących się w moim pobliżu wiernych.

Wracając do faktów, to jak się okazało, papież wzorem Jana Pawła II spotkał się w Sanktuarium Miłosierdzia Bożego głównie z osobami niepełnosprawnymi i chorymi. Wracając z Łagiewnik poświęcił pociąg i choć byliśmy blisko, to po prostu poprzez zablokowanie drogi nie mogliśmy tego zobaczyć. Znowu szybka orientacja: jedzie! jedzie! jedzie!

No, wreszcie papamobile! Ulga, ale i koncentracja. Chociaż mam Go jak na widelcu, to mnogość „żyrafaforęcznych cyfrowkowych” znowu spowodowała moją minimalną, ale jednak panikę. Po tym dostojnym przejeździe mocne postanowienie – nigdy więcej bez akredytacji! A po drugie, kupuję lepszy sprzęt cyfrowy i basta.

Ogólne wyłączenie łączności komórkowej spowodowało, że utraciłem całkowity kontakt z żoną, ale mimo wszystko postanowiłem trzymać się naszych pierwotnych ustaleń, tj. miejsca awaryjnego spotkania i z grubsza synchronizacji zegarowej.

Ponieważ do spotkania z Małgosią miałem jeszcze trochę czasu, a zbliżała się godzina 14:30, postanowiłem jak większość pielgrzymów ruszyć do nieco już opuszczonego sanktuarium. Chciałem mieć tam dodatkową pamiątkę i zrobiłem kilkanaście zdjęć udekorowanych obiektów klasztornych i Bazyliki.

Przeanalizowałem także pobliskie sklepiki z dewocjonaliami i kiedy już wychodziłem, na jakieś 15 minut przed Koronką do Miłosierdzia Bożego, zadzwoniła Gosia, że jedzie z bratem Kaziem Zakrzewskim i plecakami. Wreszcie synchronizacja, ustalenia, że spotkamy się tu tuż po Koronce.

Po raz pierwszy od dwóch dni mam spokojną głowę. Trwa Koronka do Miłosierdzia Bożego, w trakcie której polecam wszystkie swoje oraz moich przyjaciół troski i kłopoty. Gdy kończy się modlitwa, ktoś położył dłoń na moim ramieniu. Odwracam głowę, to Małgosia daje mi sygnał, że już są. Kilka chwil ulgi, wreszcie wszystko idzie planowo.

Żegnamy Kazia na przystanku tramwajowym i podążamy w dalszą drogę w kierunku ulicy Kazimierza Wielkiego. Po drodze napotykamy kolejne policyjne patrole. Mijamy krakowski Dworzec Główny i już prawie bezpośrednio docieramy w okolice mieszkania naszych przyjaciół Tadeusza Siuty, ich córki Basi, zięcia Krzysztofa Tokarskich.

Zanim jednak wysiedliśmy z tramwaju, próbowałem wypatrzeć jakiś czynny foto-lab, żeby wywołać negatywy z Warszawy i Łagiewnik. Jednak mimo iż w pobliżu były dwa zakłady foto, to w sobotę o godzinie 17:15 wszystkie były już nieczynne. Byłem bezsilny i musiałem się z tym faktem pogodzić.

Wreszcie dotarliśmy do mieszkania wujka Tadeusza oraz Basi i jej męża Krzysia, a żeby wymienić wszystkich lokatorów, trzeba wspomnieć też o Jurku, który czasami u nich nocuje. Zostaliśmy przywitani przez nich bardzo ciepło i serdecznie. Początkowo myśleliśmy, że napijemy się u nich kawy lub herbaty, a tu niespodzianka: Basia przygotowała dla nas wspaniałe i smakowite kanapki, które zjedliśmy z rozkoszą, gdyż naprawdę były to prawdziwe delicje. Poza tym tego dnia czekały nas kolejne atrakcje.

W trakcie negocjacji z Gosią ustaliliśmy, że pójdziemy na spotkanie Benedykta XVI z młodzieżą na Krakowskie Błonia. To spotkanie było tak radosne jak karnawał w Rio de Janeiro. Po tak wspaniałych

przeżyciach chciałem jednak wykonać plan maksimum i za wszelką cenę poczuć sobotniego wieczora atmosferę ulicy Franciszkańskiej 3¹⁸. Gosia początkowo przystała na to, choć ze względu na umęczenie raczej nie miałyby siły pojechać razem ze mną.

Wróćmy jednak na kilka chwil na Błonia. Nasi przyjaciele Basia i Krzyś odprowadzili nas na ostatnią prostą, którą mieliśmy podążać za tłumami młodzieży na miejsce spotkania z Benedyktem XVI. Ponieważ prowadziliśmy wyścig z czasem, postanowiłem, że korzystając z okazji podjedziemy na Błonia taksówką. Ułatwiła ona nam przybycie na trasę przejazdu przed pojawieniem się kolumny papieskiej.

Kiedy doszliśmy do głównej ulicy, służby porządkowe już nikogo nie wpuszczały. Wreszcie tłum zafalował. „Jedzie! Jedzie! Jedzie! Widziałem Go!”. Radosne przekrzykiwanie się wśród grup zaprzyjaźnionych. Już jest na estradzie. Już wcześniej zrobiłem kilka ujęć, a teraz się zastanawiam, czy będą z tego dobre fotografie. Ale porządkowi już przepuszczają wiernych na główny plac i nasz oddech wraca do normalnego rytmu.

Jak zwykle szukam okazji do przejścia jak najbliżej miejsca centralnego. Na tyle, ile mogłem, ta sztuka mi się udaje. Staram się jednak wsłuchać w słowa liturgii.

Na wstępie na telebimach pojawiają się młodzi ludzie, którzy opowiadają świadectwa (historie, zawiłości swojego życia). Ich losy są bardzo trudne: nieślubne dzieci, narkotyki, homoseksualizm. To wszystko mnie przeraża, ponieważ też miałem niełatwe życie. Może właśnie dlatego moja z nimi identyfikacja powoduje napływ do oczu łez zrozumienia i jedności – spotęgowany ciszą, która nagle zapanowała wśród rozbawionego tłumu...

Po kilku chwilach refleksji i smutku tłum znów się ożywia na powitanie dochodzącego do mikrofonu Benedykta XVI. Zaczyna się karnawał, niemal jak w Rio de Janeiro. Ze wszystkich stron dobiegają odgłosy afrykańskich bębnów, które kojarzą mi się z transmisjami telewizyjnymi brazylijskiej samby. Tym bardziej, że ten rytm znam z mojego kursu tańca. Okrzyki na zmianę: „Benedetto, Benedicto!”.

¹⁸ W Krakowie siedziba arcybiskupów krakowskich i miejsce noclegu kolejnych papieży podczas ich pobytu w Małopolsce.

Teraz już nie płaczemy, radujemy się, że jesteśmy młodzi. Prawie niezauważalnie minęła godzina 20:00 i tak dobiegło końca sobotnie, wieczorne spotkanie z młodzieżą na Błoniach. Pomału szykujemy się do odwrotu. Znow zrozumiła blokada przejścia. Znow „Jedzie! jedzie! jedzie! pojechał!”. Blokada trwa nadal, bo jeszcze mają jechać kardynałowie i biskupi.

Nie wszyscy to rozumieją i na siłę chcą przekonać policję i porządkowych, że się zgubili i koniecznie muszą przejść na drugą stronę, aby dołączyć do grup, z którymi tu przyjechali. Kiedy jedna roztargniona i zawiedziona pani pokazała gest głupoty (palcem postukała się w czoło) jednemu z policjantów, nie wytrzymałem i delikatnie, ale stanowczo wystrześliłem pod jej adresem kilkoma argumentami, jednoznacznie wskazującymi poziom jej głupiego myślenia. Wykrzyczałem jej wprost, że „ten policjant pilnuje bezpieczeństwa papieża, a pani się zastanawia – czy zdąży na obiad, czy kolację, niech się pani zastanowi!”. Dwadzieścia metrów w lewo i w prawo zapanowała cisza i nikt już nie chciał przechodzić bez zgody służb porządkowych.

Kiedy otworzono blokadę, napór tłumu był tak silny, że groził zdeptaniem ewentualnych przewróconych. Zatem błyskawiczna decyzja – desantujemy się w bok, żeby ocalić zebra i życie. Nieco już uspokojeni zaczynamy odczuwać głód i pragnienie. Im bliżej naszej bazy noclegowej, tym bardziej zaczyna dobiegać do naszych nosów coraz intensywniejszy zapach kiełbasy z grilla i kawy z pobliskiego polowego baru.

Jednak od głównej ulicy wejście jest zamknięte, zatem szukamy wejścia awaryjnego. Jest, już tylko trzy osoby. Mieliśmy szczęście, bo za nami stoi w kolejce około 30 osób. Wreszcie otrzymujemy posiłek – znow ulga i odprężenie.

Duża czarna ponownie postawiła nas na nogi. W moim sercu piosenka, *...że za sto lat... to się nie powtórzy*. Mózg lepiej pracuje.

Well? well¹⁹? – jak mówią Anglicy... Choćby po trupach, ale muszę jeszcze dziś być na tej sławnej Franciszkańskiej 3 pod tym przesławnym papieskim oknem. Jest to tym bardziej ważne, że nawet gdybyśmy nie zdążyli na tzw. wyjście papieża do okna, to choć przez

¹⁹ Z angielskiego – dobrze, dobrze.

chwilę chciałem odczuć panującą tam tę wspaniałą atmosferę gorącej, radosnej modlitwy, która zdarza się tu raz na cztery lata, i dialogu z ukrytymi za murami siedziby arcybiskupów kardynała Dziwisza i Benedykta XVI.

Samo dostanie się z okolic Błóń w tamto miejsce nie było łatwe. Pikanterii moim desantowym planom dodało początkowe stanowcze weto (z jednej strony zrozumiałe) mojej żony, która czuła się bardzo osłabiona. Gdy doszliśmy do jednego z przystanków autobusowych, Małgosia usiadła, a ja na stojąco tłumaczyłem jej mogące wyniknąć z naszej tam obecności korzyści. Znów weto, weto, weto Małgosi.

Boże wybacz. Oszukałem ją mówiąc jej, że wracamy na nocleg do Basi, a wcześniej tylko kupimy bilety powrotne na Dworcu Głównym, który jest przecież tuż, tuż przy Franciszkańskiej 3. Uff! Zgodziła się. Była godzina 21:15. Po raz pierwszy od dłuższego czasu ruszamy dość przypadkowym autobusem do przodu.

W międzyczasie Gosia zorientowała się, że ją porwałem, ale mimo że ma już dość, nie protestuje. Jedziemy, dojeżdżamy, dochodzimy – najpierw trochę pomyłkowo – od całkowicie zablokowanej strefy „0”

Sondujemy młodych policjantów – czy można tamtędy przejść pod „papieskie okno”. W odpowiedzi dowiadujemy się, że absolutnie nie, strefa „0”! Po czym następuje już luźna rozmowa, w trakcie której młodzi dowcipni policjanci informują nas, że nie wpuściliby nawet... (tu pada nazwisko znanego posła). My w pełni uznania dla nich informujemy ich, że tego posła też byśmy nie wpuścili do własnego mieszkania.

Tak ta sytuacja obopólnie nas rozbawia, że na chwilę zapominamy, po co tu przyszliśmy. W tej nieco już radosnej atmosferze wreszcie zaczynają padać konkrety. Policjanci poinstruowali nas, jak mamy dotrzeć do właściwej bramki, żeby dostać się w tak upragnione tego wieczoru miejsce. Już zaczynamy być coraz bliżej i bliżej.

Wreszcie jest ta pierwsza, ale jakże ważna bramka. Z obydwu stron po kilku policjantów. Kontrolują nas wykrywaczem metalu i sprawdzają każdy pakunek, każdego pielgrzyma. Parasolki i flagi zostają przed wejściem, nie wolno ich tam zabrać, ale nie jest źle, przychodzi kolej na nas.

„Właściwie nie mamy nic groźnego”. Informuję jednego z panów policjantów, że w plecaku mam jedynie sprzęt fotograficzny. Otwieram go, kilka rzutów bystrym okiem policjanta i już idziemy dalej. Jeszcze tylko jedna bramka, gdzie właściwie kontrola jest tylko profilaktyczna. Jesteśmy już na placyku przed tym wspaniałym oknem. Dochodząc, z oddali słyszymy jedne z ostatnich zwrotek umiłowanej piosenki religijnej Jana Pawła II *Barka*. Kiedy przybyliśmy, młodzież, która znalazła się tu wcześniej, miała szczęście zobaczyć Benedykta XVI w oknie. Mimo to próbowała różnymi piosenkami i okrzykami ponownie wywołać Go do okna. Jeden z takich okrzyków brzmiał: „Kar-dy-na-le, puść pa-pie-ża!”. A kiedy tylko zapaliło się światło w którymś z sąsiednich pokoi, to zaraz podgrzana atmosfera powodowała gorące okrzyki: „au, au, au!”.

W grupie rozmówanej w Panu Jezusie wypatrzyłem pewną dziewczynę, która na twarzy miała wypisaną Bożą Miłość. Trochę pokory, spust migawki i zdjęcie, które wszystko wyraża. Mam je do dziś w swoich zbiorach.

Zbliża się godzina 23:00. Stwierdzamy, że powinniśmy zmierzać do wujka Tadeusza, Basi i Krzysia, którzy na nas czekali, a my pogodziliśmy się z faktem, że Benedykt XVI już tego wieczora w oknie się nie pojawi. Inna rzecz, że Gosia po dwóch minutach pobytu na Franciszkańskiej, spytana przeze mnie o stan zdrowia, odpowiedziała z uśmiechem, że już czuje się bardzo dobrze.

Do mieszkania wujka wróciliśmy około 24:00, było już bardzo późno, no „ale pielgrzym w dom – Bóg w dom”. Początkowo myśleliśmy, że dostaniemy wykład o naszym nieodpowiedzialnym, ale za to udanym powrocie i ciekawie spędzonym dniu. No, ale było normalnie – żadnych pretensji, tylko kolacja i nie kończące się opowieści, a tu trzeba spać, bo rano kolejna Msza Święta.

W niedzielę wstaliśmy dość wcześnie – bo około 6:00. Znów śniadanie, toaleta, wyjście. Nie wiedzieć czemu, Basia rozporządziła wymarsz o godzinie 7:00. Nie protestowaliśmy, ale dla nas było to trochę za wcześnie. Jednak, co gospodyni mówi, należy uszanować (na czym w efekcie skorzystaliśmy, ale o tym potem).

Zatem idziemy – jest dość pochmurnie, ale nie pada. Ze wszystkich stron napływają rzeki, morza pielgrzymów, żeby móc się połączyć w jeden wielki ocean wiernych na tak niewielkiej, w stosunku do potrzeb, powierzchni zwanej Błoniami Krakowskimi. Im

bardziej zbliżaliśmy się do miejsca Eucharystii, tym więcej było widać dekoracji w oknach i pielgrzymów z flagami.

Jeśli zaś idzie o nas, to mieliśmy bardzo miłą niespodziankę, która wyniknęła ze strony Basi. Kilka dni wcześniej twierdziła, że nie ma mowy o załatwieniu jakichkolwiek zaproszeń na niedzielną Eucharystię na Błoniach. Mimo to, kierując się wskazówkami podanymi przez media, szliśmy jak nam się wydawało bez zaproszeń, aż tu nagle przed pierwszym punktem kontroli – Basia wyciągnęła je z kieszeni.

A my na to: „Jak to? Co to? Skąd to?”. A ona mówi: „Przecież wam mówiłam, że mam zaproszenia”. Zbaranieliśmy. No, ale w rachunkach liczy się efekt końcowy. W naszym przypadku korzyść z wejścia w miarę bez większych problemów.

Dalej przemieszczaliśmy się stosując się do wskazówek służb porządkowych, trafiając do naszego sektora. W pewnym momencie Basia spytała Krzysia, która jest godzina? Była 7:30. Basia stwierdziła, że tak naprawdę nie wiedziała, że z domu wyszliśmy tak wcześnie. Niemniej było to o tyle korzystne, że bez większych nerwów dotarliśmy wprawdzie dużo wcześniej, ale przecież w takich zgromadzeniach jest to normalne, zatem nie było o czym mówić. Poza tym trafiła się okazja, żeby przytoczyć znane polskie przysłowie, że „szczęśliwi czasu nie liczą”.

No cóż, po przyjeździe Papieża na Błonia zaczęłam kombinować, jak podejść najbliżej punktu „zero”, żeby zrobić jak najlepsze zdjęcia. I kilka razy udało mi się, dzięki uprzejmości służb porządkowych, zainstalować się na dość chwiejnych metalowych barierkach rozgraniczających sektory. Mimo mojego zaangażowania fotoreporterskiego próbowałem równocześnie skorzystać naprawdę choć trochę z Eucharystii.

Kiedy Benedykt XVI odmawiał homilię po polsku, a zwłaszcza, kiedy kontynuowano odczytanie przez lektora tekstu i przeczytano słowa Jana Pawła II: „Pozwólcie, że zanim odjadę – spojrzę choć przez chwilę na Kraków ...”, rozplakałem się, chyba inni bardziej wrażliwi pielgrzymi też mieli łzy w oczach. Potem, jakby na zamówienie, nastąpił długi moment ciszy.

Po Mszy Świętej dość sprawnie i szybko wyszliśmy z Błoi. Początkowo nie wiedziałem, dlaczego Basia i Krzyś tak się bardzo spieszą i niemal nas poganiają. Jednak kiedy doszliśmy do budynku

stołówki studenckiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, wszystko się wyjaśniło: zaprosili nas tam na obiad, co było kolejną miłą niespodzianką, gdyż ostatni posiłek, jaki spożyliśmy, był o godzinie 6:00 i nasze kiszkę już marsza grały. Po zaspokojeniu głodu i jeszcze krótkiej konwersacji w mieszkaniu wujostwa, udaliśmy się na przystanek tramwajowy, skąd bezpośrednio pojechaliśmy na Dworzec Główny i wsiedliśmy w pociąg do Warszawy. I to już chyba koniec opowieści.

Ależ nic bardziej mylącego. Otóż jakieś 20 minut od rozpoczęcia podróży po przedziałach zaczęła krążyć ekipa Ekspresu Reporterów – TVP2, dla której nieco z marszu wmontowałem się w dialog na temat pielgrzymki i sytuacji w naszym kraju. Dość niepostrzeżenie dotarliśmy do Warszawy, a tu czekał bagaż uczelnianych zaległości, ale miałem usprawiedliwienie – wiadomo Benedykt XVI.

Stopniowo, stopniowo zacząłem nadrabiać profesorski kredyt zaufania, za co Im serdecznie dziękuję, a także tym wszystkim, którzy pomogli mi wykonywać fotograficzne akrobacje na barierkach, jak również wszystkim dziewczętom, które prosiły mnie o zdjęcia. Serdecznie pozdrawiam i szczerze dziękuję.

Sydney w Warszawie

Dlatego, że jestem jednym z wielkich marzycieli, pragnąłem koniecznie pojechać w 2008 roku na XXIII ŚDM do Sydney. Mój apetyt był tym większy, ponieważ byłem uczestnikiem-opiekunem grupy młodzieży z naszej parafii w Kolonii w 2005 roku. Rozsmakowany też dość świeżymi przeżyciami związanymi z pobytom Benedykta XVI w 2006 roku w Polsce, gdzie mogłem uczestniczyć w spotkaniach i Mszach Świętych w Warszawie i Krakowie, miałem nieodpartą pragnienie pojechania na ŚDM do Australii.

Nawet tu nie próbuję opisać swoich wrażeń z tamtych wydarzeń, bo tego się po prostu nie da opisać. Jednak im bliżej było do otwarcia XXIII ŚDM, tym bardziej chciałem pojechać i wziąć w nich udział. Później przyszedł czas, że głównie z powodów ekonomicznych musiałem się pogodzić z faktem, że nie pojedę. Kiedy już oswoiłem się z tą myślą, zaczęły dochodzić do mnie coraz częściej informacje o możliwości wzięcia udziału w substytucji Sydney 2008, a mianowicie Sydney w Warszawie.

No i tym razem się udało. W sobotę 19.07. pojechałem z żoną i dzieckiem na nadwiślański warszawski Skwer Cubryny. Stojąc na przedpolu ogrodzonego terenu próbowałem ułożyć sobie w głowie mapę sytuacyjną, gdzie co się dzieje. Potem w biurze prasowym zarejestrowałem się jako akredytowany dziennikarz, a wtedy podeszło do nas dwoje radiowców. Mężczyzna z Radia Plus i kobieta z Radia Warszawa-Praga, którym udzieliłem wywiadu na pytania o tym, czego się spodziewam i czego oczekuję po Sydney w Warszawie.

Następnie po zmontowaniu sprzętu fotograficznego zacząłem robić pierwsze zdjęcia. Chciałem oddać prawdziwego ducha modlitwy, dlatego pierwsze ujęcia wykonałem rozmodlonej młodzieży, a później kolejnym etapom modlitwy i działań przewidzianych programem tego wydarzenia.

Ponieważ moje dziecko zaczęło się niecierpliwie niezrozumiałym programem, żona odwiozła je do domu, a następnie po dwóch godzinach powróciła na nadwiślański skwer.

Ja tymczasem wziąłem udział w jednym z warsztatów, a mianowicie nauce języka migowego. Później dysponując jeszcze wolnym czasem podglądałem inne typy warsztatów, tj. Jabadajka (tańce na chwałę Pana) i warsztaty bębnowe. W południe rozpoczynała się druga część programu warsztatów. Najpierw animatorzy wyposażeni w czerwone baloniki jako znak rozpoznawczy przyjmowali chętnych do swoich grup, w których następowało dzielenie się Słowem – refleksją o swoich drogach do wiary i modlitewne spotkania Sydney w Warszawie.

W pewnym momencie z oddali zaczęły dobiegać do mnie odgłosy wielbiących Pana piosenek i muzyki dzięki wspólnocie Neokatechumenatu. Zatem przyłączyłem się do nich, wielbiąc razem z nimi Jezusa. Gdy tak wszyscy byliśmy rozbawieni, po kilkunastu minutach w stronę ołtarza zaczął zmierzać korowód festiwalowych grup warsztatowych, by na estradzie dać przepiękny koncert. Wkrótce po nim konferencję wygłosił ks. Roman Trzcziński.

W swoich rozważaniach zadawał często retoryczne pytania i takie same formy dialogu z młodzieżą. Pytał: „Po co tu jesteś? Przyszędłeś szukać Jezusa? A może przyszędłeś tu się pobawić, zjeść kiełbaskę? To za mało – mówił. – Jesteś tu po to, bo szukasz Jezusa. Jesteś w grobie, wydaje ci się, że widzisz, a ty nic nie widzisz. Jezus do ciebie przychodzi” (w tym czasie zostaje przeniesiony Naj-

świętszy Sakrament w kapłańskiej asyście z Namiotu Spotkania do ołtarza). Następuje adoracja w milczeniu, po której kapłan błogosławił poszczególne grupy pielgrzymów, trzymając nad nimi ukosnie monstrancję.

Muszę przyznać, że zrobiło to na mnie ogromne wrażenie, bo pierwszy raz widziałem ten sposób błogosławieństwa. Po jego zakończeniu ponownie Najświętszy Sakrament został odprowadzony do Namiotu Spotkania. Potem wygłoszone były świadectwa przez młodą rodzinę katolicką i Siostrę Małgorzatę Chmielewską ze Wspólnoty Chleb Życia oraz redaktora Pawła Zuchniewicza.

Po przerwie na kolację rozpoczęła się konferencja prasowa. Po raz pierwszy uczestniczyłem w takiej konferencji. Biskupi mówili tam o m.in.: o znaczeniu warszawskiego wydarzenia dla tych, którzy nie mogli pojechać do Australii, obowiązku starszych w wychowywaniu młodego pokolenia, a przede wszystkim możliwości uczestniczenia w tym samym czasie co w Sydney we Mszy Świętej. Po zakończeniu konferencji alejkami wśród sektorów biskupi dość odważnie przeszli, witając się przez podanie ręki z przypadkowo napotkaną młodzieżą.

Tak się złożyło, że naprzeciw mnie zbliżył się w takim geście arcybiskup Nycz, który oprócz powitania nawiązał ze mną krótką rozmowę. Pytał o to, kim jestem i z jakiej jestem redakcji. Odpowiedziałem wtedy, że z KAI-u. Bo rzeczywiście dla tej redakcji wtedy, oprócz przeżyć duchowych, pracowałem. Biskupi tymczasem doszli do estrady, na której przy stole rozważali różne interpretacje i pojęcia Ducha Świętego.

W Warszawie Msza Święta rozpoczęła się 20.07. o godz. 2:00 w nocy, której przewodniczył abp Kazimierz Nycz wraz z kardynałem Józefem Glempem i abp Henrykiem Hoserem, a w koncelebrze wzięło jeszcze udział kilkudziesięciu kapłanów. Bardzo dobra synchronizacja obu miejscowości sprawiła możliwość połączenia w czasie rzeczywistym z Sydney, tak że młodzież w Warszawie mogła wysłuchać w tym samym czasie homilii papieża na telebimach, Benedykt XVI przewodniczył całej Eucharystii.

Około godz. 4:30 na Sydney w Warszawie rozpoczął się koncert zespołu „Maleo Reggae Rockers”. Tak zakończyło się to czuwanie z nadzieją wśród obecnych na podobne częstsze zgromadzenia – bez oczekiwania na kolejne ŚDM.

Stara Miłosna–Sydney 2008 (artykuł)

Jako jedna z niewielu grup szczęśliwców Diecezji Warszawsko-Praskiej wyrusza do Sydney na XXIII Światowe Dni Młodzieży grupa 16 młodych ludzi z parafii św. Hieronima ze Starej Miłosnej. Szefem grupy jest ks. Marcin Kontraktowicz.

W dniu 31.05.2008 w Częstochowie wzięli udział w Krajowym Pośłaniu na ŚDM, które było zorganizowane po raz pierwszy w Polsce. Wszystko po to, aby uzmysłowić młodym pielgrzymom, że ŚDM to nie ma być wycieczka turystyczna, ale misja głoszenia Ewangelii i świadczenia o Jezusie Chrystusie. Na Jasnej Górze dostali ponadto wiele praktycznych rad, m.in. o ubezpieczeniach i wizach, oraz zostały im przekazane obrazki ewangelizacyjne. Następnie wzięli udział w nabożeństwie pośłania, którego dokonał duszpasterz młodzieży bp Henryk Tomasik, wypowiadając nad poszczególnymi przybyłymi pielgrzymami formułę „idźcie na krańce świata”, i wręczał symboliczny bilet na wyprawę misyjną. Po przerwie na obiad uczestniczyli w Mszy Świętej w Kaplicy Cudownego Obrazu.

Wszyscy powrócili do Warszawy pełni radości, że już niedługo przeżyją wspaniałą przygodę życia w wymiarze duchowym, kulturowym i w mniejszym stopniu turystyczną.

Z Naszej Diecezji oprócz nich wybierają się jeszcze dwie grupy. Pierwsza to młodzież akademicka skupiona wokół katedry św. Floriana, natomiast drugą stanowi sześćosobowa grupa (bez określonej klasyfikacji).

Młodzież ze Starej Miłosnej po raz ostatni spotyka się przed wyjazdem 15 czerwca, a odlatuje z Polski 3 lipca. Udają się samolotem do Londynu, a stamtąd do Hongkongu (w którym mają osiem godzin postoju), potem znów samolotem udają się do Australii, tak aby w dniu 6 lipca znaleźć się na terenie Archidiecezji Adelajda.

Po przybyciu na miejsce wezmą udział w pierwszym etapie ŚDM, tj. dniach diecezjalnych. W Adelajdzie będą przebywać przez tydzień, po czym ponownie samolotem dotrą w dniu 13.07. w godzinach przedpołudniowych (czasu lokalnego) do Sydney. Po dotarciu do tego największego miasta Australii będą mieli półtora dnia na aklimatyzację, by już 14.07. przeznaczyć czas na sprawy kwaterek i odbiór pakietu pielgrzyma. W dniu 15.07. o godz. 16:30 wezmą udział w ceremonii otwarcia XXIII ŚDM, której dokona metropolita Sydney kardynał George Pell na nabrzeżu Barangaroo.

17.07. odbędzie się spotkanie młodzieży z Benedyktem XVI. Natomiast 18.07. ulicami Sydney odprawiona zostanie Droga Krzyżowa, która będzie trwała około trzech godzin.

Natomiast w dniu 19 lipca również ulicami Sydney przemaszeruje pielgrzymka młodzieży, a tego samego dnia o godz. 19:00 odbędzie się dwugodzinne czuwanie z Papieżem. W dniu 20.07 o godz. 10:00 Benedykt XVI odprawi Mszę Świętą na zakończenie ŚDM oraz modlitwę „Anioł Pański”. Wtedy również ogłosi nazwę miasta, które za trzy lata będzie gospodarzem następnych ŚDM. Później między 12:30 a 15:00 odbędą się ostatnie imprezy towarzyszące ŚDM – Sydney 2008.

Jeszcze tylko pakowanie plecaków i powrót do domu, także po to, aby opowiedzieć o swoich tam przeżyciach, które również obiecuję sporządzić z relacji przybyłej stamtąd młodzieży.

Powrót z Sydney (artykuł)

Grupa młodzieży ze Starej Miłosnej (z parafii św. Hieronima) powróciła 23 lipca do Polski z XXIII ŚDM w Sydney. Ich podróż do Australii wiodła przez Londyn i Hongkong, w którym mieli ośmiogodzinny postój. Tam dzięki Konsulowi RP nawiązali kontakt z Ojcem Rolandem, polskim franciszkaninem, który pokazał im to miasto. Był bardzo zadowolony, że właśnie spotkał grupę z parafii św. Hieronima, gdyż sam studiuje i prowadzi po chińsku wykłady z Pisma Świętego, a św. Hieronim był jednym z Jego patronów.

W Hongkongu wjechali też kolejką na wzgórze Victorii, gdzie oglądali panoramę miasta i mieli możliwość w tropikalnym klimacie poczuć dobrodziejstwo wieczornego wiatru od morza. Na dalszą część podróży, po modlitwie w miejskim parku, Ojciec Roland udzielił im misyjnego błogosławieństwa. Następnie udali się na lotnisko, skąd około godz. 23:00 polecili do Adelajdy. Warto jeszcze wspomnieć, że ok. 2:00 w nocy czasu miejscowego przekraczali równik, a ok. 9:40 wylądowali w Adelajdzie.

Miasto przywitało ich chłodną i deszczową aurą, pierwszą taką od trzech lat. Ponieważ lipiec tam to czas zimowy, były i nocne przymrozki. Z lotniska odebrała ich wolontariuszka o imieniu Melissa, z którą pojechali odprężyć się po trudach podróży na plażę Glenelg nad Oceanem Indyjskim. Potem pojechali do parafii św. Augustyna,

gdzie czekały na nich rodziny, które udzielały im gościny (był to dopiero 05.07). Wszyscy gospodarze zawieźli swoich gości przed południem do domów, aby potem podjąć ich obiadem.

Rodziny brały pod opiekę młodzież po dwie osoby według kłucza wiekowego, tzn. jeżeli w danej rodzinie były dzieci w określonym wieku, to również dobierano z danej grupy młodzież w podobnym lub takim samym wieku.

Podczas zapoznawania się z tymi rodzinami o polskich korzeniach okazało się, że było to pierwsze pokolenie, które urodziło się w Australii. Wieczorem przyjechał do parafii bp. Greeg, aby sprawować Mszę Świętą inaugurującą Dni Diecezjalne. W Adelajdzie były dwie grupy z Polski: jedna to grupa z Bydgoszczy z bp Tyrawą (który głosił katechety) oraz nasza grupa z parafii w Starej Miłosnej.

W niedzielę (06.07.) miało miejsce spotkanie z rodzinami goszczącymi naszą młodzież oraz Msza Święta z tamtejszą Polonią i spotkanie, na którym otrzymali niespodzianki-prezenty przygotowane przez dzieci z miejscowych szkół. Później odbyła się prezentacja kultury australijskiej, a po południu uczestniczyli w spotkaniu we wspólnocie wietnamskiej, gdzie oprócz Mszy Świętej wzięli udział w pokazie sztuki wietnamskiej.

We wtorek (08.07.) wyjechali do parku Safari, gdzie zwierzęta żyją na wolności, a część z nich można niemal dotykać. Były tam kangury, misie koala, strusie, emu, rozmaite ptaki i jadowite węże. Po południu zostali zaproszeni przez biskupa na odpoczynek do kafejki, gdzie mogli skorzystać z takich zdobyczy cywilizacyjnych jak Internet itp. Potem biskup oprowadził ich po adelajdzkiej katedrze Najświętszej Marii Panny. Natomiast wieczorem spotkali się w Domu Kopernika z Polonią.

W dniu 09.07. wyjechali do Seven Hill, gdzie żyła i pracowała pierwsza błogosławiona australijska – Maria MacKilop. Następnie udali się w góry do farmerskiej miejscowości Polish River Hill, gdzie farmerzy podjęli ich specjalnym farmerskim posiłkiem.

Odwiedzili też kaplicę, którą nawiedził w 1986 roku papież Jan Paweł II, a od tamtej pory nie była tam odprawiana żadna Msza Święta, aż do momentu przybycia grupy z parafii św. Hieronima, która właśnie tam sprawowała Eucharystię.

W dniu 10.07. w parafii św. Augustyna na Mszy Świętej spotkały się tylko grupy polskie. Po jej zakończeniu zwiedzali Adelajdę,

gdzie byli m.in. w Muzeum Aborygeńskim. Mogli obejrzeć tam pokaz tańca aborygeńskiego i innych elementów codziennego życia rdzennych mieszkańców Australii.

Dzięki temu, że jako uczestnicy XXIII ŚDM mieli wstęp wolny do muzeów, mogli zwiedzić Muzeum Osadnictwa, gdzie m.in. zapoznali się ze słynącą z wybornych win kulturą południowej Australii. Wieczorem natomiast uczestniczyli w oficjalnym pożegnalnym koncercie kończącym Dni Diecezjalne.

W dniu 11.07. pojechali do Victor Harbor, gdzie zaplanowali oglądanie wielorybów, co im się nie udało, bo akurat tego dnia nie przypłynęły. W trakcie spaceru udało się im podejrzeć pingwiny. Sobotni poranek zaplanowany był na pobyt z rodzinami, nieco później oglądali na stadionie tzw. Aussie rules, czyli futbol australijski, gdzie miejscowa drużyna podejmowała gości.

W dniu 13.07. rano udali się samolotem do Sydney. Tam zostali zakwaterowani u rodzin polskich, których los wygnał przed stanem wojennym z Polski. Spotkali się z nimi na obiedzie w Misji Chrystusowców w Dzielnicy Liverpool.

14.07. w poniedziałek mieli już wszystkie przepustki oraz karty wstępu na spotkania i nabożeństwa z Benedyktem XVI oraz odebrane pakiety pielgrzyma. Ponieważ z założenia był to tzw. dzień wolny, mogli udać się na wyprawę w Góry Błękitne, które są położone w odległości około 100 km od Sydney.

Nazwa gór pochodzi od faktu, że znajdujące się tam eukaliptusy w przygrzewającym latem słońcu dają błękitną poświatę. Udało im się zdobyć góry „Trzy siostry” i zrobić sobie przechadzkę wśród bujnej roślinności niemal jak w dżungli. Ze względu na wielki urok tych gór przemierzało je wiele grup młodzieży. Młodzieży z parafii św. Hieronima udało się tam spotkać z ekipą z parafii Nawrócenia świętego Pawła Apostoła, również z Diecezji Warszawsko-Praskiej, której przewodnikiem był ks. Janusz Kopczyński.

15.07. (wtorek) czas przed południem mogli wykorzystać na krótkie zwiedzanie miasta i opery w Sydney. Potem udali się na Wybrzeże Barangaroo, gdzie bp Georgie Pell oficjalnie otworzył XXIII ŚDM, na którym odbył się uroczysty koncert pieśni religijnych. W tym uroczystym czasie była możliwość adoracji Najświętszego Sakramentu przygotowana w różnych miejscach przez Siostry Miłosierdzia Bożego Matki Teresy z Kalkuty. Szczególną wymowę

miała ta adoracja umiejscowiona w dumie Australijczyków, tj. Sydney Opera.

Z kolei w dniu 16.07. rozpoczęło się głoszenie katechez o Duchu Świętym przez bp Tomasika. Była też możliwość radosnego poznawania się i zadawania pytań biskupowi. W środę 20.07. po Mszy Świętej i obiedzie mieli możliwość zwiedzania miasta Sydney z jego słynnym mostem. Również w tym dniu udali się na pielgrzymkę do grobu pierwszej australijskiej błogosławionej.

Natomiast 17.07. (czwartek) przed południem uczestniczyli w katechezie wygłoszonej przez bp Tyrawę, a po południu wzięli udział w długo oczekiwanym spotkaniu z Benedyktem XVI. Udało im się tam zająć bardzo dobre miejsca przy barierkach, skąd dość blisko mogli obserwować przejazd Ojca Świętego. W piątek 18.07. przed południem katechezę dla Polaków wygłosił krakowski bp Guzdek, natomiast po południu wzięli udział w misterium Drogi Krzyżowej.

Z kolei rano dnia następnego uczestniczyli w Eucharystii, po której udali się na pielgrzymkę do Królewskiego Hipodromu Randwick. Wieczorem wzięli udział w czuwaniu z Papieżem, podczas którego głoszone były przez uczestników ŚDM świadectwa przeplatane śpiewami religijnymi, nazwano to świętem światec. Można je było przeżywać na dwa sposoby: trwać na adoracji lub odpoczywać przed mszą poranną. W niedzielę rano nad hipodromem ukazał się papieski helikopter, który kilkakrotnie przelatywał nad zgromadzoną młodzieżą, a po wylądowaniu Papież w samochodzie panoramicznym przejechał wśród wielu sektorów zgromadzonej młodzieży uczestniczącej we Mszy Św., podczas której Benedykt XVI nawoływał ich do apostołstwa miłości.

Ogłosił też miasto, które będzie gospodarzem następnych ŚDM – Madryt (Hiszpania). Po mszy wszyscy uczestnicy z parafii św. Hieronima powrócili do goszczących ich rodzin, którym poświęcali już ostatnie chwile pobytu w Sydney. W poniedziałek 21.07. mieli jeszcze dzień do dyspozycji dla siebie. Zatem zwiedzili sydneyowskie akwarium, wieżę widokową oraz katedrę Matki Bożej Krzyża Południa, w której można było uzyskać odpust zupełny.

Trzeba też dodać, że na czas XXIII ŚDM zostały tam sprowadzone z Włoch relikwie bł. Piergeorgio Frasiatego. We wtorek 22.07. nastąpiło pełne wzruszeń pożegnanie z rodzinami, które

podejmowały naszą ekipę i ostatnia na antypodach Msza Święta (pożegnalna) w Kaplicy Misji Chrystusowców. Po jej zakończeniu przejechali na lotnisko i przelot odbył się już bez większych przesto-
jów i oczekiwań na połączenia. Do Warszawy wrócili 23.07. w środę około godz. 15:00.

Zapytany przeze mnie ks. Marcin Kontraktowicz, co by powiedział tym, którzy nie pojechali, odpowiedział: „Ci, którzy mogli pojechać, a nie pojechali – niech żałują. A tym, którzy nie pojechali, bo nie mogli z różnych względów – mówię krótko – już dziś zaczynajcie przygotowania do spotkania na XXVI ŚDM w Madrycie w 2011 roku”.

Uroczystość powitania symboli ŚDM 2009 r. (artykuł)

W niedzielny wieczór (21.06.2009 r.) na warszawskim Bródnie już od godz. 19:00 gromadziły się tłumy wiernych oczekujących na przybycie symboli Światowych Dni Młodzieży. U zbiegu ulic Basztowej i Rembieleńskiej wraz księżmi i asystą liturgiczną przybył także Krajowy Duszpasterz ds. Młodzieży biskup Henryk Tomasik.

Czas oczekiwania wypełniły pieśni młodzieżowe w wykonaniu Neokatechumenatu, Nabożeństwo Czerwcowe i Nieszpory. Emocje zebranych wzrosły, kiedy z oddali na ul. Rembieleńskiej zauważono procesję Sióstr Misjonarek Miłości (Matki Teresy) niosących Krzyż ŚDM i obraz Salus Populi Romani (Ocalenie Ludu Rzymskiego) z asystą policyjnego radiowozu.

Ksiądz biskup powitał Krzyż poprzez jego ucałowanie. Po powita-
lanych modlitwach rozpoczęła się krótka adoracja, po której nastąpiło przekazanie Krzyża młodzieży z Bródna, która poniosła go w procesji ul. Basztową do ul. Wysockiego i dalej do kościoła Matki Bożej Różańcowej.

Morze ludzi rozciągnięte na całej szerokości ul. Basztowej było tak wielkie, że można zaryzykować stwierdzenie, że w procesji przeszło 3–4 tys. osób. Przekraczając bramę kościoła, w którym odbyła się Msza Święta pod przewodnictwem bp Tomasika, po obu stronach alei witały pielgrzymów rozświetlone pochodnie. Wśród intencji Mszy Świętej – główną intencją była modlitwa za całą polską młodzież.

W homilii bp Tomasik nawiązując do niedzielnej Ewangelii powiedział, że „Wielka Łódź Kościoła jest miotana wciąż różnymi

wichrami z zewnątrz, którymi są burze i ulewy. Łódź Kościoła jest narażona na różne ataki. Dla nas jest jednak ważna perspektywa wiary, że w tej Łodzi jest Chrystus ze swoją mocą”.

Nawiązując do liturgii słowa mówił: „Miłość Chrystusa przynagliła nas, ale czy wszystkich, chciałoby się powiedzieć, że nas tu obecnych, do zgodnego z nauką Jezusa postępowania w sprawach rodziny, sakramentów, a w szczególności sakramentu małżeństwa tak często odrzucanego przez młodych”.

Mówił, że „Krzyż jest znakiem potęgi Chrystusa, jest znakiem miłości”. „Miarą miłości jest miłość bez miary”. Biskup Tomasik przypomniał także historię Krzyża Światowych Dni Młodzieży oraz wymienił najważniejsze miejsca, w których modlono się przy tym Krzyżu: Niemcy (w tym miejsce zburzenia Muru Berlińskiego), Czechy (Praga), Ruanda, USA (New York – strefa „0”), Kanada (Toronto) szczególne nawrócenia, Afryka, Manila, więzienia, szpitale.

Kończąc dodał kilka słów o szczegółach technicznych Krzyża i o jego wymiarach, które wynoszą 380 cm wysokości i 175 cm szerokości ramion. Wymienił także setki tysięcy wiernych zgromadzonych na modlitwie w konkretnych miejscach zgromadzeń i nieodpowiednie komentarze świeckich mediów do tych spotkań. Mówił, że ten Krzyż jest bardzo prosty i przypomina Krzyż na Kalwarii, a to, że nie ma na nim pasyjki Chrystusa, wynika z faktu, że symbolizuje on Krzyż Zmartwychwstania.

Biskup powiedział także, że Krzyż to również ludzkie doświadczenie, które każdy z nas niesie ze sobą. Przywołał myśl Ludwika van Beethovena, który mówił, że krzyż to tak jak w muzyce „podnosi”. Trzeba dodać, że oprawę muzyczną zaadaptowano ze Światowych Dni Młodzieży, co stworzyło niezapomniany klimat modlitwy i przypomnienie ducha tamtych spotkań.

Spotkanie w Czechach

W sobotni (26.09.2009 r.) poranek około godz. 6:30 stawiliśmy się na miejsce spotkania na placu przy Domu Słowa Bożego przy ul. Grochowskiej. Wśród gromadzących się pielgrzymów można było zauważyć młodsze osoby, ale i starszą młodzież. Wszystkich serdecznie witał główny organizator, Nasz Diecezjalny Duszpasterz Akademicki ks. Janusz Kopczyński.

Poinformował nas także, że powinniśmy przejść do kaplicy znajdującej się na III piętrze tegoż budynku, gdzie wielu z nas było po raz pierwszy, na Mszę Świętą. Można było tam podziwiać przepiękną ikonę usytuowaną za stołem ołtarza, obejmującą całą ścianę.

Zgodnie z planem dnia rozpoczęliśmy nasze spotkanie modlitewne od Jutrznia, a po jej zakończeniu odbyła się Msza Święta, podczas której przyjęliśmy komunię świętą pod dwiema postaciami (ciała i krwi Chrystusa). Trzeba jeszcze wspomnieć, że Jutrznia była poświęcona rozważaniu i wsłuchiwaniu w swoje powołanie.

Natomiast Msza Święta – naszej grzeszności i jej interpretacji przez św. Jana Vianneya, który mówił, że „jeżeli ktoś grzeszy, to wciąż Jezusa na Krzyż, a gdy się nawraca, to zdejmuje Jezusa z Krzyża”.

Po Mszy Świętej spakowaliśmy plecaki i żywność do luków autokaru i zajęliśmy miejsca w autokarze, za którego sterem usiadł pan Karol. Bramę przekroczyliśmy o godz. 8:15 i mijając kolejne ulice Warszawy wjechaliśmy na tzw. trasę katowicką. Tuż po rozpoczęciu jazdy odmówiliśmy kilka modlitw i odśpiewaliśmy przy akompaniamencie gitary ze stowarzyszeniem wspaniałego głosu Pauliny – młodzieżowe piosenki religijne.

Następnie był czas na małą przekąskę i odrobinę snu. Nasz autokar tymczasem zmierzał do Krzeszowa – pierwszego dzisiejszego celu pielgrzymki.

Przemierzaliśmy kolejne odległości, w trakcie których co kilkadziesiąt kilometrów robiliśmy przerwy, aby odpocząć na rozmieszczonych wzdłuż trasy stacjach benzynowych.

W czasie jazdy odmawialiśmy stałe modlitwy katolickie: Różaniec, Koronkę do Miłosierdzia Bożego oraz śpiewaliśmy młodzieżowe piosenki religijne. Były też formy relaksacyjne, takie jak słuchanie muzyki refleksyjnej, czas dla bliźniego (rozmowa z nim) czy projekcja filmów na wideo. Tematyka tych działań kulturalnych miała charakter proporcjonalny, tzn. 50% religijny, a w 50% świecki, co odebraliśmy jako aspekt pozytywny, rzadko zdarzający się na pielgrzymkach.

Wszystkie formy aktywnego uczestnictwa sprawiły, że ten ponad 10-godzinny czas podróży minął niemal niezauważalnie, zwłaszcza że jedną z atrakcji na trasie naszego przejazdu była możliwość obejrzenia zamku w Książu, który kiedyś był piastowskim zamkiem obronnym.

Kilometry mijały, a naszym oczom ukazywało się coraz więcej supermarketów z coraz bardziej obcojęzycznie brzmiącymi nazwami sklepów i firm. Wreszcie dotarliśmy do Wrocławia, który tu z okien autokaru jawił się nam jako piękne, nieco starodawne miasto.

Podziwiając jego zabytki zastanowiłem się nad naszą Warszawą, która urosła w moich oczach. Przecież nie jest ona taka brzydka. Wystarczy trochę się zatrzymać, przyjrzeć, docenić to, co w Warszawie wydaje się brzydkie i ponure. Tu we Wrocławiu te stare budynki wydają mi się takie piękne, to nic, że prawie niemieckie. Zastawiam się, to może i Warszawa jest piękna. Postanowiłem, że jak wrócę, to lepiej jej się przyjrzę.

Mijamy Wrocław, tu w polu kolejne hektary supermarketów, ale o tym staram się nie myśleć, zwłaszcza że zbliża się cel naszej wyprawy. Wjeżdżamy do, jak mi się wydaje, niewielkiego miasteczka i nagle wyrasta w nim przeogromny piękny kościół z zabudowaniami klasztorными. Nawet pomyślałem, że tak okazała budowla musi być koniecznie przeze mnie uwieczniona na fotografii, ale jest wieczór i jedziemy autokarem, robienie zdjęć traci sens. Postanawiam, że kiedyś tu przyjadę. Niespodziewanie dowiadujemy się, że właśnie w tym pięknym miejscu nocujemy. Mało tego, spędzimy tu trzy noce bez zawracania sobie głowy dostępem do Internetu, który stanowi wyposażenie tego zabytku. A miejsce nazywa się Sanktuarium Matki Bożej Łaskawej w Krzeszowie.

Jak wcześniej ustalono: dziewczęta zajęły pierwsze piętro, a chłopcy parter. Po rozlokowaniu w pokojach i rozpakowaniu zjedliśmy obiadokolację – smakowity gulasz i herbata. Na zakończenie odmówiliśmy Kompletę i tak zakończył się ten pierwszy dzień pielgrzymkowego trudu, podczas którego ks. Janusz zachęcał nas do zapamiętania, z jakimi intencjami tu przyjechalibyśmy.

Nazajutrz rano zwiedzaliśmy Sanktuarium Matki Bożej Łaskawej i kościół Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Krzeszowie. Uczestniczyliśmy także w Mszy Świętej oprawionej m.in. w intencji naszej pielgrzymki. Następnie udaliśmy się do Czech, do Skalnego Miasta. Zanim jednak dotarliśmy do celu, musieliśmy pokonać nisko położony wiadukt kolejowy. Udało się to dzięki wprawnej sztuce kierowania przez pana Karola, który, aby pokonać usytuowaną nad nami przeszkodę, musiał obniżyć autokar o kilka centymetrów. Po częściowym wypuszczeniu powietrza z opon pojazdu, mogliśmy bezpiecznie

pokonać tę przeszkodę bez konieczności zawracania z trasy i jechać dalej drogą do Parku Skalnego.

Po dotarciu na miejsce kupiliśmy bilety i otrzymaliśmy mapki szlaków turystycznych. Początkowo szliśmy całą grupą, aby na rozstaju dróg podzielić się na kilka mniejszych, w zależności od skomplikowania tras i własnych możliwości ich pokonania. Kiedy szliśmy swoją trasą (ja i Małgosia) przemierzaliśmy odcinki otaczające nas przepięknymi skałami, z których większość z nich miała swoje nazwy. Idąc wśród skał, musieliśmy wykazać się dyscypliną niezbędną i charakterystyczną dla sportów ekstremalnych.

Było to konieczne, mimo że nie uprawialiśmy wspinaczki. Jednak wchodzenie i schodzenie z półek skalnych wymagało oprócz sił fizycznych również niejednokrotnie odporności psychicznej. Bowiem kiedy wchodziliśmy na najwyższy punkt wzniesienia (jak nam się wydawało) okazywało się po jego pokonaniu, że trzeba wejść jeszcze wyżej. Dzięki temu mogliśmy podziwiać urodę tych skał.

Zobaczyliśmy też, jak po jednej ze skał zwanej „Kochankowie” opuszczają się taternicy. Idąc i podziwiając uroki skał zaczęło się nam nagle wydawać, że się zgubiliśmy. Ale to tylko chwilowa niepewność. Pytamy wszechobecnych tego dnia Polaków o drogę do wyjścia. Okazuje się, że mamy do pokonania szczelinę skalną o ledwie 50 cm szerokości, po czym należy skręcić w prawo i to już koniec naszej męczarni. Zastanawiam się, czy mój brzuch pozwoli mi precyzyjnie przejść przez ten otwór. Trochę niepewny zmierzam do przodu. Udało się, niech mi ktoś teraz powie, że jestem za gruby.

Po wydostaniu się ze skał i przejściu kilkudziesięciu metrów dotarliśmy do parkingu i pasażu handlowo-grillowego, skąd startowaliśmy na podbój Skalnego Miasta. Jeszcze tylko herbata z kiełbasą i zbiórka na powrót przy autokarze. Musimy trochę się spieszyć, bo jeszcze trzeba się wyspać przed poniedziałkową Mszą Świętą w Starą Boleslav.

Około godziny 21:00 dotarliśmy na nocleg do Krzeszowa. Tu już tradycyjnie czekał na nas ciepły posiłek, który tym bardziej był odczuwalny jako bardzo potrzebny ze względu na zimne jesienne wieczory. W trakcie obiadokolacji ustaliliśmy plan działania na poniedziałek, jaki będzie obowiązywał w tym dniu, w którym będziemy uczestniczyli w Mszy Świętej dla młodzieży pod przewodnictwem Benedykta XVI.

Nasz pielgrzymkowy komitet organizacyjny pod przewodnictwem ks. Janusza, a składający się jeszcze z dwóch siostr Eli i Asi – analizuje czas przejazdu i przewiduje ograniczenia w ruchu drogowym ze względu na przejazd kolumny papieskiej. Biorąc pod uwagę doświadczenia z takich wydarzeń ustalił pobudkę na godz. 3:00 (w nocy), wcześniej ok. godz. 2:00 mieli wstać śmiałkowie, którzy byli odpowiedzialni za przygotowanie herbaty do termosów.

Po dość szybkim i pożywnym śniadaniu zajęliśmy miejsca w autokarze, za którego „sterem” nieodłącznie zasiadał sympatyczny pan Karol.

Trzeba w tym miejscu wspomnieć, że w naszej pielgrzymce uczestniczyła jedna osoba, która poruszała się na wózku inwalidzkim, była to Ania, pełna humoru dziewczyna, która nie rozczulała się nad własną niepełnosprawnością i dzięki stale pomagającej jej w przemieszczaniu się grupie osób pokonywała nawet najtrudniejsze bariery architektoniczne. Dużą rolę w ułatwianiu Ani normalnego funkcjonowania odegrał również nasz kierowca pan Karol, który bardzo pomagał jej przy wchodzeniu i wychodzeniu z autokaru, no i niezastąpiony ks. Janusz Koczyski.

Powróćmy jednak do 3:30 nad ranem, to godzina odjazdu naszego autokaru. Wszyscy wzorowo stawili się na czas zbiórki. Ostatnie przygotowania. Autokar wreszcie rusza, Po krótkiej porannej modlitwie ks. Janusz dość nieoczekiwanie zachęca nas do uzupełnienia zapasu snu, nastroje wprawdzie są radosne, ale jednak zmęczenie daje znać o sobie. To sensne rozluźnienie zostaje przerwane około godz. 6:30.

To znak, że zbliżamy się do Stará Boleslav. Wreszcie po kilku godzinach jazdy lądujemy na podmiejskim parkingu, gdzie pan Karol ustawia pojazd w „szyku autokarowym”.

Do naszego autokaru weszła czeska wolontariuszka, która przekonana, że ją zrozumiemy – mówi w swoim ojczystym języku coś o konieczności dojścia do miejsca spotkania z Benedyktem XVI oraz o wodzie mineralnej i wrzątku na miejscu. Tyle mniej więcej zrozumieliśmy. Nad polami wschodzi przepięknie słońce, w którego blasku rozwijamy baner naszej wspólnoty z napisem „Duszpasterstwo ARKA”. Po wykonaniu pamiątkowego zdjęcia mamy jeszcze kilka minut na odstawienie swoich słabości w tradycyjnie dość długiej kolejce do toj-tojek.

Po zakończonych czynnościach przygotowawczych zwieramy szyki i kierujemy się na miejsce nabożeństwa. W międzyczasie zauważamy wszechobecnych Polaków, ze szczególnym uwzględnieniem jak zwykle głośno rozśpiewanej wspólnoty Neokatechumenatu.

Idąc w szczerze pole w okolicach przedmieść Stará Boleslav zauważamy krążący nam nad głowami helikopter. Jak okazuje się mieliśmy tylko do przejścia ok. 3 km. Po dotarciu na miejsce ok. godz. 9:00 czeskie służby porządkowe kierują nas do wyznaczonego sektora „A-3”. Tu na czas Mszy Świętej żegnamy się z ks. Januszem, który będzie w grupie księży koncelebransów.

W tych tłumach ludzi kilkoro z nas spotyka swoich znajomych. Ja za wszelką cenę usiłuję spotkać się ze swoim przyjacielem Staszkiem B., który miał tu przybyć z grupą sześciuset pielgrzymów z okolic Wrocławia. Mimo utrzymywanej z nim łączności dzięki telefonii komórkowej, nasze spotkanie nie dochodzi do skutku, gdyż ich grupa zostaje zablokowana przez służby porządkowe na czas przejazdu B-XVI (chodzi oczywiście o Benedykta XVI, ale stosowaliśmy podobny skrót jak przy JP-2, Janie Pawle II).

Dzięki posiadanej legitymacji prasowej mam okazję do dość swobodnego poruszania się między sektorami i wyznaczonymi alejkami na placu oddzielonymi taśmą, a w miejscach bardziej strategicznych również barierkami. Początkowo zmierzam razem ze wszystkimi uczestnikami do sektora. Jak się później okazuje na dobre mi to wychodzi, bo miałem okazję zobaczyć z bliska B-XVI i zrobić mu kilka fotek.

Przejechał koło mnie w odległości ok. 1,5 m. Właśnie dzięki temu, że pozostałem w tym czasie w sektorze, miałem niepowtarzalną szansę zobaczenia Go z bliska. Emocje były tak silne, że prawie, no nie prawie, rozryczałem się jak małe dziecko. Po tak silnych przeżyciach potrzebne było stopniowe wyciszenie, aby przygotować się do Eucharystii. Przekonany, że w moim sektorze już nic ciekawego się nie wydarzy, kontynuowałem działalność fotoreporterską.

Cały czas miałem w pamięci konieczność wysłania do redakcji tygodnika „Idziemy” korespondencji wraz ze zdjęciami. Żeby to uczynić musiałem zorientować się, czy jest możliwość wysłania bezprzewodowym Internetem wiadomości do redakcji. Rozpytując służby informacyjne i porządkowe dotarłem do zaplecza, gdzie

usytuowany był namiot, który zawierał podstawowe środki techniczne do transmisji danych.

Jednak wysłanie ich nie było takie proste, gdyż umieszczony w nich sprzęt komputerowy zawierał w sobie czeskie ustawienia dotąd mi nieznane i musiałem się nieźle napocić, aby zorientować się, jak trzeba korzystać z tych dobrodziejstw techniki rozumiejących jedynie język czeski.

W efekcie i tak musiałem poprosić o pomoc młodego Czecha, który mówił również po polsku, aby pomógł mi w tej dla mnie trudnej operacji. Co się udało, bowiem po upływie kilku chwil otrzymałem potwierdzenie z redakcji o wpłynięciu ode mnie e-maila. Jak się później okazało, materiał nie został jednak wykorzystany. Cóż, taki los dziennikarza. Dostałem jednocześnie zapewnienie, że mój trud został w redakcji doceniony.

Po zakończeniu Mszy Świętej powróciłem do sektora, aby połączyć się z naszą grupą. Wkrótce po przyjściu ks. Janusza byliśmy już w komplecie. Teraz wiedzieliśmy, że musimy przemieszczać się w kierunku parkingu. W międzyczasie, wbrew pierwotnym informacjom, że autokarem będziemy mogli ruszyć dopiero o godz. 16:00, dowiadujemy się, że możemy dotrzeć do Pragi dużo wcześniej specjalnymi autobusami podstawionymi na drugim końcu Stará Boleslav.

Tak zrobiliśmy. Po około godzinnym marszu dotarliśmy na pętlę autobusów specjalnych jadących do dzielnicy Pragi zwanej Černý Most. Stamtąd po zakupieniu biletów udaliśmy się metrem do stacji przesiadkowej krzyżujących się linii metra, a następnie do stacji docelowej.

Po wyjściu na powierzchnię zatrzymaliśmy się obok dość nowoczesnej fontanny, której nasi koledzy nie omieszkali użyć jako atrybutu lanego poniedziałku. Potem przeszliśmy krętymi uliczkami do zamku na Hradczanach i w okolice Katedry św. Wita.

Poprzez fakt, że w naszej grupie była jedna osoba, która poruszała się na wózku inwalidzkim, mogliśmy ocenić, ile barier nie do przejścia muszą pokonać takie osoby, chcąc na równych prawach uczestniczyć w programie zwiedzania nawet tak otwartego i pięknego miasta jak czeska Praga.

Kiedy zbliżaliśmy się w okolice Katedry św. Wita okazało się, że do wnętrza nie wejdziemy z powodu remontu, co nas zasmuciło.

Mieliśmy też do pokonania dość wysokie schody. O ile dla nas nie stanowiło to zbyt dużej trudności, o tyle wjazd wózkami inwalidzkim był już bardzo kłopotliwy. Wtedy jednak poznaliśmy niezłomność i moc ks. Janusza, który przy użyciu niesamowitej siły pomógł wciągnąć wózek z siedzącą w nim naszą przyjaciółką na sam szczyt schodów prowadzących do katedry.

Po dojściu przed wejście do Zamku ksiądz ogłosił dwugodzinny czas wolny. Ja z żoną Małgosią stanowiliśmy 2-osobową grupę. Mijając pomnik pierwszego prezydenta Czechosłowacji udaliśmy się do jednej z tańszych restauracji na małe co nieco. Podziwiając uroki Pragi i uroczę prażanki tak się rozmarzyliśmy, że dopiero wewnętrzny głos bijących dzwonów, sygnalizujących nieuchronny czas powrotu na zbiórkę do odjazdu, niemal w ostatniej chwili pozwolił nam dotrzeć do Mostu Karola. Głównie po to, aby postawić tam obie nogi, na więcej nie było czasu.

Zapowiadające się wielkie opóźnienie udało nam się zminimalizować dzięki podjechaniu tramwajem. Wprawdzie na miejscu zbiórki otrzymaliśmy małą reprimendę, ale była ona raczej na postrach niż autentyczna, zwłaszcza, że nie przybyliśmy ostatni. Kiedy odjeżdżaliśmy z Pragi miało się już ku wieczorowi. Dlatego stolica Czech jawiła nam się jako przepięknie iluminowane miasto zakochanych. Trudno się więc dziwić, że powstało w nas pragnienie, aby tu powrócić dla samych Czech czy nawet samej Pragi.

Na trasie jeszcze zatrzymaliśmy się na jednej z czeskich stacji benzynowych, gdzie zrobiliśmy zapasy suwenirów. Długa droga do Krzeszowa, gdzie nocowaliśmy, sprawiła, że dotarliśmy tam bardzo późno. Trzeba było jeszcze się spakować przed jutrzejszą drogą do Warszawy. Pełni sił i emocji po Eucharystii z Benedyktem XVI z uśmiechem na ustach rozstawaliśmy się z naszymi „gospodarzami” – siostrami Benedyktynkami.

Wtorek 27.09. (rano) – w oczekiwaniu na oficjalne pożegnanie urządziliśmy pląsy i zabawy. W końcu w bocznych drzwiach klasztoru pojawił się ks. Janusz z siostrą ze zgromadzenia. Zaczęła ona swoją przemowę bardzo uroczyście i pobożnie mówiąc o: „braterskiej miłości, o nas jako najlepszych gościach, że zawsze jesteście mile widziani i zapraszani. Żeby nas Bóg błogosławił i zawsze prowadził” i już zanosilo się, że to jej oficjalne przemówienie nigdy się nie skończy, wtedy ks. Janusz wszedł jej w słowo i podsumował

„ładnie siostra mówi, ale my musimy już jechać”, co nawet ona skwitowała serdecznym śmiechem.

Po tak miłym rozstaniu ciężko było zająć miejsca w autokarze. No ale czas powrotu nadszedł. Jutro na uczelnię, czy do pracy. Po modlitwach porannych ks. Janusz zachęcił nas, abyśmy przez mikrofon podzielili się refleksjami o naszej pielgrzymce. Padają bardzo chwalebne i dojrzałe wypowiedzi.

Kiedy byliśmy w połowie drogi, ksiądz Janusz zgotował nam kolejną niespodziankę. Otóż powiadomił nas, że z pozostałych pieniędzy, którymi opłacaliśmy pielgrzymkę, każdy z nas otrzyma po 20 zł i będzie mógł za tę sumę lub z własną dopłatą zakupić sobie dowolny obiad w całkiem przyzwoitej i taniej restauracji na trasie naszego przejazdu.

To była duża niespodzianka, bo po pierwsze mogliśmy się rozprostować, po drugie napełnić nasze zgłodniałe żołądki, po trzecie pozytywne było dla nas indywidualne podejście do konsumpcji, a nie jak zakładowa wycieczka: 20 razy zupa pomidorowa, czy 20 razy naleśniki z serem.

Przecież tę pielgrzymkę organizował nie byle kto, tylko Diecezjalny Duszpasterz Akademicki ks. Janusz Kopczyński. Jemu tym tekstem dziękuję i życzę wiele Łask Bożych i siły do organizowania podobnych przedsięwzięć dla młodzieży. Ostatnim akcentem naszej wyprawy był przystanek „Dom Słowa Bożego” przy ul. Grochowskiej, do którego dotarliśmy około 21:00.

Stará Boleslav

Spotkanie Benedykta XVI z młodzieżą (artykuł)

Podczas swej czterodniowej (26–29.09.2009 r.) pielgrzymki do Czech – papież Benedykt XVI, podobnie jak Jego Umiłowany Poprzednik (jak mówił o Janie Pawle II), w tym zaniedbanym religijnie kraju nie mógł nie spotkać się z młodzieżą. W Stará Boleslav 28.09. godz. 10:00 przewodniczył Mszy Świętej dla młodzieży.

Na zakończenie nabożeństwa Benedykt XVI przekazał młodzieży specjalnie przygotowane na tę okazję orędzie. Wcześniej, bo już w niedzielę 27.09., wygłosił przemówienie do środowisk akademickich, z którymi spotkał się na Zamku Praskim. Oczywiście jest fakt, że na to spotkanie przybyło wielu pielgrzymów z krajów

ze zdecydowaną przewagą pątników narodów ościennych. Wśród nich wiele grup z Polski. Dla Czechów obecność papieża była m.in. okazją do uczczenia Narodowej Pielgrzymki do miejsca męczeńskiej śmierci św. Wacława (świętego patrona Czech).

Spotkanie z papieżem Benedyktem XVI było głównym celem pielgrzymki autokarowej młodzieży i studentów Diecezji Warszawsko-Praskiej. Grupa licząca 34 osoby udała się na spotkanie z Ojcem Świętym pod opieką diecezjalnego duszpasterza akademickiego ks. Janusza Kopczyńskiego. Oprócz przeżyć duchowych pielgrzymka zawierała także elementy kulturopoznawcze: zwiedzanie Krzeszowa, Miasta Skalnego (Czechy) i czeskiej Pragi. Wszyscy wrócili pełni duchowych przeżyć i z nadzieją na kolejne spotkanie z papieżem najpóźniej na ŚDM w Madrycie w 2011 roku.

Centralna Droga Krzyżowa 2010 – 5 lat po...

Chociaż nigdy nie poznałem Jana Pawła II osobiście, to z jego postacią wiążą się bardzo bliskie i miłe wspomnienia. Wszystko tłumaczy moja czasami fizyczna bliskość podczas jego pobytów w Warszawie (1983 i 1987), kiedy jako harcerz 37 WDH im. Szymona Mohorta byłem członkiem kościelnych służb porządkowych. Później też byłem wytrwałym obserwatorem i uczestnikiem innych papieskich uroczystości, aby od wielu lat stać się fotoreporterem i reporterem wydarzeń religijnych i papieskich, jednocześnie broniąc prace: licencjacką (2006) i magisterską (2008), również o Papieżu.

Kiedy Jan Paweł II odchodził do domu Ojca, byłem studentem III roku Studiów Zaocznych Wydziału Politologii WSKiMS im. Jerzego Giedroycia w Warszawie. Wtedy to, mimo że kończył się Jego ziemski żywot, tak naprawdę zapalił się ponownie ogień wiary i miłości do Niego w wielu sercach. Mam nadzieję, że choć upłynęło już pięć lat, jeszcze w wielu sercach nie dogasł żar tamtych dni, kiedy był wśród nas.

Jacy jesteśmy po tych pięciu latach od Jego śmierci? Co się w nas zmieniło, co powinno się zmienić? Jak wygląda nasz kraj? Świat? Europa? Kościół? Rodzina?

Zbliżała się data 02.04.2010 r. – 5. rocznica Śmierci Jana Pawła II. Episkopat Polski ogłosił, że ze względu na wypadający tego dnia

Wielki Piątek, liturgicznie rocznicę śmierci JP-2 będziemy świętować 10 kwietnia. Dlatego część osób nie wiedziała, że tak naprawdę uroczystości rozpoczną się 27.03. Mnie, ponieważ jestem dość doświadczonej, coś podpowiadało, aby zwrócić na stronę organizatora. Dzięki temu mogłem wydrukować sobie pełen program okolicznościowych wydarzeń.

Ci, którzy tego nie uczynili, czekali na wyżej wspomniany dzień 10.04. Ja tymczasem wziąłem udział w przepięknym koncercie chóru CMJP2 w Archikatedrze św. Jana. Wiem to na pewno, że byłem jedynym dziennikarzem obecnym na tym doniosłym wydarzeniu. Świetna aranżacja i wykonanie utworów pasyjnych sprawiły, że koncert stał się prawdziwą uctwą duchową. Na zakończenie koncertu proboszcz Katedry podziękował chórowi i poinformował, że powstał on z potrzeby serc w trakcie „Odchodzenia do Domu Ojca” Jana Pawła II i jest kontynuacją Jego nauki. Podniosły charakter koncertu dał doskonały przedsmak czekających nas kolejnych tematycznych imprez.

Po wyjściu z Katedry obserwuję, jak wygląda Warszawa pięć lat po.... Idę pod ukochane miejsce JP-2 w Warszawie – kościół św. Anny. Mimo że kalendarz niedługo pokaże datę 02.04. pod cytatem „Szukałem Was...” (na kościele św. Anny) na razie nikt nie zapalił znicza, a przecież nie tak dawno palił się tu codziennie. „Na ziemi, gdzie z kwiatów krzyż...” pizzeria. Na Starówce króluje młodość.

Dziewczyny w mini spódniczkach, chłopcy na ogół w dresowych bluzach z kapturem. Jeśli chodzi o stroje, to są i tacy jak z żurnala z nieco przerysowaną elegancją, która też ma swój urok. Podziwiam dziewczęta w kwiatkach i wiązanych na różne sposoby chustach. Wygląda to bardzo ładnie, choć z drugiej strony to przebranie sprawia, że stają się aktorkami jednego wieczoru. Zaczarować, oczarować i zawirować swojego ukochanego.

Smutnym jest fakt, że ich słownictwo pozostawia wiele do życzenia. Inne obrazki to deskorolkowcy. Ktoś umówił się z dziewczyną pod Kolumną Zygmunta. Pod Zamkiem Królewskim w odległości ok. 50 metrów od siebie dwie dziewczyny rywalizują ze sobą o to, która ma lepszy sposób na ujarzmienie pochodni zakończonej płonącym ogniem.

Jutro Niedziela Palmowa, a tu zamiast wyciszenia atmosfera wielkiego festynu za sprawą zamieszania organizacyjnego, wyni-

kającego z jutrzejszego Warszawskiego Półmaratonu. Są osoby i instytucje, które za wszelką cenę chcą nas odciągnąć od spraw Pana Boga.

Pamiętam jeszcze ten wielki ogień wiary i miłości do Niego

Jest Wielki Piątek 2 kwietnia 2010 r. Dla mnie jak dla wielu milionów innych Polaków, a także dla katolików i chrześcijan na całym świecie, to nie tylko dzień Męki Pańskiej i śmierć Chrystusa na Krzyżu. Data ta przypomina mi o innej śmierci, wciąż tak samo bolesnej, gdy świat zamarł w jednej chwili, by zalać się strumieniami łez na wiadomość, że Jan Paweł II, Papież-Polak „Odszedł do Domu Ojca”, również 2 kwietnia, ale w roku 2005.

To już piąta rocznica, a ja czuję się dziś jak wtedy, jakbym znów stracił kogoś najbliższego. Wiem to na pewno, to On zmienił moje życie, to z Nim wiążą się moje największe przeżycia religijne oraz rosnąca potrzeba bliskości Boga, wiary, modlitwy. Z Jego postacią łączą się też moje wspomnienia minionych już lat. Wiele tłumaczy tu moja czasami fizyczna bliskość podczas Jego pobytów w Warszawie.

„Pobyt” to niewłaściwe słowo, Jan Paweł II był Pielgrzymem, jak zwykł o sobie mówić. Pielgrzymem do własnej Ojczyzny, do ziemi swoich Ojców, do Polski, którą miłował. Wielkim, niestrudzonym Papieżem-Pielgrzymem jak nazywał go świat.

Moje pierwsze z Nim spotkanie to rok 1983, gdy jako 17-letni chłopak, harcerz 37 WDH im. Szymona Mohorta, byłem członkiem kościelnych służb porządkowych Totus Tuus. Cztery lata później (1987) również służba porządkowa i dodatkowo sanitarna. Odtąd już zawsze jako wytrwały obserwator, ale przede wszystkim uczestnik wielu papieskich uroczystości, a z czasem jako fotoreporter i reporter doniosłych wydarzeń kościelnych, rzadziej politycznych. To z Nim właśnie, z ostatnimi latami Jego życia, z Jego śmiercią wiążą się moje osobiste wybory, gdy byłem studentem Studiów Zaocznych Wydziału Politologii WSKiMS im. Jerzego Giedroycia w Warszawie. Obie moje prace licencjacka i magisterska traktują o Janie Pawle II, co na świeckiej uczelni nawet dziś byłoby ewenementem.

Pamiętam jeszcze ten wielki ogień wiary i miłości do Niego płonący w wielu sercach, gdy kończył się Jego ziemski żywot. Widzę

jeszcze tysiące zapłakanych oczu wzniesionych ku niebu i słyszę błagalne słowa modlitw zanoszonych do Boga i Matki Bożej w intencji Papieża.

To już pięć lat myślę i dyskretnie rozglądam się z nadzieją, że upływ czasu nie wygasił w sercach mijanych przeze mnie ludzi żaru tamtych dni.

Jak pisałem wcześniej, jest piątek 2 kwietnia. Z ulgą stwierdzam, że warszawiacy nie zapomnieli o Janie Pawle II. W oknach domów, jak rok temu i jak przed pięciu laty, zapalają się świece. Płoną znicze ułożone na kształt krzyża. Migające światłem pamięci różnokolorowe lampki ustawiane są na ulicach i w miejscach kojarzonych z Ojcem Świętym. Niezliczone tłumy wiernych o skupionych twarzach, nie ukrywając wzruszenia podążają ulicami Warszawy, by wziąć udział w Centralnej Drodze Krzyżowej 2010 r.

Pogrążeni w modlitwie łączącej ich z ukochanym Papieżem nie zważają, że pada. To nic, że parasole ani nakrycia głowy nie chronią przed strugami deszczu.

On był z ludźmi zawsze, teraz oni są z Nim i dla Niego. Chcą tego. Po to tu przyszli, by wziąć udział w Drodze Krzyżowej, by uczestniczyć w procesji, którą otwiera niesiony przez studentów krzyż. Ten sam krzyż, który trzymał w dłoniach podczas swej ostatniej Drogi Krzyżowej Nasz Papież – Jan Paweł II. Przyszli tu dla Chrystusa, który cierpiał za nich i dla nich umierał na krzyżu. Przywiodła ich tu wiara w Boga i serdeczna pamięć nauk Ojca Świętego.

Pierwsza stacja tej szczególnej Drogi Krzyżowej ma swoją lokalizację na Placu Zamkowym, w pobliżu Zamku Królewskiego, dawnej siedziby królów polskich. Nabożeństwo rozpoczęło się o godz. 20:00 pod zasnutym mrokami nocy i deszczowymi chmurami niebem. Niesprzyjająca aura nie odstrasza jednak wiernych. Wielu z nich jest tu całymi rodzinami, nierzadko z małymi dziećmi, również w wózkach. Wręcz przeciwnie, padający deszcz zdaje się potęgować przeżywanie misterium Męki Pańskiej.

Trasa Drogi Krzyżowej wiedzie Krakowskim Przedmieściem, ul. Królewską do Placu Piłsudskiego, na którym już od godziny 16:00 płonie ogromny znicz upamiętniający rocznicę śmierci JP-2 i niezliczona ilość zniczy ustawianych przez wiernych. Tu też na dwóch telebimach wyświetlane są filmy wspominające osobę Jana Pawła II.

Na przedzie w procesyjnym szyku idą harcerki i harcerze z pło-
nącymi pochodniami, oświetlając drogę krzyżowi niesionemu przez
studentów, a tuż za nimi kardynał Józef Glemp z biskupem Piotrem
Jareckim, z biskupem polowym Wojska Polskiego Tadeuszem Pło-
skim i arcybiskupem Kazimierzem Nyczem, który przewodniczy
Drodze Krzyżowej. Czternaście stacji Drogi Krzyżowej, to czterna-
ście zmian grup, które kolejno niosą krzyż.

Na Placu Piłsudskiego dokładnie w godzinę śmierci Ojca Świę-
tego rozbrzmiały dźwięki „Ciszy”. Jak zwykle odruchowo stanąłem
na baczność, a przywiedziona melodią żałość i smutek ścisnęły gar-
dło i wilgocią przysłoniły oczy.

XII stację, w której „Jezus umiera na krzyżu” zainscenizowali
aktorzy scen warszawskich według pomysłu i w reżyserii Jerzego
Kaliny. Przestrzenna aranżacja, gra świateł i dźwięków w połącze-
niu z wymowną grą aktorów, wzbogacona pieśniami w wykonaniu
Chóru Centrum Myśli Jana Pawła II, chwyciła za serce, wzruszała
do głębi duszy.

Te szczególne doznania potęgował fakt, że do rzeszy wiernych
dołączył Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Lech Kaczyński wraz
z małżonką Marią, w asyście Władysława Stasiaka. W chwili oczeki-
wania na rozważania treści tej Stacji, tuż przed jej inscenizacją,
oczami reportera nie pominąłem momentu, gdy troskliwa jak zawa-
sze Pani Prezydentowa subtelnie poprawiała mężowi kołnierz
u płaszcza. Daleko mniej subtelnie, nie bacząc na podniosłość chwili,
chwytali okazję fotoreporterzy, strzelając fleszami, jakby każdy
miał zwarcie w tym bezdusznym urządzeniu.

Ja zrobiłem tylko kilka pamiątkowych zdjęć. Chcę tu dodać, że
choć miałem w kieszeni legitymację prasową, to w sektorze „0”
znalazłem się dość przypadkowo. Uznając to za Dar Boży, zdecydo-
wałem zachować się z należytą godnością i nakazem etyki dzienni-
karskiej.

Wtedy nawet przez myśl by mi nie przeszło, że tu po raz ostatni
zobaczyłem parę prezydencką i znanego mi osobiście ministra Sta-
siaka wśród żywych. Oprócz pary prezydenckiej obecni byli też
przedstawiciele władz samorządowych z Prezydent m. st. War-
szawy Hanną Gronkiewicz-Waltz.

Wymienione osobistości dołączając do wiernych uczestniczyły
w kolejnych stacjach Drogi Krzyżowej, która kończyła się przed

Kościółem św. Anny na Krakowskim Przedmieściu. Z tego miejsca abp Kazimierz Nycz skierował do wiernych m.in. pasterskie słowa zachęty do uczestnictwa w mającej się odbyć za dwa miesiące beatyfikacji ks. Jerzego Popiełuszki.

Po błogosławieństwie Prezydent RP wraz z żoną i towarzyszącymi mu osobami udali się do wnętrza kościoła św. Anny w celu nawiedzenia i modlitwy przy Grobie Pańskim, w czym mogli uczestniczyć, po opuszczeniu kościoła przez polityków, również pozostali wierni.

Powrót do domu

Dziwnym trafem, jak na noc z piątku na sobotę, docieram w ekspresowym tempie do ul. Marsa. Muszę tylko jeszcze pokonać trud przejścia na przystanek autobusowy, co związane jest z budową estakady Trasy Siekierkowskiej. Nieubłaganie zbliża się północ. Nocny autobus mam dopiero za godzinę, o taksówce z pustą kieszenią nie może być mowy. Nieco zrezygnowany zauważam, jak tuż za przystankiem zjeżdża na chodnik chyba około 20-letnie czarne BMW. Z samochodu wychodzi chłopak, ma raczej nie więcej niż 20 lat i od razu z tekstem do mnie: „Cześć mordo”. Spokojnie zagajam: „Nie jedziecie czasem do Wesołej?”. „Nie mordo, jedziemy na Wygodę” odpowiada i stojąc plecami do jezdni załatwia nieskrępowanie swoją fizjologiczną potrzebę.

Odwracam wzrok i zauważam, że w samochodzie siedzą jeszcze dwie dziewczyny, a za kierownicą inny chłopak. Wiadomo musi być do pary... Zapraszają mnie do samochodu. Decyduję się niechętnie i nieco opieszale, bo nie wiem, gdzie mogą mnie wywieźć. Mimo to wsiadam do auta. Z zachowania dziewcząt domyślam się, że są zdecydowane na wszystko. Chociaż wyraźnie są na rauszu, to zachowują pełną kulturę. Cały czas w nawiązującej się rozmowie zwracają się do mnie „per pan”.

Nie byłbym mężczyzną, gdybym nie zauważył, że dziewczyny są bardzo ładne i elegancko ubrane. Ogarnia mnie przy tym ulga, że nie sterczę samotnie na przystanku i wcześniej będę w domu. Jednak gdy na prostej drodze kierowca wyduśza z auta, ile mu fabryka dała, czuję się jak kamikadze i po trosze zaczynam żałować swojej decyzji skorzystania z podwózki. Drugi z chłopaków, jakby czytając w moich myślach, krzyczy nagle do prowadzącego samochód: „Ty baranie nie jedź tak szybko, rozwalisz samochód mojej mamy!”.

Na te słowa kierowca zaczyna płynnie zwalniać, co dla odmiany wywołuje we mnie wrażenie łagodnego lądowania. Już spokojny nawiązuję rozmowę. Jedna z dziewcząt proponuje mi szklaneczkę wódeczki (przypominam, że jest Wielki Piątek). Odmawiam, rzecz jasna, nie tłumacząc na razie dlaczego.

Druga nieco egzaltowana woła do chłopaka: „Piosenkę, piosenkę, kochanie, puść panu piosenkę”. Nieco naiwnie oczekuję jakiegoś przebojowego romansidła Beatlesów czy Dirty Dancing. Tymczasem z głośników popłynęła całkiem nowa wersja *A będziesz mój, mój, tylko mój...* Teraz dziewczyny dyskutują między sobą, który będzie jej, a który drugiej. No tak, przemyka mi przez głowę myśl, że czasy się zmieniły. Kiedyś, za moich czasów, to chłopcy starali się o względy dziewcząt i jak dobrze pamiętam nie chodziło im od razu o łóżko.

Patrząc na tych młodych ludzi przez pryzmat mojej dorastającej córki, a i ja też nie jestem taki stary, bo kończę w tym roku dopiero mickiewiczowskie 44 lata życia, duchem – lat 20. Z rozmowy dowiaduję się, że studiują politologię. Zapala się czerwona lampka – to kumple po fachu, myślę i teraz ja odkrywam karty, że jestem dziennikarzem. Pytają, czy gdzieś piszę, czy mam w mediach jakieś znajomości i czy mogę im załatwić pracę?

Udzielam im zatem dobrych rad na podstawie własnego doświadczenia i życiowych wskazówek przekazywanych mi przez moich profesorów. Moje opowiadanie wyraźnie ich zaciekawia. Chętnie słuchają, jak wydeptywać ścieżki, żeby można było publikować w jakiś redakcjach. Widzę, że jednak ich zawiodłem, wyczuwam, że liczyli raczej na jakiś telefon do naczelnego i na pracę już od jutra.

Tymczasem (jak uczył mnie Marek Kusiba) do dobrego dziennikarstwa nie tędy droga. Dziennikarz, jak mówił Marek, musi być ciekawy świata, musi mieć swój temat i zanim coś komuś opowie, powinien opisać to, co ma to powiedzenia. Musi obserwować, notować, fotografować.

Zatapiam się na moment we własnych myślach. Wreszcie mijamy tablicę „Wesoła”. Łapię oddech pełną piersią. Było nie było, jeszcze kilka chwil i wysiadam przy swojej ulicy. Dziękuję przygodnym znajomym, żegnam się życząc im szczerze sukcesów w zawodzie, chociaż nie wydaje mi się, aby podjęli wyzwanie bycia dziennikarzem. Z żalem myślę, że dla nich, podobnie jak i dla wielu ich

rówieśników, metoda szukania pracy to wysyłanie e-mailem CV, a zainteresowanie podjęciem pracy to problem pracodawcy: „weźmie mnie czy nie, to jego problem”.

Jechałem tam z radością, a wracam ze smutkiem

Żyjąc w ciągłym biegu i dumny, że jako jeden z nielicznych dziennikarzy odkryłem rozpoczęcie warszawskich uroczystości rocznicowych Jana Pawła II już w dniu 27.03.2010 r., skonstatowałem nagle, że nieco niezauważalnie minął mi 08.04.2010 r. (rocznica pogrzebu JP-2). Pochłonięty byłem udziałem w pozostałych wydarzeniach organizowanych przez Centrum Myśli JP-2 i przygotowaniami do wyjazdu do Krakowa na tęskniący mi się od czasu multimedialnej kanonizacji (w 2000 r.) św. siostry Faustyny w Łagiewnikach udział w Święcie Miłosierdzia Bożego.

Jak wielu katolików w pierwszą niedzielę po Wielkanocnej, przypadającą w roku 2010 na dzień 11 kwietnia, udałem się wraz z żoną Małgosią i córką Sylwią do Krakowa, aby wziąć udział w obchodach tego Święta. Tym chętniej wyruszałem w kierunku Małopolski, że krakowskie obchody 5. rocznicy Odejścia do Domu Ojca Jana Pawła II właśnie wyznaczono na 10 i 11 kwietnia.

Popołudniowym ekspresem w piątek 9.04.2010 r. dotarliśmy na dworzec Kraków Główny wieczorem. Gosia i Sylwia pojechały do mamy-babci do Skawiny, a ja ulokowałem się u wujka Tadeusza Siuty w mieszkaniu przy ul. Kazimierza Wielkiego, tak aby mieć lepszy dojazd do miejsc świątecznych uroczystości. Jeszcze przed wyjazdem z Warszawy zgłosiłem w Sanktuarium chęć otrzymania karty akredytacyjnej, którą mam odebrać w sobotę.

Jest piątkowy wieczór 09.04.2010 r. Na razie wszystko dzieje się sielsko, anielsko, radośnie. Debatujemy z wujkiem Tadeuszem do późnego wieczora. Rozmawiamy o rodzinie, polityce, o marzeniach. Około godz. 23:00 wujek wiedząc, że mam za sobą męczącą podróż, zagania mnie, trochę jak małe dziecko, do snu.

My Polacy zdążyliśmy się już podnieść z naszej pierwszej wielkiej powojennej tragedii – śmierci Naszego Ojca Świętego. Teraz jesteśmy bardziej pogodzeni z losem, momentami radośni, bo wiele mówi się o wyniesieniu na ołtarze Jana Pawła II. Jest sobota, 10

kwietnia 2010 roku około godz. 7:00 rano. O poranku nic nie zapowiadało zbliżającego się narodowego nieszczęścia.

Poranna toaleta, świąteczne prasowanie koszuli – w dniu takim jak Święto Miłosierdzia trzeba wyglądać elegancko. Tego dnia niemal cały czas w przemierzaniu Krakowa towarzyszył mi brat Basi Siuty-Tokarskiej – Jurek Mikoś. Ja, ponieważ chciałem poczuć się bardzo ważny jeszcze przed wyjściem z domu, założyłem na szyi legitymację prasową FOTO-KAI.

Teraz już jako fotoreporter pełną gębą ruszyłem wraz z Jurkiem z zamiarem rejestrowania wszystkiego, co miało się dziś wydarzyć w związku z radosnym Świętem Miłosierdzia Bożego i 5. rocznicą Odejścia do Domu Ojca Jana Pawła II.

Około godz. 9:00 dotarliśmy na przestawną ul. Franciszkańską 3 pod papieskie okno. Żyjąc w niewiedzy i szczęśliwy, że jestem w Krakowie, starałem się wykonać jak najstaranniej fotografię Pałacu Arcybiskupów Krakowskich – miejsce odpoczynku dla przybywających papieży. Ponieważ postanowiłem sfotografować całość budynku, cofnąłem się, aby objąć obiektywem całą pałacową perspektywę. Na przekór moim planom w osi obiektywu pojawiło się czterech panów palących papierosy obok dość niepozornego samochodu regionalnej telewizji.

Podszedłem do nich, aby ich poprosić, żeby umożliwili mi realizację mojego zamierzenia. Jeden z nich wziął w rękę moją legitymację prasową i przez chwilę obracał ją w palcach. Pytał mnie jakby na potwierdzenie: „To ty z KAI-u jesteś?”. Odpowiadam, że tak. „To zawiadom waszą centralę w Warszawie, że odwołujemy wszystkie papieskie koncerty”. Pytam ich: „Co? Jak? Dlaczego?” (jeszcze mając nadzieję, że przyczyna tkwi w krakowskim braku wody, energii elektrycznej, czy niedyspozycji artystów?). Na moje nieświadome pytania pada jedno ich rzeczowe: „To ty nie wiesz?”. Pytam dalej: „Co się stało?”. Drugi z nich mówi do mnie: „Samolot prezydencki rozbił się pod Smoleńskiem. Nikt nie żyje: prezydent Lech Kaczyński i jego żona, Władysław Stasiak i cała delegacja. W sumie zginęło 96 osób”.

Kiedy już wymieniał pierwsze nazwiska ofiar, zaczynam odczuwać, że nogi same mi się uginają, a łzy płyną do oczu. Szybka myśl o tragicznej sytuacji Barbary Stasiak, żony Władysława, z którą mówiąc sobie „dzień dobry” mijamy się każdego dnia pracy w NIK-u.

Ci, co zginęli, mieli wielu przeciwników, którzy ich nie szanowali, ale są całe rzesze Polaków, które autentycznie ich kochają. Część z nich była mi niemal osobiście bliska. Co teraz? Gdzie pójść? Co robić? Jestem w Krakowie. Może wracać do Warszawy? Jestem bezradny, nie mogę podjąć żadnej decyzji. Po chwilach wielkiej rozpaczyny nad tragicznym losem czołowych osobistości polskich elit politycznych, stojąc na placu przed Pałacem Arcybiskupów Krakowskich próbuję zebrać myśli. Nieświadomie w wyobraźni zaczynam tworzyć w głowie obraz miejsca tragedii. Widzę kawałki samolotu, dym, jakiś ogień, ale to tylko wyobrażenia. Podświadomie też zaczyna mi się wydawać, że to, co widzę, to jakiś wcześniej oglądany amerykański film. Sam sobie się dziwię, bo wydaje mi się, że już coś podobnego widziałem wcześniej. Otwieram oczy i staram się logicznie myśleć.

Teraz już wiem, że w związku z tragedią będę miał również dodatkowe obowiązki służbowe, które zawsze są dla mnie priorytetowe, a teraz wymagają jeszcze większej odpowiedzialności i staranności.

Dla mnie to nie był tylko Prezydent RP Lech Kaczyński, ale prezydent, z którym się identyfikowałem, a już na pewno nie tylko Władysław Stasiak, ale Pan Władysław – mój rówieśnik, przyjaciel i życzliwy człowiek. Kiedy przyjeżdżał do NIK-u zawsze dla każdego miał ciepłe słowo powitania i serdeczny uścisk dłoni. Nawet gdy był szefem Kancelarii Prezydenta RP, kiedy przyjeżdżał do NIK-u, spotykając mnie na portierni zawsze pytał, co słyhać u mojego ojca?

Pan Stasiak kulturę i życzliwość dla drugiego człowieka miał wypisaną na twarzy. Zawsze otwarty, miły i sympatyczny, nawet pełniąc najwyższe funkcje w państwie, nigdy się nie wywyższał. To tu w NIK-u Pan Władysław był podopiecznym mojego ojca, kiedy rozpoczynał pracę w Departamencie Obrony Narodowej. Teraz już nie ma Go wśród nas. Co teraz będzie?

Rozległ się mój telefon komórkowy. To naczelnik mojego wydziału. Po zrobieniu wstępnych ustaleń spytałem go, czy mam wracać do Warszawy. Wobec wzajemnych zapewnień o podjętych przygotowaniach do żałoby narodowej uzyskuję odpowiedź o możliwości pozostania w Krakowie.

Zaczynają się SMS-y:

B.T 10.04.2010 – godz. 10:18 „Słyszałeś, że Prezydent Polski nie żyje? Katastrofa lotnicza”.

E.W. – 10.04.2010 – godz. 16:56 „Bądź naszym reporterem, napisz kilka słów, proszę ze zdjęciem. E”.

E.W. – 10.04.2010 – godz. 16:56 „Czy będziesz dzisiaj o godz. 17:30 na mszy w Katedrze na Wawelu? E.”.

K.K. – 11.04.2010 – godz. 9:50 „Dzwoniłam, by się dowiedzieć, jak sobie dajesz radę po tragedii. Napiszę sms-a. Jedziemy na mszę, będę w domu wiecz. K.”.

Po kolejnych chwilach ogromnego smutku podjąłem decyzję, żeby udać się na krakowski Rynek. Tu wiele osób płacze, ale są i tacy, którzy uważają tę wiadomość jako za jedną z wielu tego dnia. Śmieją się, piją alkohol, słuchają muzyki dyskotekowej.

Ci, co płaczą, to nie tylko rodziny poległych. To ich naród, który teraz mierzy się z nieopisanym bólem. Jest wcześniej rano, dochodzi godz. 10:00. W kościele Mariackim tłum ludzi, słyszę: „Wieczny odpoczynek racz im dać Panie...”.

Po chwili modlitwy wychodzę, kieruję się w stronę sklepu z dewocjonaliami. Idąc mijam smutne osoby, które za pośrednictwem telefonów komórkowych wymieniają między sobą informacje na temat katastrofy. Wchodzę do sklepu z pamiątkami katolickimi – wszystkie sprzedawczynie mają spuchnięte od łez twarze. O nic nie pytam, wychodzę, zakrywając napływającą łzami swoją twarz.

Niebo nad krakowskim rynkiem też płacze. Co i rusz spadają z nieba rześiste krople deszczu. Zdarza się, że czasami wyjdzie słońce, ale ono dziś już nikogo nie ucieszy. W strugach deszczu wsłuchuję się w smutniejszy niż zazwyczaj dźwięk hejnału z Wieży Mariackiej.

Po chwili zastanowienia postanawiam udać się do Łągiwnickiego Sanktuarium, aby w Godzinie Miłosierdzia połączyć się duchowo z całą Polską, a nawet światem.

W Bazylice tłumy wiernych, jeszcze przed drzwiami wejściowymi przekazują sobie te coraz smutniejsze informacje. Wchodzę do bazyliki, słowo wstępne do Godziny Miłosierdzia wygłasza ojciec Emilian Sigel (pallotyń).

Nawiązuje on do zbieżności Wigilii Święta Miłosierdzia sprzed 5 lat i Odchodzenia do Domu Ojca Jana Pawła II. Wspomina jak Ojciec Święty się cieszył, że w kaplicy sanktuaryjnej będzie wieczysta adoracja Najświętszego Sakramentu.

Po modlitwie Koronki rozpoczyna się Msza Święta pod przewodnictwem rektora sanktuarium bp Jana Zająca w intencji ofiar katastrofy. Kończy się ona około godz. 17:00, dlatego raczej marnie oceniam swoje szanse na dotarcie komunikacją miejską na rozpoczynające się o godz. 17:30 w Katedrze na Wawelu kolejne nabożeństwo. Dlatego decyduję się na przejazd taksówką.

Staje się ona zresztą moim jedynym środkiem transportu w tych smutnych dniach. Jak przystało na warszawiaka w Krakowie trochę się targuję z kierowcami, ale i tak dociera do mnie, że mimo to staję się bankrutem. No, ale przecież sprawa, dla której to robię, wymaga poświęcenia.

Przewożący mnie na Wawel kierowca robi naprawę wszystko, aby zawieźć mnie na czas. Niestety, na ostatnim odcinku powstrzymał nas ok. 1,5 km korek. Mimo to udało się pokonać tę trudność i dojechać do samej bramy Wawelu. Dalej i tak nie można by było wjechać ze względu na blokadę policyjną i przybywające cały czas tłumy ludzi. Wewnątrz dziedzińca również nieprzebrane tłumy wiernych zmierzają w tym samym celu, aby oddać hołd tym, którzy zginęli w sobotniej katastrofie. Dość późne zakończenie nabożeństwa w Łagiewnikach sprawia, że docieram do siedziby królów polskich w chwili rozpoczęcia Mszy Świętej.

Ze względu na dużą liczbę wiernych stwierdzam, że nie mam szans dostać się do Katedry, jestem dopiero na końcu nieprzebranych tłumów, a muszę dotrzeć do wnętrza. To moje nieciekawe położenie sprawia wbrew logice, że zaczynam myśleć racjonalnie. Po wstępnym rozeznaniu i poszukiwaniu pomocy w dotarciu do celu u policjantów i harcerzy właściwie nic się nie zmienia.

Nabożeństwu przewodniczy ks. kardynał Stanisław Dziwisz. Są tu tysiące wiernych, dziesiątki dziennikarzy, samorząd Krakowa, przedstawiciele służb mundurowych. Kardynał Dziwisz również nawiązał do zbieżności okoliczności i daty tego tragicznego wydarzenia. Mówi również w tym kontekście o Papieżu Polaku.

W czasie Mszy Świętej zawstydziłem się za innych jako dziennikarz-fotoreporter, bowiem zauważyłem pewną panią, która siedząc w pierwszej ławce i wspierana pod ramię przez swoją ok. 20 letnią córkę płakała razem z nią rzewnymi łzami.

Ci moi koledzy po fachu strzelają w nie flaszami, ile wlezie (jak na weselu) z dołu, z góry. Wreszcie jakiś pułkownik Wojska Pol-

skiego zlitował się, wstał i pogroził jednej takiej hienie palcem tak, że ten schował się jak mysz w kąciку, między dwoma stopniami schodów ołtarza.

W trakcie komunii świętej pytam się jednego z nich: „Kim jest ta pani?“, a on mi odpowiada: „No to jest ta żona płk., nie, nie to jest wdowa po płk. Kwiatkowskim...” (nie wiedział, że Kwiatkowski był generałem). Myślę wtedy: ta kobieta ma taki dramat, a wy tu sobie festyn urządzacie! Panie Boże, nie chcę być dziennikarzem, już na pewno nie fotoreporterem – dlatego że to takie hieny.

Kardynał Dziwisz po zakończeniu mszy św. podchodzi do tej wdowy i córki generała, przekazując uścisk dłoni, który wszystko wyraża. Czyni podobny gest wobec rodzin pozostałych ofiar tej tragicznej wyprawy oraz żołnierzy, którzy utracili swoich dowódców.

Są łyzy i solidarność cierpienia. Następnie po zakończeniu Eucharystii kieruję się w stronę przystanku tramwajowego z myślą o jechaniu do domu wujka Tadeusza, gdzie się zatrzymałem na czas swojego pobytu w Krakowie.

Po opuszczeniu terenu zamkowego zauważam, jak na placu Ojca Studziennego, gdzie stoi Krzyż Katyński, gromadzą się pod telebimem zjednoczeni w bólu mieszkańcy Krakowa. Przy krzyżu – stoi po prawej i lewej stronie warta honorowa składająca się z czterech formacji służb mundurowych. Płoną setki zniczy.

Młodzi ludzie w płaczu i żałobie są dla siebie mili, młodzieńcy przytulają swoje obolałe ukochane narzeczone. Na telebimie wciąż informacje o katastrofie.

O godz. 19:30 rozpoczyna się specjalne wydanie Wiadomości. Kiedy spiker czyta listę ofiar, co chwila ktoś wybuchą płaczem. Ja też. Są ojcowie ze swymi 2–3 letnimi pociechami, ale są i mamy z niemowlakami owiniętymi w śpiworki i koce. To o tym Prezydencie za kilka lat będą się uczyć w szkole.

Dla nich to pierwszy prezydent ich pokolenia. Zaczynam analizować – nie tak dawno robiłem zdjęcia Lechowi Kaczyńskiemu na warszawskiej Centralnej Drodze Krzyżowej. Pomyślałem wtedy, jak ten Nasz Prezydent jest biedny – bo oprócz ważnych spraw państwowych tyle musi znieść błysków fleszy. Pani Maria tak wpa-trzona w swojego męża, dumna i cały czas zakochana.

Kiedy przed wejściem na wizję TV poprawiała mu kołnierz u płaszczu, uznałem tę chwilę za tak intymną, że wyłączyłem aparat.

Pan Władysław Stasiak, tak zawsze miły i sympatyczny wobec drugiego człowieka. Jak ciężko zrozumieć wolę Boga. Pustka...

Jeszcze chwilę trwam na modlitwie na placu Ojca Studziennego. Przed Wiadomościami pojawia się tu oddział ułanów. Ich rotmistrz po wydaniu wstępnej komendy mówi do nich: „Ułani!. 70 lat temu zginęła w Katyniu elita inteligencji polskiej. Dziś rano pod Smoleńskiem zginął kwiat polskich elit politycznych” – i od razu *Ojczy nasz..., Zdrowaś Mario...* Są to chwile tak wzruszające, że nie sposób powstrzymać łez. Mniej więcej co godzinę pod Krzyżem Katyńskim następuje zmiana warty. Przybywają kolejne grupy osób zapalających znicze, które zajmują coraz większą powierzchnię placu. Kolejne lampiony zapalają małe dzieci, fotografowie rejestrują to najchętniej. Bo czyż może być coś bardziej wzruszającego niż małe dziecko ledwo co rozumiejące z tego, co się stało?

Jednak wystawieni na ciężką próbę ich rodzice tłumaczą im cierpliwie, co się wydarzyło. Kilkadziesiąt minut spędzonych na tym spontanicznym zgromadzeniu oraz udział w kilkugodzinnych nabożeństwach i w mszach: łagiewnickiej i wawelskiej sprawiają, że zmęczenie daje znać o sobie.

Trochę wbrew chęci pozostania rozsądek bierze górę nad sercem, postanawiam udać się do mieszkania Siutów na nocleg, bo wiem oswojam się z myślą, że jutro też czeka mnie ciężki dzień.

Znamienne, że kiedy się przemieszczam po Krakowie podążają za mną uzupełniane (podawane z ust do ust, a wcześniej zasłyszane) wiadomości. Czy to z radia, telewizji, czy przez przekaz ustny od spotykanych tego dnia mijanych osób, które tak jak ja nie mogą pogodzić się z tragedią smoleńską.

Co ciekawe, kiedy poruszam się taksówkami, również z ich kierowcami dzielimy się świadectwem o ofiarach katastrofy. Jedni z nich autentycznie dzielają ból społeczeństwa. Inni zmieniają swoje poglądy jak chorągiewka, wcześniej badając, z jakim pasażerem mają do czynienia. Jest to bardzo przykre dla mnie uczucie, ale staram się już raczej o tym nie myśleć.

Niedziela 11.04.2010 r. Święto Miłosierdzia.

To właśnie dlatego znalazłem się w Krakowie. Jest niedziela 11.04.2010 r., zmęczony wczorajszym uczestnictwem w smutnych uroczystościach wstaję później niż zwykle. Szykuję się na mszę

w łagiewnickim sanktuarium. Głównym punktem dnia jest niedzielna Msza Św. o godz. 10:00 koncelebrowana przez dwóch kardynałów: Stanisława Dziwisza i Franciszka Macharskiego oraz trzech biskupów, planowana pierwotnie jako świąteczna i radosna.

Ze względu też na Święto Miłosierdzia zaplanowano bezpośrednią transmisję telewizyjną. Teraz, ponieważ z powodu katastrofy pod Smoleńskiem zmienił się charakter i znaczenie nabożeństwa, wszystkie oczy Polaków zwrócone są na Kraków. Jednak mimo tragedii program uroczystości realizowany jest zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami. Oczywiście odwołano wszelkie radosne koncerty na cześć Jana Pawła II, a nabożeństwa mają charakter podniosły, poważny i żałobny. Wszyscy koncelebranci nawiązują do nieprzypadkowej zbieżności katastrofy prezydenckiego samolotu z 5. rocznicą śmierci Jana Pawła II, Święta Miłosierdzia i 70. rocznicą mordu katyńskiego.

Nawołują oni, aby ta śmierć nie została zmarnowana. Po zakończeniu głównego nabożeństwa, z racji mojej obecności w sektorze „0” mam możliwość, wprawdzie z pewnymi trudnościami, towarzyszenia kardynałowi Dziwiszowi w powrocie przez Bazylikę do drzwii zakrystii.

Przemieszczając się tam kardynał gładzi po głowach małe dzieci, a starsi wierni całują kardynalski pierścień. Po raz drugi w moim życiu zatrzymał się czas (pierwszy raz, kiedy odchodził do Domu Ojca Jan Paweł II). Powtarzam sobie w myślach: „Jacek wracaj na Ziemię, Jacek wracaj na Ziemię...”. Mimo iż mam nieodpartą chęć usłyszenia jeszcze raz aksamitnego głosu siostr zakonnych podczas nabożeństwa Godziny Miłosierdzia, wiem, że niestety życie jest brutalne – muszę wracać do wujka Tadeusza. Pakować plecak i jechać na dworzec kolejowy, bo inaczej nie zdążę na pociąg.

Ruszam na ul. Jana Kazimierza – szybkie pakowanie, kolacja i wyjazd na Dworzec Główny. O godz. 17:30 spotkałem się tam z Gosią i Sylwią, weszliśmy do wagonu ekspresu IC godz.18:14 do Warszawy, dziwnym trafem – bezprzedziałowego. Siedzenia rozmieszczone były w rzędach po cztery tyłem do kierunku jazdy.

Po chwili zaczynam liczyć wzrokiem w przybliżeniu miejsca siedzące, jest ich około setki – to tyle, ile w tym nieszczęsnym samolocie. Splot zdarzeń sprawia, że następną moją myślą jest chęć cofnięcia „tego filmu”. Powie ktoś, że naginam fakty, może i tak, ale

kiedy zamykam oczy – za każdym razem pojawiają mi się żałobne przebitki z ekranów telewizyjnych.

Odtwarzam również w pamięci wydarzenia, w których brałem udział w Warszawie od 27.03 do 08.04 i od 09.04. do 11.04. w Krakowie. Jechałem tam z radością, a wracam ze smutkiem, który jest wynikiem dopadającej mnie traumy z powodu katastrofy prezydenckiego samolotu.

Podróż minęła spokojnie, niemal każdy z pasażerów ważył każde wypowiedziane słowo, chwilami panowała względna cisza.

W podróży zapoznając się z małżeństwem Japończyków, z którymi próbuję się dogadać tym moim „small English Talk²⁰”. Nasz pierwszy etap powrotu kończy się na dworcu Warszawa-Centralna o godz. 20:45. Tu czeka na nas w samochodzie mój tata Andrzej Kalinowski.

Decyduję, że Gosia i Sylwia wracają do domu, a ja jadę do gmachu NIK-u²¹. Po przybyciu na dziedziniec z daleka wyczuwam żałobną atmosferę, która towarzyszy mi od sobotniego poranka. Wchodzę przez drzwi, które często przekraczałem jako prezes NIK – pan profesor Lech Kaczyński, pan Władysław Stasiak – jako wicedyrektor, pan Aleksander Szczygło – jako szef Gabinetu Prezesa NIK, pan Sławomir Skrzypek – jako inspektor kontroli państwowej (oni wszyscy zginęli w katastrofie pod Smoleńskiem).

Jest niedziela 11.04.2010 r. – zbliża się godz. 21:00, gdy przekraczam próg budynku. Dominuje tu skupienie i atmosfera pracy skierowanej na przygotowanie żałobnych dekoracji. Mimo że jest to dzień wolny, przyszło w tym celu około 10 osób. Ja też staram się trochę pomagać. Tworzona jest dekoracja, oczekujemy na kwiaty, oglądamy historyczne fotografie.

Jeszcze przed wyjazdem z Krakowa dowiadujemy się z TV o przylocie do Warszawy trumny z ciałem Prezydenta RP. Wobec kończącego się mojego pobytu w NIK – około 22:00 dość nieoczekiwanie przychodzi mi do głowy pomysł pojechania na Starówkę. Układam według przewidywanych możliwości plan dotarcia najpierw od strony pl. Bankowego, pl. Piłsudskiego, później Krakowskiego Przedmieścia – do Pałacu Prezydenckiego.

²⁰ (z ang.) słaba znajomość języka angielskiego.

²¹ Najwyższa Izba Kontroli.

Sam się dziwię, że teraz właśnie przychodzi mi do głowy ten pomysł. Domyślam się, że to Duch Święty kieruje moimi działaniami w miejsca, w których koncentrują się żałobnicy. Zamawiam taksówkę pod NIK i tym sposobem dojeżdżam od strony pl. Bankowego pod Teatr Wielki. Dalej przejazdu nie ma – blokada policyjna, jak na przyjazd papieża.

Ponieważ jestem bardzo blisko pl. Piłsudskiego, ustalam w głowie marszrutę mojej dalszej dzisiejszej „Drogi Krzyżowej”. Pierwszą warszawską moją Stacją jest Grób Nieznanego Żołnierza. Tu chodzą grupami starsi i młodszy, niewiele mówią. Znow mnóstwo zniczy o różnych kształtach: krzyży, serc itp. pod postumentami z metalowymi zniczami, które też płoną. Jest to, można by rzec, przedpole Pałacu Prezydenta RP. Jakże inaczej dzisiaj wygląda flaga narodowa, chyba po raz pierwszy odczuwam prawdziwą dumę, że jestem Polakiem.

Po jeszcze kilku obserwacjach i modlitwie około godz. 23:00 zaczynam zmierzać w kierunku Krakowskiego Przedmieścia. Po drodze mijam pomnik Marszałka Józefa Piłsudskiego i budynek Ordynariatu Polowego Wojska Polskiego, gdzie do niedawna piastował swój urząd biskup polowy Tadeusz Płoski. Tu też znicze, zaczynam mieć smutne wrażenie, że Warszawa stała się jednym wielkim grobowcem. Mijani przeze mnie ludzie są zamyśleni, skupieni i rozmordleni. Wreszcie docieram na zasłane zniczami Krakowskie Przedmieście.

Przy Pałacu Prezydenckim od Hotelu Bristol to już ocean zniczy. Znicze, kwiaty, zdjęcia, żałoba. Harcerze, straż miejska, policja – pilnują porządku. Na podestach zainstalowały swoje stanowiska stacje TV z kraju i zagranicy, aby na żywo transmitować przebieg żałoby w Warszawie.

Trwam tak do północy na modlitwie, zamyśleniu. Staram się zapamiętać dla przyszłych pokoleń: zgromadzonych tutaj ludzi, zdjęcia, kwiaty, budynki, które utraciły swoich szefów i przywódców. Znow jest solidarność, ludzie dzielą się smutkiem z często nieznanymi osobami.

Pytam się siebie i Pana Boga: „Czy to oznacza, że będziemy lepsi dla siebie, ale po śmierci Jana Pawła II też mieliśmy być i co?”. Parę dni i znow bagno. Teraz też robię sobie nadzieję, a najbardziej mnie boli, że niewierzący mają rację... Pytanie o nasze sumienia

towarzyszy mi na każdym kroku w Krakowie i w Warszawie, jak zastanawialiśmy się nad tym samym po śmierci Jana Pawła II.

Przed Pałacem Prezydenta RP trwam do północy jeszcze mając nadzieję na oddanie hołdu przed trumną zmarłego Prezydenta. Jednocześnie rozmyślając o tragedii w modlitwie i zamyśleniu obserwuję osoby, żałobne rekwizyty.

Około godziny 1:00 w nocy w poniedziałek (12.04.2010 r.) dostrzegam, że przy jednej z bram ustawiają się ludzie w szerokiej kolejce. Początkowo nie wiedziałem, w jakim celu oczekują te osoby. Po kilkunastu minutach okazało się, że pod pałacowymi arkadami zostały wyłożone księgi kondolencyjne, do których można było dokonać wpisu, którego również w imieniu mojej rodziny dokonałem. Potem opuściłem dziedziniec, na którym byłem pierwszy raz w życiu, szkoda tylko, że w tak tragicznych okolicznościach.

Jest dzień 14.04.2010 r.

Trwa żałoba narodowa. Mieszkańcy Warszawy i pracownicy tujejszych instytucji, a szczególnie tych, z których zginęli ich pracownicy i szefowie, pogrążeni są w głębokim smutku.

Mając niezbyt miłe wspomnienia z weekendu w Krakowie, trochę bez przekonania decyduję się na wyjście na trasę przejazdu żałobnego konduktu. Postanawiam usytuować się na kładce nad Trasą Łazienkowską na wysokości Klubu Sportowego „Skra”. Chęć oddania hołdu przewożonym do Hali Torwaru ofiarom tragedii powoduje, że na trasie konduktu zgromadziło się tysiące ludzi pogrążonych w smutku.

Na kładce stoję obok pozostałych fotoreporterów i kamerzystów TVP. Dzięki tym drugim mam podgląd na bezpośrednią relację przesyłaną do domowych odbiorników. Mam też na bieżąco relację o przebiegu uroczystości na lotnisku wojskowym. Przy odbiorze tego jest mi podwójnie zimno. Raz ze względu na dramatyzm tej całej sytuacji, a dwa z powodu niesprzyjającej aury i silnego wiatru szczególnie doskwierającego na wysokości, gdzie się znajdujemy. Pogoda jest tak brzydka, że po prostu marzniemy.

Około godz. 18:00 kamerzysta TVP, który też na słuchawkach śledził przebieg wydarzenia, powiedział nam, że kondukt wyruszył z lotniska i al. Żwirki i Wigury i kieruje się stroną Trasy Łazienkowskiej. Po kilkunastu minutach zauważamy początek dostojnej żałobnej kolumny. Na początku policyjna asysta motocyklowa, później radiowo-

zy policji i żandarmerii wojskowej, karetki pogotowia i pierwsze karawany z trumnami ofiar katastrofy pod Smoleńskiem.

Jestem w szoku, znów mi się chce płakać. Kondukt zdaje się nie mieć końca. Żałobną kolumnę kończą autokary z rodzinami zmarłych i radiowozy żandarmerii wojskowej. Robię kilka pamiątkowych zdjęć i po chwili zamyślenia decyduję się na powrót do domu.

Następnego dnia mam gości z mojego ukochanego Murzasichla. To Ala K. z mężem Andrzejem i dziećmi Jaśkiem i Anią. Obecne wydarzenia też osobiście odczytują dla siebie. Właśnie to tu w Warszawie, gdzie mieszka siostra Ali – Danka K., żona pracownika BOR-u, zastała ich ta smutna wiadomość. Niemal na każdym kroku żyjemy opowiadaniem – kto pojechał, kto nie pojechał i to naprawdę są nasi przyjaciele, bliscy sąsiedzi, znajomi.

Na forum ogólnym również rozpoczynają się różnej rangi dywagacje o możliwościach uniknięcia tej tragedii, a przynajmniej zmniejszenia jej rozmiaru. 20.04.2010 r. uczestniczę w pogrzebie Władysława Stasiaka. To smutne wydarzenie sprowadziło do kościoła św. Anny nieprzebrane rzesze ludzi: z rodziny, przyjaciół, współpracowników.

W dniu 23.04.2010 r. – znów transport z ciałami ofiar już ostatni. Ze względu na nieco zmienioną trasę przejazdu wyszedłem na skwer przy ul. Andrzeja Krzyckiego na warszawskiej Ochocie.

Wzdłuż trasy było mniej osób, bowiem, jak się domyślam, większość z nich jest już przemęczona ciągłym śledzeniem smutnych faktów, tak że już nie ma siły w nich uczestniczyć.

Jednak kiedy kończą się Wiadomości, wychodzą ze swoich domów mieszkańcy żegnać ofiary katastrofy. Około godz. 20:00 słyszemy sygnały radiowozów policyjnych. Potem już tylko karawany z trumnami przykrytymi biało-czerwonymi flagami. Stoję blisko przejeżdżającego konduktu, dlatego mam wrażenie, jakbym sam żegnał kogoś bliskiego.

Serce mocniej pracuje, a w gardle brak oddechu. Przeżywam niewytłumaczalną rozpacz. Pytam sam siebie: „Panie Boże dlaczego...?”. I wciąż brakuje mi logicznej odpowiedzi.

Kiedy przejeżdża ostatni pojazd kolumny, część osób trwa jeszcze kilka chwil w zadumie i zamyśleniu. Ja też po kilku chwilach refleksji zmierzam do domu: do żony i do ośmioletniej córki, która, mimo że jej tłumaczę, co się stało, niewiele z tego rozumie. Wie-

dziona jednak instynktem kieruje do mnie zaskakujące pytanie: „Co teraz będzie z Polską?” – z trudem ukrywam łzy, które same mi się kręcą w oczach na tak poważne pytanie małego dziecka.

Dlaczego zadała takie pytanie, może usłyszała je w TV. Niemniej sposób zadania pytania był taki, jakby miała świadomość, że stała się rzecz straszna dla Polski. Kolejna smutna sprawa tego czasu to wojna Kraków–Warszawa o to, gdzie ma być pochowana para prezydencka – na Wawelu czy Powązkach. W Warszawie tymczasem trwają pogrzeby pozostałych ofiar katastrofy.

Z punktów sprzedaży znikają ostatnie wieńce, kwiaty i znicze. Dużo osób chce choć w ten sposób uczcić o nich pamięć. Trwają niekończące się dywagacje, czy tej tragedii można było uniknąć...

Pamiętamy o ks. Jerzym (artykuł)

Warszawskie sobotnio-niedzielne uroczystości beatyfikacyjne ks. Jerzego Popiełuszki i na pl. Piłsudskiego, i w Świątyni Opatrzności Bożej (6.06.2010 r.) zgromadziły tłumy wiernych, którzy uczestnicząc w dziękczynieniu za dar księdza Jerzego wzięli udział w koncercie i Mszy Świętej beatyfikacyjnej.

Jak mówił ks. Zygmunt Malacki – wierni modlili się o beatyfikację ks. Jerzego od 26 lat, tj. od dnia, kiedy podana została do publicznej wiadomości informacja o Jego śmierci.

Szczególne wzruszenie wśród pątników wywołała mama ks. Jerzego pani Marianna, kiedy odmawiała przed rozpoczęciem mszy beatyfikacyjnej modlitwę różańcową. Po niemal trzygodzinnym nabożeństwie ulicami Warszawy przeszła procesja z relikwiami nowego błogosławionego, które zostały złożone w Panteonie Wielkich Polaków w Świątyni Opatrzności Bożej w Wilanowie.

W dniach przybliżających to wielkie wydarzenie w wielu parafiach odbywały się koncerty, czuwania modlitewne i wystawy. Do przygotowań beatyfikacyjnych włączyła się m.in. Parafia św. Alberta. W dniu 29.05.2010 r. odbyło się tam całonocne czwanie modlitewne i (dzięki uprzejmości pana Pawła Łapińskiego) otwarto wystawę poświęconą ks. Jerzemu, która trwała do 05.06.2010 r. Hasło błogosławionego „Zło dobrem zwyciężaj” stało się też mottem ołtarzy tegorocznych uroczystości Bożego Ciała.

Z Warszawy do Madrytu (artykuł)

„Zakorzenieni i zbudowani na Chrystusie, mocni w wierze” – to hasło tegorocznych XXVI ŚDM (2011 r.) w Madrycie. Z Diecezji Warszawsko-Praskiej wyruszy ok. 600, a z Archidiecezji Warszawskiej ok. 1200 młodych Polaków w wieku 16–35 lat.

W roku poprzedzającym to wydarzenie uczestnicy brali udział w spotkaniach formacyjnych według programu przygotowań oraz rozważali Orędzie Benedykta XVI na madryckie spotkanie. Grupom młodzieży warszawsko-praskiej przewodniczy ks. Emil Parafiniuk, a archidiecezjalnej ks. Paweł Kulpiński.

Uczestnicy otrzymają dwa pakiety: polski i hiszpański. Pakiet polski stanowią: 2 szt. T-shirtów w barwach narodowych z logo ŚDM, chusta (z wizerunkiem Jan Pawła II) z napisem *Ora pro nobis* (módl się za nami, jest to pewnego rodzaju forma wsparcia finansowego dla potrzebujących innych uczestników) oraz mapa Hiszpanii.

W pakiecie hiszpańskim znajduje się: imienny identyfikator uczestnika, plecak pielgrzyma, bilet komunikacji miejskiej obejmujący region Madrytu, bon żywieniowy, zakwaterowanie.

Pełny koszt uczestnictwa jest uzależniony głównie od sposobu dotarcia do Hiszpanii i wynosi od ok. 2100 zł w przypadku autokaru do ok. 4000 zł w przypadku lotu samolotem. Różne są też programy uczestnictwa, np. połączona grupa akademicka i młodzieżowa z Parafii św. Rodziny (Zacisze) pojedzie autokarem ze swoim przewodnikiem ks. Januszem Kopczyńskim – szlakiem świętych patronów ŚDM w Madrycie.

Z kolei diecezjalna grupa ks. Emila Parafiniuka dotrze do Guadarramy (ok. 40 km od Madrytu) i weźmie udział w Międzynarodowym Festiwalu i katechezach prowadzonych przez o. Raniero Cantalamessę i o. Jacquesa Verlinde.

Wszystkich połączy w dniu 20.08. marsz (forma pieszej pielgrzymki) ze wszystkich stron Madrytu na lotnisko Cuarto Vientos, gdzie o godz. 16:00 rozpocznie się czuwanie, poprzedzające mające odbyć się tego dnia o godz. 20:00 czuwanie z Ojcem Świętym. Po nim nastąpi całonocne czuwanie.

Ostatnim punktem programu będzie Msza Święta w niedzielę 21.08. pod przewodnictwem papieża Benedykta XVI. Młodzież udająca się do Hiszpanii wyrusza z programem ewangelizacyjnym, ale spodziewa się też pogłębienia wiedzy o kraju gospodarzy.

Na pewno mają zapewnione głębokie przeżycia religijne, niepowtarzalne wrażenia ze spotkania z rówieśnikami wielu narodowości, a przede wszystkim niezapomniane wspomnienia ze spotkania z papieżem Benedyktem XVI. Duże znaczenie będzie miało dla nich uczestnictwo w konferencjach prowadzonych przez osoby duchowne i świeckie.

Z Polski udaje się do Madrytu 14 biskupów. Ponadto niektóre z grup odwiedzą miejsca kultu religijnego, takie jak Lourdes czy Fatima. Relacja na bieżąco ze XXVI ŚDM w Madrycie na: misjamloedych.blogspot.com.

Abdykacja Benedykta XVI

W niedzielę 10 lutego 2013 roku po Mszy Świętej w „Albercie” trwała radość jubileuszowa i karnawałowa po balu parafialnym z okazji 25-lecia erygowania Parafii św. Brata Alberta i Mszy Świętej Rocznicowej.

Nic nie zapowiadało mającej nadejść w poniedziałek smutnej decyzji o abdykacji Benedykta XVI. Po porannej niedzielnej mszy oglądamy z księżmi w zakrystii dyplom gratulacyjny dla naszej parafii z okazji jubileuszu – jak się okazuje jest to jeden z ostatnich podpisany przez ustępującego papieża

Kiedy obudziłem się rano w poniedziałek 11 lutego 2013 r., żyłem jeszcze sobotnio-niedzielnymi radosnymi wspomnieniami. Nic nie zapowiadało mającej nadejść informacji o trudnej decyzji papieża. Trzeba przypomnieć, że co roku w tym dniu jest obchodzony Światowy Dzień Chorego.

Wiedziony intuicją albo prowadzeniem Ducha Świętego około godz. 13:00 włączyłem Radio Maryja. Z wiadomości dowiedziałem się, że papież Benedykt XVI na konsystorzu kardynalskim ogłosił swoją rezygnację z urzędu papieża. Abdykacja. Ten termin szybko podchwyciły żądne sensacji media.

Matko święta, co teraz będzie, pomyślałem? Zadaję sobie to pytanie ze świadomością, że jestem tak jak wszyscy katolicy współodpowiedzialny za decyzję następcy Jana Pawła II. W duchu rozważam myśl, że taka decyzja ustępującego papieża, może zabrzmieć to paradoksalnie, jest jeszcze bardziej tragiczna niż wiadomość o jego

śmierci, bo pozbawia Kościół Opatrznościowego Pasterza w taki sposób, jakby to była porażka uczniów Jezusa Chrystusa.

Zaczęły się zbierać pierwsze mądre głowy i debatowały, co z tym fantem zrobić. Jedno jest, moim zdaniem, pewne, że Benedykt XVI odchodził, by wygrać. Właśnie dlatego, żeby pokazać katolikom: obudźcie się, bo jeżeli się nie obudzicie – zginiecie.

Równoległe do rozważań dziennikarzy o przyczynach i konsekwencjach rezygnacji papieża, pojawiły się spekulacje o konklawe. Kiedy się odbędzie i kto będzie Jego następcą. Dyskutowano także o kondycji Kościoła katolickiego w ogóle.

Przygnieciony decyzją Benedykta XVI zacząłem telefonicznie łączyć się z przyjaciółmi, tak jak po Odejściu do Domu Ojca (2 kwietnia 2005 r.) Jana Pawła II. Okazało się, że nie wszyscy moi znajomi, mimo że katolicy, wiedzieli, że od kilkunastu godzin nie mamy papieża.

Śledząc debaty telewizyjne, do których coraz częściej zapraszani byli przedstawiciele duchowieństwa, ustalano zgodność suwerennej decyzji Ojca Świętego z prawem kanonicznym i przewidywany program uroczystości pożegnalnych oraz jakie przywileje będą przysługiwały emerytowanemu Biskupowi Rzymu, który to tytuł dla Benedykta XVI ustalono po kilku dniach w Watykanie.

Zastanawiano się także nad powodem abdykacji papieża z Niemiec. Było to o tyle mniej ciekawe, że, jak sądzę, dalekie od prawdziwych powodów. Już mu zaczęli przypominać jego kardynalskie nazwisko i że właściwie (z czym się nie zgadzam) niewiele zrobił dla Kościoła Powszechnego.

Różne gremia miały temat do rozważań odnośnie jego innych dokonań czy zaniechań. Trwały bezowocne dyskusje bez końca. W przypadającą 13 lutego Środę Popielcową świat obiegła fotografia Benedykta XVI z pochyloną głową. Po święcie pokory zarysował się kalendarz żałobnego okresu odchodzenia z watykańskiego urzędu tego niezłomnego papieża.

Ustalono daty ostatnich spotkań z Kurią Rzymską oraz audyencji generalnych. Tak dowiadujemy się, że ostatni Anioł Pański odbędzie się w dniu 24.02.2013 r. (niedziela), a ostatnie spotkanie z wiernymi – 27.02.2013 r. (środa).

Ostatnie pożegnanie z kardynałami i Kurią Rzymską oraz zakończenie tych wszystkich spotkań miało nastąpić 28 lutego 2013 r.,

kiedy Benedykt XVI jako emerytowany Biskup Rzymu opuści papie-
skie apartamenty i uda się do Castel Gandolfo – do letniej rezydencji
papieża od lat trzydziestych XVII wieku, ale nigdy emerytowanego.

Media jakby się obudziły na te wydarzenia i na bieżąco relacjo-
nowały ich przebieg. Pokazywały od czasu do czasu różne formy
sond ulicznych, w których powtarza się jedno pytanie: „Co Pan(i)
sądzi o decyzji papieża Benedykta XVI?”. Ponieważ byłem przygnę-
biony faktem abdykacji Ojca Świętego, a jednocześnie musiałem
prowadzić normalne życie, niezbyt wiele czasu poświęcałem (rów-
nież ze względów emocjonalnych) na bieżące śledzenie faktów
z tym związanych. Kiedy jednak zbliżał się wieczór 28.02.2013 r.
mój wzrok coraz częściej kierował się w stronę telewizora.

Początkowo, aby trochę uspokoić emocje, oglądałem połączone
relacje skoków narciarskich i na tym samym małym okienku ekranu
relacje z pożegnania Benedykta XVI. Jednak gdy te smutne uroczy-
stości zaczęły przyjmować kulminacyjne stadium nie wytrzymałem
i przełączyłem telewizor na pełną relację z Watykanu. Pamiętam, że
kiedy przygarbiona postać emerytowanego Biskupa Rzymu znik-
nęła za drzwiami balkonu w Castel Gandolfo, nie mogłem powstrzy-
mać łez. Potem przez kilkanaście dni w utrzymującym się stałym
smutku przyszło czekać na wybór nowego papieża.

Parafianie ze św. Alberta nieco wcześniej wzięli udział w mniej
uroczystej Mszy Świętej w dokładną rocznicę erygowania parafii, tj.
15.02.2013 r. Ja jak zwykle przy większych uroczystościach anga-
żuję się jako lektor i fotoreporter. Tak jak utrwaliałem dotychczas
opisane uroczystości, tak utrwaliałem i te, które nastąpiły później,
tj. całe Triduum Paschalne od 28.03–30.03.2013 r., wizytację dusz-
pasterską biskupa Marka Solarczyka 14.04.2013 r., z której moja re-
lacja znalazła się w „Idziemy”.

Kolejne trzy uroczystości dokumentowane przeze mnie, które
następowały niemal jedna po drugiej, to Nawiedzenie figury M.B.
Loretańskiej od 24.05–26.05.2013r. w Diecezji Warszawsko-Pra-
skiej i w „Albercie”, Boże Ciało 30.05.2013 r. i odpust parafialny
16.06.2013 r.

Smutek po odejściu Benedykta XVI nieco przytłumił w dniu fa-
timskim 13.03.2013 r. wybór na nowego papieża Jorge Bergoglio,
który przyjął imię Franciszek.



Młodzież Polska z Neokatechumenatu przed kościołem św. Konrada (ŚDM Kolonia 2005), fot. Jacek Kalinowski



Uwielbienie Pana – kościół św. Konrada (ŚDM Kolonia 2005), fot. Jacek Kalinowski



Rozmodzona młodzież z Meksyku – Sydney w Warszawie (2008),
fot. Jacek Kalinowski



Spotkanie Benedykta XVI z młodzieżą na krakowskich Błoniach –
pielgrzymka Benedykta XVI do Polski (2006), fot. Jacek Kalinowski



Eucharystia z młodzieżą w Stará Boleslav – pielgrzymka Benedykta XVI do Czech (2009), fot. Jacek Kalinowski



Przejazd papamobile – pielgrzymka Benedykta XVI do Czech (2009), fot. Jacek Kalinowski



Tragedia Smoleńska. Kondukt z trumnami ofiar katastrofy pod Smoleńskiem (14.04.2010), fot. Jacek Kalinowski

Rozdział IV

Wokół Franciszka

Światowe Dni Młodzieży Kraków 2016 – moja opowieść

Pierwsza radość ze Świątowych Dni Młodzieży w Krakowie nastąpiła we mnie w chwili usłyszanego w radio, wielokrotnie powtarzanego komunikatu papieża Franciszka z Rio de Janeiro, gdzie kończyły się XXVIII ŚDM: „Jesteśmy umówieni na Światowe Dni Młodzieży, które odbędą się w Krakowie, w Polsce”.

Potem już tylko cisza i ciągłe pytania: czy Polska, czy Polacy podążają, czy Kraków podola? Jeszcze nic nie było wiadomo, a już pierwsze komentarze o niepotrzebnych kosztach i o obciążeniu organizacyjnym dla kraju i Krakowa. Mimo to Kościół Polski rozpoczął przygotowania od najważniejszej rzeczy, czyli modlitwy. Modlono się w intencji ŚDM w Krakowie niemal na każdej Mszy Świętej, jak również organizowano modlitewne czuwania.

Kiedy zaczęło się pojawiać coraz więcej informacji, miałem nieodparte pragnienie pojechania na spotkanie z papieżem Franciszkiem. Przede wszystkim dlatego, że stolica Małopolski nie jest dla mnie zwykłym miastem. Stąd pochodzi moja żona, tu mam wielu przyjaciół, także dlatego, że dla tego urokliwego prastarego miasta, siedziby królów i książąt Polski, niekwestionowanym magnesem przyciągającym jest niezwykła postać obecnego Biskupa Rzymu.

Względy racjonalne powstrzymywały mnie przed podjęciem odważnej decyzji o udziale w spotkaniu młodzieży. Mój dość zaawansowany wiek, 50 lat kończyłem 3 września 2016 r., nie mieścił się w kategorii uczestnik. Na wolontariusza też raczej się nie nadawałem. Jako dziennikarz „Idziemy” też nie mogłem pojechać, bo przecież liczba akredytacji była ograniczona.

Jakby na przekór temu moi przyjaciele i koledzy znający nie od dziś moje upodobanie do spraw papieskich, religii i Kościoła – konsekwentnie zagadywali mnie każdego dnia pytaniami w stylu: „Ej, Ty watykanista, jedziesz na ŚDM do Krakowa?”. Za każdym razem odpowiadałem twardo „nie”. Jednak im bliżej było tego

wydarzenia, pytania o mój udział w nim nasilały się, a im więcej ich było, tym więcej sprawiały mi przykrości z faktu, że nie pojadę.

Przyszedł moment, że czas dzielący bieżące dni od ŚDM zaczął się gwałtownie skracać. W sposób naturalny Warszawa i województwo mazowieckie zostały wytypowane jako obszar, gdzie będą się odbywały Dni Diecezjalne, poprzedzające spotkania w Krakowie.

Jeszcze na początku czerwca zgłosiłem w redakcji „Idziemy” całkowitą dyspozycyjność w czasie ŚDM. Wynikiem tego było zlecenie mi zrobienia relacji z dnia 12.06. w Parafii Miłosierdzia Bożego w Ząbkach z koncertu ewangelizacyjnego „Przyjmij Mocną Dawkę Emocji”, podczas którego wystąpił zespół „Porozumienie”.

Druga relacja dla „Idziemy”, którą zrobiłem, była z dnia 16.07. – z peregrynacji relikwii bł. Pier Giorgio Frassatiiego (jednego z patronów ŚDM w Krakowie) oraz Mszy Świętej sprawowanej z tej okazji przez ordynariusza warszawsko-praskiego abp Henryka Hosera (SAC) w klasztorze Dominikanów na warszawskim Służewie.

Kiedy na zakończenie nabożeństwa zobaczyłem różnobarwne, przybywające na Dni Diecezjalne pierwsze delegacje pielgrzymów z kilku zakątków świata, dostałem pierwsze ukłucie igłą.

Mijały kolejne dni, a ja mimo to stałem z boku wydarzeń. Moja zawodowa praca w NIK, którą bardzo cenię, nie pozwalała na bieżące śledzenie w ciągu dnia wszystkich informacji. Próbowałem mimo to w każdej wolnej chwili monitorować wiadomości związane ze ŚDM w Krakowie, a przede wszystkim to, co papież Franciszek mówi i z kim się spotyka, szczególnie w czasie jego pierwszych godzin pobytu w Polsce.

Zanim to się stało, obejrzałem z uwagą koncert z Krakowa „Jednego serca, jednego Ducha”, podczas którego zrobił na mnie wielkie wrażenie występ rapującego księdza. Początkowo myślałem, że to przebieraniec. Potem przyszła refleksja, że może to autentyczny ksiądz. Zacząłem szperać w Internecie, raperem-księdzem okazał się ks. Jakub Bartczak. „O Boże to tacy wariaci jak ja jeszcze istnieją” – kolejne ukłucie igłą.

Potem tak się ułożyło, że w środę 27.07. mogłem spokojnie w telewizji zobaczyć papieża Franciszka w oknie na ul. Franciszkańskiej 3 w Krakowie, kiedy do rozbawionej młodzieży powiedział: „Teraz się wyciszcie, opowiem wam coś smutnego”, a potem kontynuował opowieść o historii młodego polskiego grafika, który

po to, żeby zaprojektować wszystkie grafiki na ŚDM w Krakowie, zrezygnował ze swojej pracy zawodowej. Nie doczekał wielkich wydarzeń pokonany chorobą nowotworową. Łzy same płyną mi po policzkach – to kolejne, choć smutne ułknięcie igłą.

Następny dzień przed telewizorem oglądam powitanie papieża na krakowskich Błoniach, które jest spotkaniem kultur i narodów, swoistą Wieżą Babel. Przyznam, że radosna atmosfera tak mnie wciągnęła, że przed ekranem udało mi się zatańczyć kilka kroków krakowiaka.

Wieczorem w czwartek 28.07., kilkanaście minut po godz. 20:00, znowu za pośrednictwem TV ujrzałem w oknie papieskim Franciszka. Mówił o małżeństwie, ale nie takim świętym, lecz takim, w którym są problemy, fruujące talerze i konflikty oraz o sposobie ich rozwiązywania przez trzy magiczne słowa: proszę, przepraszam, dziękuję. Tego już nie wytrzymałem. Uznałem, że Jezus mnie wzywa, abym pojechał do Krakowa, był czwartek 28.07. około godz. 20:45. Decyzja – jadę.

Przed podjęciem ostatecznej decyzji, którą uzależniałem od możliwości logistycznych, zadzwoniłem do naszej przyjaciółki Basi Siuty-Tokarskiej z pytaniem, czy możemy u niej przenocować na czas naszego pobytu w Krakowie – bez słowa zgodziła się. Basia nie jest dla nas zwykłą przyjaciółką, to nasza świadkowa. Jej śp. mama Danuta Siuta poznała mnie wiele lat wcześniej z moją przyszłą żoną i tak ta niezwykła niemal rodzinna przyjaźń trwa od wielu lat.

Obecnie Basia jest mężatką i pracuje jako adiunkt na uczelni, jej mąż Krzysztof jest brokerem ubezpieczeniowym. Ich potomstwo to dwie fajne córeczki 8-letnia Nadia i 5-letnia Emilka. Państwo Tokarscy mieszkają w pięknie urządzonej willi w podkrakowskiej wsi Narama. Seniosem rodu jest Tadeusz – ojciec Basi, którego nazywamy wujkiem; dzieli mieszkanie w Krakowie z naszym przyjacielem Jurkiem.

Tadeusz Siuta, bo o nim tu piszę, wielokrotnie w poprzednich latach przyjmował naszą pielgrzymkową gromadkę pod strzechę, niejednokrotnie obdzielając nas dobrym słowem. W trakcie rozmowy telefonicznej z Basią ustaliłem, że przyjedziemy w piątek po południu i zostawimy bagaże w mieszkaniu jej ojca.

Wróćmy jednak do pielgrzymki. Kiedy jeszcze w Wesolej, po potwierdzeniu możliwości noclegu u Basi, powiadomiłem o tym sza-

lonym planie moją żonę Gosię, ta aż podskoczyła z radości na łóżku. Sylwia też się ucieszyła, bo już dawno chciała się spotkać z dziewczynkami Tokarskich.

Był czwartek 28.07. Około godziny 21:00 zarządziłem błyskawiczne przygotowania. Kiedy moje panie się pakowały, ja w trybie przyspieszonym musiałem się nauczyć kupowania biletów kolejowych przez Internet, bo miałem świadomość, że kupowanie ich w dworcowej kasie w ogóle nie wchodzi w grę.

Po około godzinie ta sztuka mi się udała, ale tylko po części, bo mieliśmy wrócić 31.07. w niedzielę, a bilety na ten dzień były już wyprzedane na wszystkie pociągi. Wreszcie po długich poszukiwaniach kupiłem bilety powrotne na zwykły Intercity, ale dopiero na poniedziałek 01.08. rano. Cóż, trzeba było się z tą niedogodnością zmierzyć. Najgorzej, że była już późna godzina i nie miałem sumienia dzwonić ponownie do Basi i pytać o możliwość dodatkowego noclegu.

Od tej pory czułem dziwne przekonanie, że moim nieco zwariowanym pomysłem kieruje Duch Święty. Dlatego wydawało mi się, że pokonamy wszystkie przeszkody, które mogą się pojawić w trakcie naszej pielgrzymki.

W piątek 29.07. od rana żyliśmy radością, że za kilkanaście godzin będziemy na święcie młodzieży. Dzieliliśmy się tą radością z napotkanymi tego dnia przyjaciółmi. Do tych, których nie dane nam było spotkać, rozsyłaliśmy smsy. W odpowiedzi otrzymywaliśmy wyrazy życzliwości i zapewnienia o modlitwie w naszej intencji.

Ponieważ nie było innej możliwości, wziąłem ze sobą Sylwię do pracy. Pozostał jeszcze problem mojego wcześniejszego wyjścia z NIK-u. Kiedy pełen pokory wszedłem do gabinetu mojej pani dyrektor i spytałem o możliwość wcześniejszego wyjścia już o godzinie 12:00, pani Agnieszka Mielżyńska początkowo przybrała nieco pochmurny wyraz twarzy. Jednak kiedy dokończyłem swoją prośbę i jako cel wcześniejszego wyjścia przedstawiłem wyjazd na ŚDM do Krakowa, na twarzy pani dyrektor pojawiło się pełne uśmiechu słońce zrozumienia i akceptacji.

Z Gosią umówiliśmy się około godz. 12:30 na Dworcu Centralnym. Kilka minut przed godz. 13:00 byliśmy na peronie, a po paru następnych minutach zajęliśmy miejsca w pociągu Pendolino, stacja docelowa Kraków. Do chwili, kiedy pociąg ruszył o godz. 13:00, jeszcze nie wiedzieliśmy, czy to real, czy déjà vu.

Oprócz nas w wagonie podróżowała młodzież z Włoch – po symbolach ŚDM bez trudu można było rozpoznać cel ich pielgrzymki. Inna rzecz, że większość pasażerów miała na ustach ten sam temat. Trudno się dziwić, bo ŚDM w Krakowie stały się tematem numer jeden w Polsce i prawdopodobnie na świecie. Kiedy dojeżdżaliśmy do Krakowa w ostatnich chwilach tego etapu podróży, wysłałem do przyjaciół SMS o treści:

**Ponieważ jestem wariatem
Wczoraj wieczorem zdecydowałem
A za niecałą godzinę będziemy
Z Gosią i Sylwią w Krakowie na ŚDM
Również w Waszych intencjach**

Jeszcze tylko telefon do Basi z ostatnimi ustaleniami, że spotkamy się u wujka Tadeusza po zakończeniu Drogi Krzyżowej i wychodzimy z pociągu na stacji Kraków Główny. Dochodziła godz. 15:20.

O dziwo, na peronach względna cisza i spokój, tak jakby miasto na chwilę usnęło. Jednak było to tylko mylące pierwsze wrażenie, bo kiedy schodziliśmy schodami do podziemi dworca i tunelu prowadzącego do Galerii Krakowskiej coraz donośniej dochodziły do nas dźwięki bębnow i radosne śpiewy. Kiedy podeszliśmy bliżej, okazało się, że to liczna grupa pielgrzymów z Nikaragui wyraża swoją radość.

Na terenie wokół dworca i w całym Krakowie, gdzie nie sięgnąć wzrokiem, wszędzie widać młodzież, osoby konsekrowane i kapłanów oraz symbole i grafiki ŚDM. My tymczasem, zdając sobie sprawę z ograniczeń w funkcjonowaniu komunikacji, udaliśmy się na postój taksówek, aby jak najszybciej dojechać do mieszkania wujka, tam zostawić bagaż i czym prędzej udać się na Błonia Krakowskie na zaczynające się o godz. 18:00 nabożeństwo Drogi Krzyżowej.

Zmierzając na Błonia, ponownie bierzemy taksówkę, głównie z tego powodu, że ten środek transportu, jako jeden z nielicznych, nie ma większych ograniczeń w poruszaniu się po zablokowanych na czas obecności papieża ulicach. Jesteśmy miło zaskoczeni, kiedy dowiadujemy się na końcu każdego takiego przejazdu, że koszt jest dużo niższy niż w latach ubiegłych.

W międzyczasie przyszedł mi do głowy pomysł, aby fotografować pielgrzymów przez otwarte okno jadącego samochodu. Jak pomyślałem, tak zrobiłem, po kilku próbach zaczęły wychodzić naprawdę fajne zdjęcia. Najciekawsza w tym wszystkim była reakcja fotografowanych przeze mnie uczestników ŚDM. Jedni tylko się uśmiechali, drudzy pozdrawiali machając rękami, jeszcze inni żarliwie pozowali.

W każdym razie nikt po raz pierwszy, na tak dużym wydarzeniu, na mój widok nie machał ręką z dezaprobatą. Nie brakowało przed moim obiektywem pięknych dziewcząt z Polski i reszty świata, a co ciekawe, nikt nie czuł się tym skrępowany.

Jednoznacznie można było zobaczyć, że ten czas jest czasem błogosławionym, a to miasto jest miastem Bożej Miłości, mimo że dla bezpieczeństwa papieża i pielgrzymów nad miastem krążyły helikoptery, a na ulicach wojskowe i policyjne patrole oraz innych służb mundurowych.

Na Błoniach okazało się, że do sektorów bliżej papieskiego ołtarza bez zaproszeń nie ma możliwości wejścia. Zatem pozostało nam zadowolić się miejscem w całkiem przyjemnym i w miarę luźnym sektorze „D-10”, z którego niewiele było widać, ale w zasięgu dobrej widoczności mieliśmy telebim, na którym mogliśmy śledzić poszczególne fragmenty nabożeństwa. Trzeba też dodać, że ten sektor miał jeszcze tę zaletę, iż z bliska (na pewnym odcinku) mogliśmy obejrzeć na żywo przejście jednej z grup niosących krzyż z kolejnej Stacji Drogi Krzyżowej. Duże wrażenie zrobiły również na nas układy choreograficzne obrazujące poszczególne Stacje.

Niestety, Sylwia mimo to była zawiedziona faktem, że nie zobaczyła z bliska papieża i postanowiła wobec tego faktu oraz swojego zmęczenia nie uczestniczyć z nami w dalszych wydarzeniach.

Po zakończeniu nabożeństwa chcieliśmy coś zjeść i udać się samochodem na umówione wcześniej spotkanie z Tokarskimi. W mieszkaniu wujka Tadeusza byliśmy kilkanaście minut po godz. 20:00, a po kilkunastu następnych minutach w drzwiach pojawiły się dziewczynki Nadia i Emilka z rodzicami, którzy również uczestniczyli w Drodze Krzyżowej. Teraz mieliśmy kilka chwil na serdeczne powitania, krótką wymianę pielgrzymkowych opowieści, by już za moment zająć miejsca w dwóch samochodach Basi i Krzysztofa i udać się w drogę do Naramy.

Tu jak na krakusów przystało czekała na nas królewska kolacja okraszona życzliwością i wzajemną miłością. Zrobiliśmy też korektę planów, w wyniku której ustaliliśmy, że opiekę nad Sylwią przejmą Tokarscy, a my z Gosią będziemy podążać dalej szlakiem wydarzeń ŚDM.

Mieliśmy ambitny plan, aby nazajutrz w sobotę 30.07. dotrzeć przed godz. 8:30 do Łagiewnik, w czasie pobytu tam papieża Franciszka, a zwłaszcza wziąć udział w Mszy Świętej. Niestety nasze zmęczenie spowodowało, że wstaliśmy później niż planowaliśmy i o dojechaniu na czas nie było mowy. Mimo to postanowiliśmy pojechać do Sanktuarium Miłosierdzia po wyjeździe stamtąd Ojca Świętego. Nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy, że po drodze spotka nas niesamowita niespodzianka.

Jechaliśmy tramwajem ul. Kalwaryjską, gdy nagle nasz motorniczy zatrzymał pojazd na Rondzie Matecznego. Okazało się, że dalej nie ma jazdy – blokada policyjna. Konsternacja, czyżby nie można było dojechać do Łagiewnik? Po kilku minutach wszystko się wyjaśniło. Za chwilę tą trasą będzie przejeżdżał wracający z sanktuarium papież Franciszek. Była godz. 11:37.

Serce podeszło mi do gardła. Po kilku następnych chwilach emocje tak wzrosły, że zacząłem panikować, ponieważ nie było dla mnie jako warszawiaka do końca jasne, z której strony nadjedzie papamobile. Po wyjściu z tramwaju otrzymałem wreszcie od jednego z policjantów wiarygodną informację. Zająłem dogodne miejsce na styku ronda przy skrzyżowaniu ulic Kalwaryjskiej i Kamieńskiego. Byłem już w gotowości duchowej i sprzętowej (fotograficznej).

Po kilku minutach od strony ul. Kamieńskiego zaczęły nadjeżdżać pierwsze samochody policyjne pilotujące kolumnę papieską. Następnie zobaczyłem zbliżające się z coraz większą prędkością charakterystyczne czarne mercedesy ze ścisłą ochroną papieża, a tuż za nimi zawsze budząca największy podziw policyjna asysta motocyklowa, za którą po kilku chwilach ukazał się panoramiczny samochód z charakterystyczną postacią w białej szacie.

Papież był tak blisko, że nie mogłem uwierzyć, że spotkało mnie takie szczęście. Jednak do pełni sukcesu brakowało jednego. Franciszek pozdrawiał pielgrzymów ze swojej lewej strony, czyli był odwrócony do nas plecami. Krzyknąłem: „Franczesko!”, a on jak na zawołanie odwrócił się w naszą stronę. Raczej nie sądzę, że mnie

usłyszał, ale najważniejsze, iż mam dzięki temu bardzo udane zdjęcia. Sylwia niech żałuje, zobaczyłaby papieża.

Kiedy kolumna papieska zniknęła w ul. Marii Konopnickiej, usłyszeliśmy dochodzący z naszego tramwaju dzwonek oznajmiający, że jedziemy dalej, czyli do Sanktuarium Miłosierdzia. Łagiewniki po odjeździe papieża, mimo jeszcze licznie rozmodlonych wiernych, sprawiały wrażenie miejsca opuszczonego.

Tymczasem ja z Gosią, mając w sercu radość z niedawnego spotkania z Franciszkiem, wspominaliśmy nasz pierwszy wyjazd narzeceński w 2000 roku z Apostolatem Maryjnym do sanktuarium w Lewoczy (Czechy), na który wyjechaliśmy z tego miejsca zaraz po transmitowanej z Rzymu na telebimie Mszy Świętej, podczas której papież Jan Paweł II dokonał kanonizacji siostry Faustyny Kowalskiej. Zawsze, kiedy tu jesteśmy, pokazujemy to miejsce naszej córce, gdzie przed wielu laty stał kiosk, spod którego ruszyliśmy w naszą pierwszą wspólną drogę...

Na ulicach dochodzących do sanktuarium i wokół niego był tak duży ruch pielgrzymów, że bardzo szybko ze wspomnień wróciliśmy do terażniejszości. Wyglądała ona tak, że część wiernych i służb wspomagających niczym górski strumień opuszczała miejsce niedawnej Mszy Świętej, której przewodniczył papież Franciszek. Były też grupy młodzieży, które trwały na rozważaniach modlitewnych, inni odpoczywali, a najwytrwalsi stali w bardzo długiej kolejce, aby nawiedzić grób i relikwie św. Faustyny.

My tymczasem przemierzaliśmy większość zakątków Bazyliki po miejscach, po których przed kilkoma godzinami chodził następca św. Piotra. Miałem wówczas wrażenie, że płynie przeze mnie prąd, a z drugiej strony wydawało mi się to wszystko, co już zrealizowaliśmy i to, co jeszcze przed nami, jako coś naturalnego, bez zbędnej sztywności. W pewnej chwili, dość nieoczekiwanie za moimi plecami usłyszałem, że ktoś mnie woła po imieniu. To był ks. Mateusz – neoprezbiter, któremu towarzyszył kolega.

Historia mojej znajomości z Mateuszem sięga wspaniałych czasów wspólnie spędzonych na rekolekcjach Duszpasterstwa Młodzieży i Studentów ze Wschodu. Potem spotkałem go w maju 2016 roku na święceniach diakonatu archidiecezji warszawskiej oraz 28.05. w Katedrze św. Jana, gdy otrzymywał święcenie prezbiteratu

(podczas tych uroczystości robiłem relację dla „Idziemy”). Wymieniliśmy kilka zdań, wspólna fotografia i rozstanie, bo każdy z nas ma inny plan dalszego przeżywania ŚDM.

Około godz. 12:30 byliśmy w drodze powrotnej w tramwaju zmierzającym w kierunku Rynku. Nie muszę dodawać, że mimo zapewnienia przez miasto dodatkowych środków komunikacji, z powodu nadmiaru wiernych, którzy pragnęli podróżować w tym samym kierunku, autobusy i tramwaje niejednokrotnie pękały w szwach.

Pewną ciekawostką tego etapu podróży było zrobienie przeze mnie wewnątrz tramwaju zdjęcia młodzieńcom z Hiszpanii. Myślałem, że będą mieli coś przeciw, a oni na przekór temu krzyczeli na cały tramwaj „viva foto!, viva foto!”. Przyznam, że teraz to ja czułem się zakłopotany, bo jeszcze nikt tak nie wiwatował na moją cześć.

Na kolejny etap naszej pielgrzymki, co oczywiste, obraliśmy sobie ul. Franciszkańską 3. Nim tam dotarliśmy, po drodze znaleźliśmy się pod pomnikiem Józefa Dietla na pl. Wszystkich Świętych. Nie byłoby może w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie połączone siły polskich i nikaraguańskich braci zakonnych wygrywających skoczne melodie i śpiewy, prowokujące do tańca na cześć Pana. Także i my przyłączyliśmy się do wspólnej zabawy. Do tańca dała się również porwać siostra zakonna, której habit raczej wskazywał na wyjątkową pobożność.

Około godz. 14:00 poddani dość skrupulatnej policyjnej kontroli bezpieczeństwa dotarliśmy wraz z Gosią pod papieskie okno. Spędziliśmy tam razem, wśród stłoczonych wiernych, około godziny, mając jeszcze nadzieję, że papież może ze zgromadzonymi tak licznie wiernymi odmówi o godz. 15:00 modlitwę Koronkę do Miłosierdzia Bożego, tak się jednak nie stało. Co ciekawe, każde poruszenie firanki, przez wyczekujących na pojawienie się w oknie Franciszka, było odczytywane jako zwiastun mającego się spełnić wielkiego pragnienia. Mimo to papież się w tym czasie nie pokazał.

Po dość długim czekaniu Gosia zaczęła tracić siły i poinformowała mnie, że musi opuścić plac przed pałacem i poczeka na mnie w miejscu bardziej spokojnym. Ponieważ wszyscy stali jeden przy drugim, aby nie powodować dodatkowych utrudnień Gosia wzięła ode mnie plecak z akcesoriami fotograficznymi, a gdy mnie opuści-

ła zacząłem kulturalnie i konsekwentnie zmierzać w kierunku bariery najbliższej Pałacu Arcybiskupów Krakowskich, co udało mi się w stu procentach.

Po kolejnej ponad godzinnej obserwacji wejścia i okna przy Franciszkańskiej oraz wykonaniu kolejnych fotografii, mój aparat wyświetlił przerażający komunikat w języku angielskim, informujący, że wyczerpał się mi jedyny akumulator, jaki miałem pod ręką, a pozostałe były w plecaku u Gosi. Odczytałem ten fakt jako osobistą porażkę i katastrofę oraz totalny koniec papieskich zdjęć tego dnia. Dlatego opuszczałem to miejsce ze spuszczoną głową. Jednak zanim wyszedłem wszyscy wierni zauważyli wzmożony ruch przy bramie pałacu, który można było odczytywać jako przygotowania do wyjazdu papieża, tylko nie było wiadomo, o której godzinie on nastąpi.

Po ponownym spotkaniu z Gosią wymieniliśmy akumulator w aparacie i właściwie zamierzaliśmy wracać do wujka Tadeusza. W poszukiwaniu transportu dotarliśmy w okolice ulicy Zwierzyńskiej, gdzie grupy wiernych oczekiwały na przejazd papieża, który za kilkanaście minut miał tędy przejeżdżać na czuwanie modlitewne na Campus Misericordiae.

Tak to wyładowanie akumulatora stało się dla mnie zbawienne, bo pozostając pod papieskim oknem, nie zrobiłbym tak dobrych zdjęć jak przy rogu ulic Straszewskiego i Zwierzyńskiej.

Tym razem kolumna papieska wyjechała z ul. Franciszkańskiej. Znów wielkie podekscytowanie, znów eleganckie czarne mercedesy z osobistą ochroną papieża i asysta motocyklowa oraz ten najbardziej oczekiwany czarny Volkswagen z zatknietą papieską flagą, a w nim kardynał Dziwisz i papież Franciszek. Przejazd takiej kolumny mógłbym oglądać godzinami. Jest to po prostu niesamowite i co też ważne, jak się potem okazuje, wychodzą ciekawe, niepowtarzalne zdjęcia.

Po kolejnych chwilach wielkich emocji znów udajemy się do wujka Tadeusza na nocleg, ale nikt nie mówi o spaniu, jeszcze oglądamy relacje z ŚDM w TV. Będąc w piątek u Tokarskich, Krzysztof pomógł mi kupić przez Internet bilety do Krakowa Bieżanowa, stacji PKP najbliższej Campusu Misericordiae, z której mieliśmy przejść na niedzielną Eucharystię kończącą ŚDM Kraków 2016.

Wczesnym rankiem w niedzielę pojechaliśmy tramwajem na dworzec Kraków Główny i mocno zatłoczonym pociągiem dotarliśmy

do Biezanowa, skąd mieliśmy do przejścia około 8 km na miejsce nabożeństwa.

Wiedzieliśmy, że czeka nas trudna droga, a mimo to zdecydowaliśmy się, aby ją przebyć. Przede wszystkim dlatego, iż mieliśmy świadomość, że być na ŚDM, a nie być na Campusie, to tak jak być w Watykanie i nie widzieć papieża. Poza tym od początku było wiadomo, że będą się tam rozgrywały najważniejsze wydarzenia.

Szlak dzielący nas od miejsca spotkania był kolejnym i najdłuższym etapem naszej pielgrzymki. Pocieszaliśmy się tym, że innym może było trudniej iść, bo nieśli na plecach swoje dzieci, na twarzach wielu młodych ludzi było widać większe zmęczenie, a mimo to szli i prawie nikt nie narzekał. Po około dwóch godzinach marszu doszliśmy na przedpola wielkiego oceanu młodzieży, który rozciągał się tuż za mostem autostrady A4. Most ten miał jeszcze jedną zaletę, że posłużył mi jako wzniesienie dające możliwość objęcia obiektywem aparatu całego horyzontu, na którym odbywała się Msza Święta Posłania ŚDM Kraków 2016 pod przewodnictwem Ojca Świętego.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, skąd można było się bardziej włączyć duchowo, nabożeństwo właśnie się zaczynało. Niestety, niesieni pozytywnymi emocjami zapomnieliśmy zabrać ze sobą środków technicznych, za pośrednictwem których moglibyśmy rozumieć teksty nabożeństwa w językach innych niż polski. Mimo to oceniam nasz udział w tej Mszy Świętej jako bardzo owocny.

Wszyscy byli dla siebie bardzo mili i pomagali sobie wzajemnie na każdym kroku. Takie obrazki, jak ustępowanie miejsca dziewczętom przez chłopców innych narodowości na składanych krzesłach, które nieśli tyle kilometrów, to tylko jeden z przykładów. Nie mówiąc o podawaniu picia czy wzajemnej ochronie przed zbyt ostrymi tego dnia promieniami słońca.

W trakcie Mszy Świętej musieliśmy się zadowolić obrazem z telebimu, na którym oprócz papieża Franciszka, duchowieństwa z Polski i z zagranicy mogliśmy przyjrzeć się zamyślanej twarzy prezydenta Andrzeja Dudy i jego małżonki oraz pani premier i członkom naszego rządu. Chciałoby się pomyśleć, że może kiedyś uda nam się być nieco bliżej ołtarza takich wielkich wydarzeń. Najważniejsze z tego wszystkiego oczywiście było pełne uczestnictwo w nabożeństwie, co nam się w pełni udało.

Po około dwóch godzinach Msza Święta zakończyła się podaniem miejsca następnych ŚDM. Początkowo nie usłyszeliśmy, gdzie się odbędą, dopiero po dopytaniu innych Polaków dowiedzieliśmy się, że w Panamie.

Zatem Kraków pomału przechodzi do historii. Po błogosławieństwie dość wąską drogą nieprzeliczone rzesze młodzieży zaczęły opuszczać miejsce modlitwy. W tym momencie miałem skojarzenie jak do biblijnego „wyjścia narodu z ziemi egipskiej” i znów refleksja, że teraz to się dopiero wszystko zacznie...

Będąc momentami bliżej bardziej przyziemnych spraw, wracamy ponownie pieszo z Gosią w kierunku stacji Kraków Bieżanów, aby dojechać do Krakowa Głównego, a stamtąd ponownie na nocleg do wujka, gdzie miała już na nas czekać nasza córka Sylwia. Dodam, że z pewnymi trudnościami dostaliśmy się do pociągu, w którym obok nas jechali młodzieńcy z Francji i dziewczęta z USA. Znów wzajemne gesty uprzejmości i radości ze spotkania.

Około godziny 13:00 byliśmy ponownie w tunelu Galerii Krakowskiej i nie przeczuwając niczego niedobrego bardzo spokojnie zaczęliśmy się rozglądać za jakąś jadłodajnię. Po zjedzonym pysznym obiedzie wyszliśmy z restauracji na mały spacer wśród sklepowych witryn. Im dalej szliśmy, tym coraz częściej widzieliśmy zamykające się kolejne korytarze galerii – metalowe kraty, które wzbudziły w nas nieukrywany niepokój.

Jeszcze nie wiedzieliśmy, o co chodzi, dopiero po pierwszych ogłoszeniach z głośników stało się dla nas jasne, że ze względu na bezpieczeństwo antyterrorystyczne na dworzec można wchodzić tylko przez strefy buforowe, co oznacza, że Galeria jest zamknięta.

Postanowiliśmy wobec tego jak najszybciej ją opuścić głównym wejściem. Tam już stali panowie ochroniarze i ustawione były bariery blokujące dostęp do środka. Jak się okazało byliśmy jednymi z ostatnich osób, którym udało się tam zjeść tego dnia posiłek.

Przed galerią zrobiłem kilka ostatnich zdjęć pielgrzymów odpoczywających po trudach ŚDM i po kilku chwilach byliśmy już w mieszkaniu na Kazimierza Wielkiego. Tu już nasze ostatnie podczas tego wyjazdu spotkanie z Tokarskimi, wymiana wrażeń, oglądanie relacji w telewizorze z ostatnich chwil pobytu papieża w Krakowie: spotkanie z wolontariuszami w Tauron Arena i lotnisko Balice.

Nie muszę dodawać, że były to dla mnie chwile największego wzruszenia, a zwłaszcza te, w których młodzieniec opowiadał o swoim śp. bracie grafiku i przyznaje, że zazdrościłem polskiej wolontariuszce, która miała to szczęście, że po wygłoszeniu swojego świadectwa, wpadła w objęcia tego „najważniejszego Ojca na Ziemi”.

Po tak wzruszających chwilach nie myślimy jeszcze o spaniu, ale realia zmuszają nas do powrotu na ziemię, bo trzeba wracać do pracy, a w przypadku Sylwii do kontynuacji wakacji. Jeszcze wymiana ostatnich informacji dla podróżnych i krótki sen, pobudka o godz. 4:00 rano, bo w pamięci mieliśmy zamkniętą Galerię. Tuż przed godz. 5:00 jesteśmy na dworcu Kraków Główny, by o godz. 6:29 ruszyć pociągiem w drogę powrotną do Warszawy.

W sercu rozważamy kilka ostatnich wspaniałych dni. Jak się okazało był to zwykły pociąg Intercity. Mimo to jechało w nim wielu niezwykłych ludzi, z których większość miała podobne wspomnienia do naszych. W naszym przedziale siedział miły starszy pan – po moim „small English Talk” okazało się, że też wraca ze ŚDM. Wymieniliśmy kilka miłych zdań i uprzejmości, a na kilka kilometrów przed Warszawą podarował mi swoją wizytówkę, z której wynikało, że jest jezuitą z Irlandii. Pełen pokory odpowiedziałem mu na to, że rozmawiałem z nim jak ze zwykłym człowiekiem, a nie osobą duchowną.

On tylko się uśmiechnął i powiedział, że właśnie było mu przyjemnie, że nasza rozmowa była na równym poziomie, a nie jak między wiernym i duchownym. Taka to już domena jezuitów, powiedział. Wy tłumaczyłem mu też, jak z PKP Warszawa Zachodnia dojechać na Lotnisko Chopina. Około godz. 11:00 wjechaliśmy na dworzec Warszawa Centralna.

Moja refleksja z tych doniosłych wydarzeń jest taka, że jednym z moich obowiązków służbowych w NIK-u jest wywieszanie flag podczas wizyt delegacji zagranicznych w naszej instytucji. Dodam, że w związku z tym mam dużą znajomość kolorystyki i heraldyki wielu państw, jednak podczas całych ŚDM w Krakowie byłem wielokrotnie zaskakiwany wachlarzem nieznanymi mi barw i symboli narodowych.

Trochę statystyki: kończąc pisanie tej opowieści uświadomiłem sobie, że w 2016 roku minęły 33 lata od II Pielgrzymki Jana Pawła II do Polski (1983 r.), tzn. od czasu, kiedy wśród harcerki i harcerzy

byłem po raz pierwszy odpowiedzialny za bezpieczeństwo JP-2 (co opisałem w swojej pracy licencjackiej z 2006 r.). W 2016 roku minęło też 29 lat od III Pielgrzymki JP-2 do Polski (1987 r.), kiedy po raz drugi również pełniłem służbę porządkową i sanitarną (co opisałem w prologu do mojej pracy magisterskiej z 2008 roku).

Urodziłem się w 1966 roku, na przełomie tysiąclecia Chrztu Polski, jakże inne to były czasy i lata po nich następujące, aż do przypadającej w 2016 roku 1050 rocznicy tego wydarzenia. Jak to się wszystko ładnie ułożyło w jedną całość zaplanowaną przez Pana Boga. Mój udział w ŚDM w Krakowie oraz wcześniejszych wielkich papieskich wydarzeniach niewątpliwie dowodzi, że mimo upływu lat wciąż jestem młody duchem.



Dziewczęta z Brazylii zmierzające na nabożeństwo Drogi Krzyżowej (ŚDM Kraków 2016), fot. Jacek Kalinowski



Młodzież z Francji (Błonia Krakowskie – ŚDM Kraków 2016), fot. Jacek Kalinowski



Nabożeństwo Drogi Krzyżowej (Błonia Krakowskie – ŚDM Kraków 2016), fot. Jacek Kalinowski



Papież Franciszek ,Kraków, Rondo Antoniego Matecznego (ŚDM Kraków 2016), fot. Jacek Kalinowski



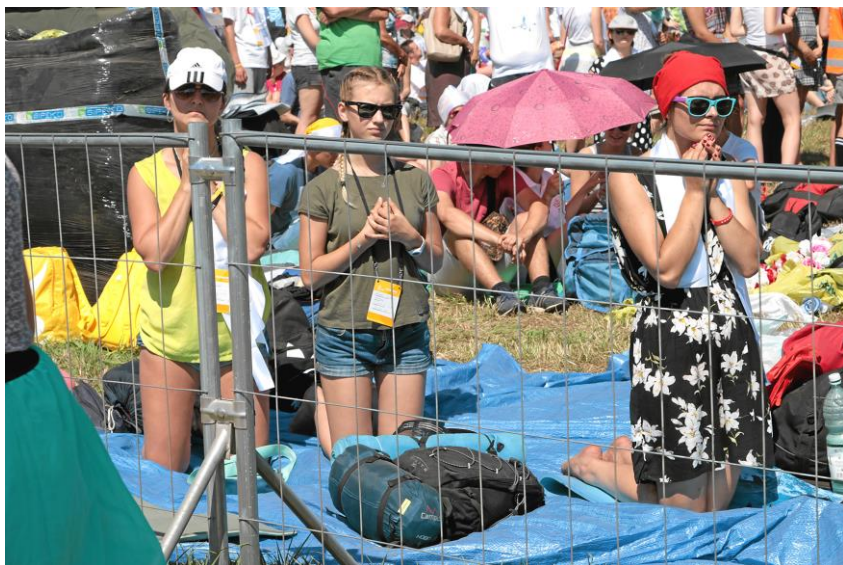
Tańce pod pomnikiem Józefa Dietla na pl. Wszystkich Świętych (ŚDM Kraków 2016), fot. Jacek Kalinowski



Papież Franciszek w drodze na *Campus Misericordiae* (ŚDM Kraków 2016), fot. Jacek Kalinowski



Campus Misericordiae Msza Św. Połania (ŚDM Kraków 2016), fot. Jacek Kalinowski



Campus Misericordiae Msza św. posłania (ŚDM Kraków 2016), fot. Jacek Kalinowski



Młodzież powracająca z Nabożeństwa Drogi Krzyżowej (ŚDM Kraków 2016), fot. Jacek Kalinowski

Zakończenie

Z historią napisania tego zakończenia było tak, że właściwie o nim nie myślałem, cały czas będąc przekonany, że proces twórczy jeszcze trwa i nie będzie zbyt szybko zakończony. Jednak pewnego pięknego dnia moja przyjaciółka od serca, która nanosiła pierwszą korektę do mojej książki, przeglądając ją spytała mnie wprost: „Gdzie jest zakończenie?”. A kiedy zorientowała się, jeszcze o tym nie myślę, kontynuowała: „Książka musi mieć zakończenie”. Dlatego czym prędzej zacząłem się nad nim zastanawiać.

Zakończyć tę książkę mógłbym jednym zdaniem. Tak jak każdy rodzic i ja marzę o tym, aby moje dziecko poszło w moje ślady. Mam tu na myśli coś, czego właściwie się nie spodziewałem, a mianowicie to, że moja córka Sylwia stanie się, podobnie jak ja przed laty, aktywnym członkiem modlitewnej grupy oazowej. Na szczęście moje marzenie się spełniło! Gdyby któregoś dnia powiedziała mi, że ze swoją grupą chciałyby wyjechać na najbliższe ŚDM 2023 do Lizbony lub na następne spotkanie z papieżem, zrobiłbym wszystko, aby jej to umożliwić.

Byłby to też dla mnie znak, że moje dotychczasowe osobiste identyfikowanie się z młodzieżą powinno się w tym aspekcie i w tym momencie zakończyć. Chociaż nie jestem o tym tak do końca przekonany, bo może będę miał jeszcze takie szalone pomysły, aby w trzy godziny coś pozytywnego postanowić i zaplanować, a potem przy pomocy przyjaciół to zrealizować. Poniekąd ta książka i mój wyjazd na ŚDM Kraków 2016 są tego dowodem.

Z niezrealizowanych planów pozostają marzenia sprzed kilku lat o rodzinnej pielgrzymce do Włoch lub do samego Watykanu – plany te nie straciły na aktualności.

W swojej książce zastosowałem układ pogrupowania tekstów na cztery rozdziały, z których pierwszy opisuje moje dochodzenie od marzeń do dziennikarstwa, w następnym ukazuję drogę od nawrócenia do fascynacji Janem Pawłem II, w kolejnych rozdziałach – kluczem jest tematyka lub daty ich powstania w odniesieniu do pontyfikatów poszczególnych papieży.

Polska to szczęśliwy kraj, bo za moich czasów naszą ojczyznę odwiedziło trzech papieży (których dane mi było w naszym kraju

widzieć). Miejmy nadzieję, że Polska jako silne państwo katolickie będzie miało szansę na podejmowanie kolejnych głów Kościoła.

Kiedy w czerwcu 2021 roku rozpoczynałem okres wzmoczonej pracy nad tą publikacją, był on poprzedzony intensywną modlitwą i jest tak nadal. Przyznam, że trochę zazdrościłem w sensie pozytywnym moim przyjaciom, którzy w roku kalendarzowym wydają jedną czy kilka swoich książek.

Moim ostatnim marzeniem było, aby z zebranych tutaj tekstów powstała publikacja wydana nakładem jakiegoś wydawnictwa, a ze zdjęć z wielkich uroczystości, których byłem uczestnikiem – papieski album fotograficzny.

Jestem coraz bliżej celu. Czy tak się stanie – marzenia się niekiedy spełniają: *Ojciec Nasz... Zdrowaś Mario... Wierzę w Boga...*

Serdeczności

„brat Jacek” – Jacek Kalinowski



Nawiedzenie Symbolami ŚDM Diecezji Warszawsko-Praskiej - bp Jacek Grzybowski katedra warszawsko-praska (2021), fot. Jacek Kalinowski

Spis treści

Wstęp	3
Rozdział I	
Marzenia – zainteresowania – profesjonalizm	9
Rozdział II	
Od nawrócenia do fascynacji	
Janem Pawłem II.....	34
Rozdział III	
Śladami Benedykta XVI.....	78
Rozdział IV	
Wokół Franciszka.....	150
Zakończenie.....	169

Wciągająca opowieść życia baczego obserwatora. Zapis historii napisany doskonałym piórem wrażliwego człowieka. „brat Jacek” to szerokie konteksty społeczno-religijne widziane oczami uczestnika obiektywnie istotnych wydarzeń. Pozycja warta polecenia.

Jacek Stec,
przedsiębiorca, trener, aktywista społeczno-kulturalny
Prezes Fundacji Tedeka „Tożsamość Dziedzictwo Kultura”.

Sentymentalna podróż do miejsc i ludzi, a może zapis pewnej epoki?
Opowieść Jacka Kalinowskiego to coś więcej. To reportażyowy zapis głębokiej duchowej relacji. Doskonałe pióro, barwny język i niezwykła wrażliwość obserwatora i uczestnika ważnych wydarzeń, które kształtowały polską i światową duchowość w ostatnich kilku dekadach.
Niezbędna pozycja na liście miłośników reportażu.

Barbara Mazurkiewicz-Białęcka,
Fundacja Nova Perspektywa.

Brat Jacek dzielił się z nami tym, co ma najcenniejszego: swoimi wspomnieniami.

Jest to subiektywne widzenie świata, poprzez pryzmat głębokiej wiary w Boga. Retrospekcja, która każe nam zatrzymać się nad tym, co jest w życiu ważne, bez pośpiechu przyjrzeć się relacjom, ludziom, emocjom, ale z perspektywy dojrzałego mężczyzny. To on snuje wspomnienia Świątowych Dni Młodzieży, papieskich pielgrzymek, nie wstydi się uczuć towarzyszących mu w przemierzaniu papieskich szlaków. Czytając o tych podróżach życia, człowiek ma nieodparte wrażenie, że Anioł Stróż idzie za bratem Jackiem krok w krok, zsyłając na jego drogę ludzi życzliwych i mądrych. Że sam Bóg prowadzi go za rękę po to, by dawał o Nim świadectwo... Czytając tę książkę wraca głęboka wiara nie tylko w Pana Boga, ale i w drugiego człowieka. W jego wrażliwość, w dobroć i w miłość...

Dawno nie czytałam tak wartościowej książki, która tylko z pozoru skupia się na zwyczajnym prostym życiu.

Dorota Bernhardt-Kowalska,
dziennikarka.